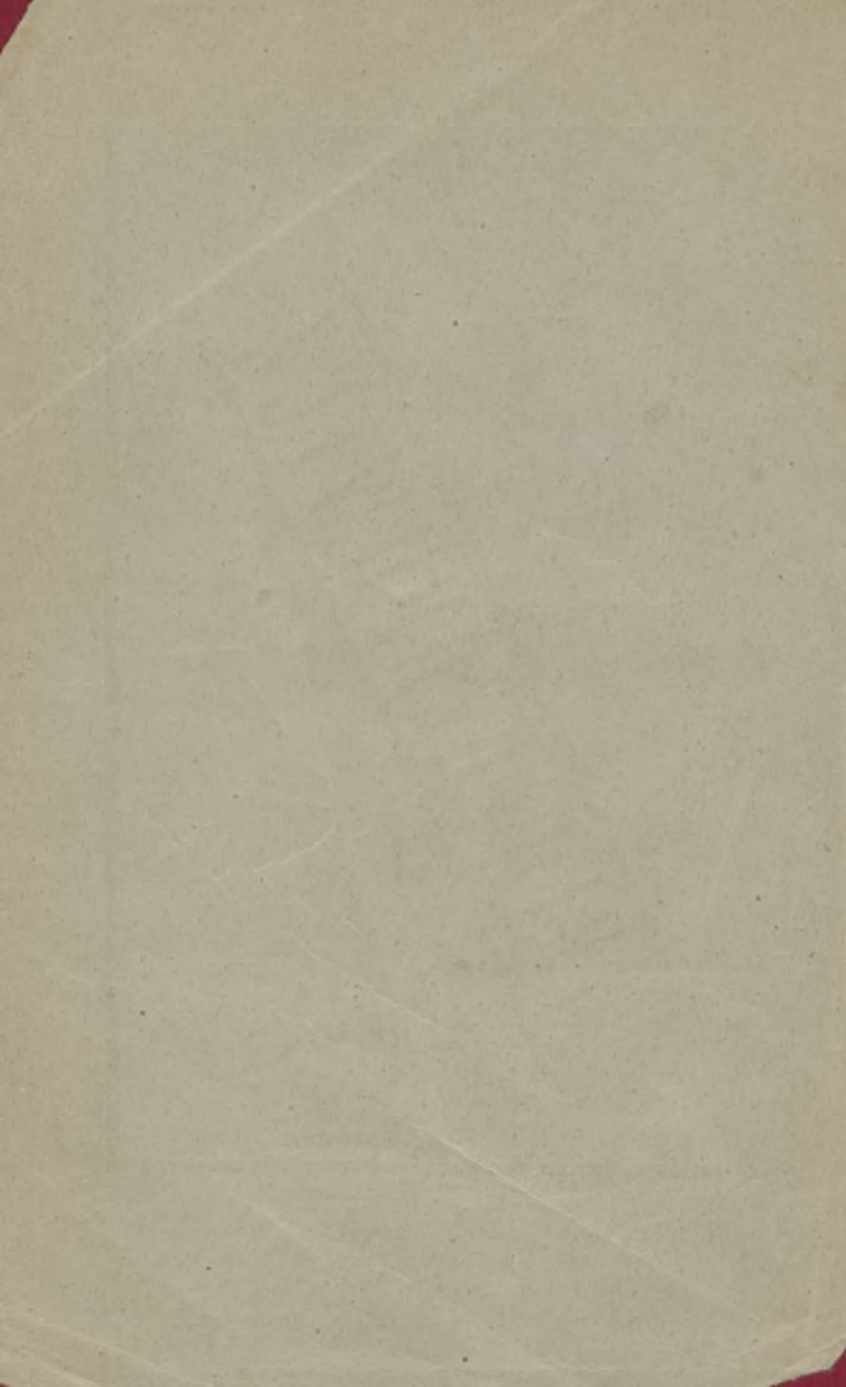


ELIZA PRZESZKOWA

MEIR HZOFOWICZ

WARSZAWA.

S. LEWENTAL.



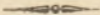
TANIE

ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI

ELIZY ORZESZKOWEJ

Tom XXIX.

Meir Ezofowicz.



WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala.

Nowy-Świat Nr. 41.

1898

ELIZA PRZESZKOWA.

MEIR EZOFOWICZ.

POWIEŚĆ

w dwóch tomach

Tom drugi

WYDANIE DRUGIE.

WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala.

Nowy-Świat Nr. 41.

1898.

Дозволено Цензурою.

Варшава, дня 4 Ноября 1897 года.



106336

T O M II.

I.

Bet-ha-Midrasz był to budynek obszerny, widny i dość okazały, stojący przy synagogalnym dziedzińcu, tuż obok domu modlitwy. Przeznaczenia miał on różne. Tu zgromadzano się na mniej uroczyste modły, toczono długie i zapalczywe rozprawy nad przeróżnemi punktami i wyjaśnieniami Talmudu; tu mieściły się księgozbiory bractw, czyli stowarzyszeń, mających różne cele, a których każda Izraelska gmina posiada w łonie swém znaczną ilość; tu także, w wypadkach wyjątkowych wprawdzie i wyjątkowój surowości wymagających, młodzi ludzie, wykraczający przeciw religii lub obyczajom, przesiadywali krótszy lub dłuższy czas pokuty, bardziej zawstydzającój, niż ciężkiej.

Naprzeciw Ha-Midraszu wznosił się budynek inny, mniejszy nieco, lecz z tą samą starannością wzniesiony i utrzymywany. Był to Bet-ha-Kahoł, czyli izba kahalna, miejsce posiedzeń i obrad admi-

nistracyjnych władz miejscowych. Dalej jeszcze, w skromniejszym już nieco budynku, zawierał się Hek-Dosz, przytułek dla ubogich, do którego wszyscy głodni, zmęczeni, schronienia i spoczynku potrzebujący, kołatać mieli prawo. Naprzeciw domu modlitwy, w ciasnym, niskim domku, mieścił się Cheder, czyli szkoła, w której nauczał uczony i czczony Reb Mosze.

Podwórze to, słowem, wraz z otoczeniem swém, przedstawiało istotną stolicę małego, udzielnego państewka. Wszystko tu, poczynawszy od czarnej chatki mędrca-ascety, przysiadłej u samej prawie świątyni, aż do widniejącej już zdala nieco, obszerniej i drzewami ocienionej lecznicy, od wspaniałego domu modlitwy do niziuchnego, szczupłego chederu, odnosiło się do spraw i potrzeb publicznych.

Pierwotne też pochodzenie i cele każdego z budynków tych posiadały myśl jakąś piękną i wysoką: porządku społecznego, miłosierdzia, nauki, wznoszenia ducha ku Bogu, lub rozmyślenia nad wysokimi rzeczami. W jaki zaś sposób wynaturzyły się niektóre z pierwotnych pojęć tych i dla czego niektóre z celów tych pierwotnych przybrały sens i charakter wbrew sprzeczny z temi, jakie nadaje im świat cały? Inna to już rzecz, — pytać o nią należy historyi.

Ośm dni minęło od wieczora tego, w którym na zielonej łące marzyło, śpiewało i poufnie gwarzyło grono młodych przyjaciół. W dziewiątym dniu, około

zachodu słońca, z wnętrza Ha-Midraszu, wyszedł i na wysokim ganku jego stanął Meir. Posłuszny rozkazowi zwierzchnika rodu swego, przepędził on dnie ubiegłe w samotności zupełnej, czytając i rozważając księgi talmudyczne, które znał biegle, i chociaż zrodziły się w umyśle jego mnogie wątpliwości, to przecież czci dla tych ksiąg, wpojonój mu od dzieciństwa, utracić całkiem nie mógł i nie utracił. Pokuta, na którą skazano go, nie była ciężką, nie przyniosła mu choćby najłżejszych cierpień fizycznych, bo w pożywienie nawet, przynoszone mu dwa razy dziennie z rodzinnego domu, czule i litościwie ręce kobiet wkładały najlepsze kaski; a jednak zmienionym był bardzo: pobladł i schudł, zarazem przecież wydawał się silniejszym. W postawie i wyrazie twarzy jego nie było już ani śladu tój dziecięcej prawie nieśmiałości, która cechowała go przed kilku jeszcze miesiącami. Rozum jego oburzał się może na niesłuszną wymierzoną nań kary; samotność, w której go pogrążono, ponowne wczytanie się w odwieczne księgi, których pełnemi były szafy otaczające ściany Ha-Midraszu, wytworzały może w umyśle jego wiele nowych pojęć, wzbudzając go jeszcze bardziej. To tylko pewna, że gorąca bladeść jego czoła zdradzała mozolną, bo bezpomocną, pracę ducha, a w blasku rozplamieniającym mu źrenice objawiało się namiętne, przemcącą tłumione rozdrażnienie. Zadana pokuta chybiła celu. Zamiast uspokoić i ukorzyć burzli-

wego i zuchwałego młodzieńca, uczyniła go zuchwałszym i skłonniejszym do buntu!

Kiedy zszedł z ganku Ha-Midraszu i zwolna przechodzić zaczął dziedziniec szkolny, widać było, że do uczuć innych łączył się w nim jeszcze i wstyd. Na widok kilku ludzi, wkraczających w bramę dziedzińca, spuścił oczy i zarumienił się. Ludźmi tymi byli urzędnicy kahalni, którzy śpiesznie dążyli ku zwyklemu miejscu obrad swoich. Ujrawszy Meira, śmiać się zaczęli i wskazywać na niego palcami. Jeden tylko Jankiel Kamionkier nie śmiał się i nie spostrzegął nawet Meira. Szedł on prędko bardzo i w pewnem od towarzyszy swych oddaleniu, a wyraz twarzy miał bardziej jeszcze zgryziony i zakłopotany, niż zwykle. Po środku dziedzińca znalazłszy się, zboczył nieco z drogi i, zamiast wejść za towarzyszami swymi do Ha-Kahołu, przesunął się pod ścianą Hek-Doszu, przytułku ubogich. Przesunął się tylko pod tą ścianą, ale wystarczyło mu czasu tego, aby zamienić kilka cichych słów i tajemniczych gestów z człowiekiem jakimś, którego głowa rozczołowana, z twarzą nabrzmiałą, wychylała się przez otwarte okno Hek-Doszu.

Meir znał człowieka, z którym tajemniczy ten, krótki szept zamienił Kamionker, i zdziwił go nieco poufały stosunek dwóch tych ludzi.

— No! — pomyślał, — co to za znajomość może

być pomiędzy pobożnym i bogatym Reb Janklem a takim włóczęgą i złodziejem, jak furman Jochel?

Niedługo jednak myślał o tém. Postępował zwolna, i nie w stronę rodzinnego domu swego, do którego snadź śpieszno mu nie było, ale w stronę małej uliczki, która, dotykając szkolnego podwórza, wiodła ku polom. Pragnął snadź wyjść z miasteczka i pójść na ten szeroki widny rozłóg, który jaśniał ostatniemi blaskami dnia i szemrał zdala lecącemi nad nim świeżemi powiewy; u końca jednak podwórza przystanął. O uszy jego obiał się gwar dziwny, złożony z mnóstwa głosów dziecięcych, to zniżających się do szeptu prawie, to podnoszących się do wrzaskliwego i śpiewnego zawodzenia. W głośnym tym i kołyszącym się szmerze dzieciennych głosów odzywały się tu i ówdzie piskliwe jęki i westchnienia zmęczonych, jakby udręczonych piersi, a nad niemi panował głos męzki, gruby, to opowiadający niby coś lub czytający, to łający i rozniewany.

Po ustach Meira przewinał się uśmiech szczególny. W uśmiechu tym były: ból, gniew i litość. Stał on tuż obok chederu, w którym nauczał melamed, Reb Mosze, i w którym właśnie kipiał i wrzał ów gwar niezrozumiały, chaotyczny, a posiadający w sobie coś dziwnie smutnego i grubiańskiego zarazem.

Przekorném jakby uczuciem pociągany ku chederowi, Meir wsparł się obu łokciami o nízkie otwarte okienko i patrzył przez nie we wnętrze budynku.

Wnętrze to ciasne było, ciemne, cuchnące i natłoczone. Pomiedzy niskim czarnym sufitem, czterema ciasnemi, czarnemi również, ścianami i podłogą, ukrytą całkiem pod grubą warstwą śmieci i brudu, w wilgotném, stęchlém, ciężkiém powietrzu kołysała się i wrzała chóralném, zapalczywém mruczeniem szara massa jakaś, którój istoty i składowych części niepodobna było rozróżnić przy pierwszém wejrzeniu. Po chwili zaledwie, przed wzrokiem patrzącego, niby z mgły czy kurzawy, wylaniać się zaczynały twarze i postacie dziecięce. Twarze to były różne: jedne—grube, ciemne, chorobliwie nabrzmiałe; inne—białe, drobne, delikatne i prześlicznie zarysowane; jedne—z ustami wpółidytycznie roztwartemi i mętным, sennym wzrokiem; inne—z oczyma błyszczącemi hamowanym gniewem i z wargami drgającemi od nerwowego zniecierpliwienia; inne jeszcze—blade, uważne, pokorne, cierpiące, lecz cierpliwe. Podobnie i ubiory dzieci tych były różne: od dostatnich surducików, znamionujących dzieci bogaczy, do spencerków, pozbawionych rękawów, i szarych, łachmaniastych kapot nędzarzy. Było ich kilkadziesiąt w izdebce, mogącój pomieścić wygodnie kilkanaścioro zaledwie, a wszystkie tłoczyły się i jedne na drugich niemal siedziały, na ławach zbyt wązkich i wysokich, twardych, brudnych, wszere izby ustawionych.

Chederów podobnych było w Szybowie niemało, ale żaden z nich tak licznie uczęszczanym nie był,

jak ten, któremu przywodził Reb Mosze. Bogacze i nędzarze z równą gorliwością starali się o miejsce w nim dla dzieci swoich, albowiem Reb Mosze był melamedem nad melamedami, ulubionym uczniem wielkiego rabbina, a przytém kabalistą biegłym i ascetą, prawdziwym *Chachamem*, doskonałym pobożnym.

Nie należy jednak mniemać, aby Reb Mosze poniżał się aż do wtłaczania w głowy najdrobniejszym dzieciom gminy pierwszych stopni wielkiej nauki. Byłoby to marnowaniem wysokich jego zdolności, które ku czemuś wyższemu już używanemi być musiały. Wyrosłki, przepełniające cheder jego, miały od 10 do 12-stu lat wieku, i od siedmu już lat żywione były świętym chlebem nauki. W chederach innych, niższych, nauczono już ich hebrajskiego czytania i wyłożono im Humesz (pięcioksiąg) z wielu wyjaśnieniami i komentarzami; teraz zaś, pod przewodnictwem Reb Mosza, wstępowały one na trzeci stopień mądrości, którym jest nanka Talmudu wraz z nieprzeliczoną ilością składających go działów, rozdziałów, poddziałów, paragrafów, punktów spornych, rozstrzygnięć, wyjaśnień, komentarzy, wyjaśnień wyjaśnień i komentarzy nad komentarzami.

Było to już, jak się zdaje, dość szerokie pole dla rozwijania się rozumu i pamięci wyrostków tych, bładych, obrzękłych, zniecierpliwionych, albo z pokorą cierpiących; ale Reb Mosze w rzeczach religii i znaczenia jej nie zwykł był przestawać na małym. Na-

pełniając rozum i ćwicząc pamięć swych uczniów, rozbudzać on jeszcze usiłował fantazją przez wprowadzenie jęj w zaczarowane krainy przypowieści i allegoryi, których pełną jest Hagada, a nawet przez dawanie im do zakosztowania czegoś z wysokiej i mistycznej metafizyki Kabały. Opowiadania te lub czytania stanowiły rodzaj odpoczynku, którego błogość głęboko uczuwać musiały dusze słuchających ich dzieci; zdarzały się jednak wtedy tylko, gdy melamed uczuł się w dobrém, radosném usposobieniu ducha.

W chwili, gdy Meir przypatrywać się zaczął przez otwarte okno odbywającęj się we wnętrzu chederu lekcyi, uczniowie uczyli się na pamięć wskazanego im na on dzień ustępu Talmudu, a nauczyciel, siedząc naprzeciw nich na katedrze, złożonej z drewnianego stołka, wczytywał się ze swęj strony w leżącą przed nim na kulawym stole wielką i bardzo starą księgę. Wczytywał się on w księgę tę z zajęciem wielkiém i niemniejszą widocznie lubością; błogi uśmiech pojawiać się zaczynał na wargach jego, za ledwie widzialnych śród ogromnego zarostu, — przy czém kołysał się zwolna w tył i naprzód, poruszając tęp stół kulawy, który kołysał się także; kołysali się również na ławach swych, każdy nad rozwartą przed nim wielką księgą, uczniowie jego, to szemrząc zci-cha, to podnosząc głosy niekiedy, jakby dla przy- głuszenia wewnętrznego bólu jakiegoś, uderzając ści-

śniętymi pięściami o brzegi ławek, albo obu rękoma chwytając się za głowy i strzępiąc tém bardziej jeszcze, i tak już, w mozole wielkim a rozpaczy, postrzępione i zczochrane włosy.

Nagle mełamed kołysać się przestał, podniósł rozpromienioną twarz, ujął w obie ręce wielką księgę i z całej siły uderzył nią o stół kulawy. Znaczyło to rozkaz umilknięcia. W mgnieniu oka téż umilkli i kołysać się przestali uczniowie. Popodnosili oczy na twarz nauczyciela, jedni z trwogą nadzwyczajną, a wzbudzoną mniemaniem, iż przyszła już pora wydawania zadanej lekcji, inni — ze złośliwą przekorą i tajoném naigrawaniem się.

Ale mełamed nie spostrzegł wrażeń malujących się na twarzach jego uczniów. Nie spostrzegał on i nie wiedział w tej chwili nic naokoło siebie. Duch jego porwanym został prądem niewymownej słodyczy i uniesionym w krainę zachwycenia. O tyle jednak czuł się mistrzem i obowiązki mistrza rozumiał, iż część zachwycenia swego przelać zapragnął na rozczochrane i strapione głowy swych uczniów.

Podniósł w górę wskazujący palec i z podniesioną twarzą, ze sterczącą brodą, z oczyma w ogniu czytać zaczął głośno ustęp ze Szyur Komy.

— „Wielki książę świadectwa tak opowiada wielkość Jehowy. Od domu stolicy wielmożności Jehowy do góry jest sto ośmnaście razy dzie sięć tysięcy mil. Wysokość jego jest sto sześć

i trzydzieści razy tysiąc mil. Od prawej ręki Jehowy do lewej jest siedemdziesiąt siedem razy 10,000 mil. Czaszka głowy jego ma trzy razy dziesięć tysięcy wzdłuż i wszerz. Korona na głowie jego ma 60 razy 10,000 mil. Podeszwy króla królów mają trzydzieści tysięcy mil. Od pięt jego aż do kolan 19 razy 10,000 mil; od kolan aż do kłębów liczy się 12 razy 10,000 i cztery mile. Od bioder aż do szyi 24 razy 10,000 mil. Taką jest wielkość króla nad królami, Pana świata”.

Po wydaniu ostatniego wykrzyknika Reb Mosze pozostał chwilę nieruchomy jak posąg, na katedrze swój, z rękoma podniesionemi a spojrzeniem pływającym w rozkoszy. Uczniowie jego siedzieli również nieruchomi i wlepiali w niego osłupiałe wejrzenia. Wszyscy już teraz bez wyjątku: pokorni i figlarni, współdziotyczni i roztropni, szeroko pootwierali usta swe. W podobny sposób opisana wielkość Jehowy w odrętwienie wprawiała wszystkie umysły.

Melamed przecież wkrótce ocknął się z ekstazy i rozkazującym giestem zawołał:

— *Gej!*

Na ten wykrzyk, którego znaczenie dobrze zrozumiałem im było, chłopcy rzucili się znowu do wielkich ksiąg swych, zakolysali postacie swe i wyśpiewywać poczęli dany im do nauczania się ustęp Talmudu. Jak brzmiał i co opiewał ustęp ten? nie zrozumiałoby tego wśród mieszaniny kilkudziesięciu gło-

sów żadne niepoświęcone ucho. Meir przecież, który sam zupełnie podobny temu kurs nauk odbywał przed niewielu jeszcze laty, a przytém, obdarzony pamięcią wyborną, nie zeń nie zapomniał, pojął od razu, że dnia tego chłopcy uczyli się VIII rozdziału traktatu *Berachot* (o błogosławieństwach).

Jednogłośnie tedy, nieprzerwanie, z zapalczywością nadzwyczajną, z umęczeniem, wywołującym jęki z piersi a pot na czoła, dzieci czytały i wyśpiewywały:

„*Miszna* 1. Oto są sporne punkta pomiędzy szkołami Szamaja i Hillela. Szkoła Szamaja mówi: błogosławić należy dzień (Sobotni), a potem wino. Szkoła Hillela twierdzi: niech błogosławią wino, a potem dzień.

„*Miszna* 2. Szkoła Szamaja mówi: umywają ręce, a potem napełniają puhar. Szkoła Hillela twierdzi: napełniają puhar, a potem umywają ręce.

„*Miszna* 3. Szkoła Szamaja mówi: po otarciu rąk składają ręcznik na stole. Szkoła Hillela twierdzi: składają go na poduszce.

„*Miszna* 4. Szkoła Szamaja mówi: zmiatają pokój, a potem umywają ręce. Szkoła Hillela twierdzi: umywają ręce, a potem zmiatają pokój.

„*Miszna* 5. Szkoła Szamaja mówi: ogień, pokarm i woń. Szkoła Hillela utrzymuje: ogień, woń i pokarm. Szkoła Szamaja mówi: stworzywszy jasność ognia. Szkoła Hillela utrzymuje: stworzywszy jasności ognia...”

Tu rozległ się znowu po izbie podwójny stuk: księgi, uderzającej o kulawy stolik, i kulawego stolika, uderzającego o podłogę. Uczniowie zamienili się też znowu w sztywne i milczące posągi. Melamed toczył po wszystkich ich twarzach spojrzeniem takim, jak gdyby ofiarnikiem był, mającym wybrać jedno z tych dzieci na całopalną ofiarę. Wyciągnął наконец palec ku jednej z ostatnich ławek i zawołał groźnie:

— Lejbele!

Na wołanie to podniosło się z pośród towarzyszy wysmukłe, blade dziecko, w szarój, długiej surducinie, i patrzyło w twarz melameda — ogromną, czarną, osłupiałą żrenicą.

— *Kom her!* (Chodź tu!) — zawołał mistrz.

Pomiędzy uczniami zrobił się ruch. Przejść przez izbę to nie było łatwo. Chłopcy usuwali się wezwaniem z drogi, tłocząc się jedni na drugich, spadając pod ławki i przez tłum popychając towarzysza pięściami.

Lejbele wyszedł nakoniec z tłumu i stanął wśród wążiuchnego przejścia, oddzielającego katedrę mistrza od pierwszej ławki uczniów. W obu chudych rękach swych trzymał on wielką księgę, pod której ciężarem co chwila ręce jego ku dołowi się uginały; usta miał szeroko roztwarte, a ramiona poruszyły się w krótkich przerwach nerwowém drganiem. Nie patrzył teraz na melameda. Twarz jego pochylała się

ku stronicom pochyłającą się wciąż księgi. Reb Mosze uderzeniem wymierzonym pod brodę podniósł mu głowę.

— Nu, — krzyknął, — czego ty jak rozbójnik jaki na ziemię patrzysz? patrzaj na mnie!

Dziecko patrzało mu znowu w twarz nieruchomą żrenicą, która zapływać poczęła łzawą zasłoną.

— Nu! — zaczął mełamed, — co mówi Szkoła Szamaja, a co mówi szkoła Hillela?

Długie nastąpiło milczenie. Siedzący na pierwszej ławie chłopcy trącali nieznacznie pięściami w boki współuczniów, szepcząc mu:

— *Szprych! szprych!* (mów! mów!)

— Szkoła Szamaja, — zaczął Lejbele drżącym i ledwie dosłyszalnym głosem, — mówi: Błogosławić trzeba wino...

— Dzień! dzień, a potem wino! — zaszeptały z pierwszej ławki litościwe, pomocnicze głosy. Ale w téjże chwili ręka mełameda znalazła się w bliskości ucha jednego z podpowiadających, tak bezpośredniej, że z piersi uraczonego w ten sposób wydobył się pisk przeraźliwy, a współuczniowie jego pozamykali usta, w zamian zaś pootwierali oczy ze strachu i osłupienia.

Reb Mosze zwrócił się znów do egzaminowanego ucznia:

— Miszna pierwsza — zawołał. — Co mówi szkoła Szamaja?

Cichszy jeszcze niż wprzód, trzęsący się głos dziecięcy odpowiadać zaczął:

— Szkoła Szamaja mówi: Błogosławcie wino...

Pięść melameda opuściła się ciężko na ramię ucznia, z którego ręk wypadła zarazem wielka księga.

Melamed poskoczył ze swój katedry.

— *A szlechter, dummer, ferszoltener bubel* — krzyknął, rzucając się ku dziecku. — Ty wielkiej nauki uczyć się nie chcesz, i kiedy ja tobie lekcję zadał, mówisz, że szkoła Szamaja każe błogosławić pierwój wino, a potóm dzień... i jeszcze święte książki na ziemię rucasz... a czy ty nie czytał, że Szamaj kazał błogosławić pierwój dzień, a potóm wino?

Tu, za krzyczącym i miotającym się melamedem, ozwał się głos męzki, dźwięczny, lecz drżący jakoś i szyderski:

— Reb Mosze! To biedne dziecko nigdy na oczy swoje wino nie widziało, a w każdym dniu swego życia bicie i głód cierpiało; to jemu i trudno zapamiętać co pierwój błogosławić trzeba: wino, czy dzień?

Ale Reb Mosze przemówienia tego nie słyszał. Obie ściśnięte pięści jego opuściły się niezmiernie szybko i po razy kilka na głowę i ramiona bladego dziecka, a gdy ono, nie wydając najlżejszego jęku, cichutko tylko osunęło się pod razami temi na upuszczoną wprzód wielką księgę, podniosły się raz jeszcze, aby opaść na osłonięte podartą surduciną plecy jego. Zanim jednak zdołały dokonać tego, silna

ręka jakaś porywczo odepchnęła go na stronę, tak, że aż uderzył się o róg kulawego stolika i, przewracając go, sam nawznak upadł na ziemię.

— Reb Mosze! — zawołał tenże głos młodzieńczy, popędliwy a szyderski, który wymówił kilka uprzednich wyrazów — Reb Mosze! — powtórzył, — czy to nie Izraelskie dziecko jest, abys ty na nie morze złości swęj wylewać miał? Czy to nie ubogie dziecko nędzarza jest? czy to nie nasz brat?

Wołając tak, Meir, z gorącym rumieńcem na bladoj wprzódki twarzy, pochylił się nad skureczonem przy ziemi, niemem i nieruchomem dzieckiem i wziął je na ręce. Wnet też zmierzać zaczął ku drzwiom. Odwrócił się jednak raz jeszcze i zawołał:

— Reb Mosze! ty z głów izraelskich dzieci wyjmiesz rozum, a z serc ich wydzierasz litość! Ja słyszałem jak niektórzy z chłopców tych śmieli się, kiedy ty Lejbela biłeś, i u mnie od śmiechu ich serce pełne lez.

Powiedziawszy to, wyszedł z dzieckiem w objęciu. Reb Mosze teraz dopiero obudził się z osłupienia, w które pograżył go był najniespodziewańszy dlań napad. Porwał się z ziemi i krzyknął:

— *A merder! rozbójnik, ferszołtner!*

I zwracając się ku szkole swęj, ze ściśniętymi pięściami, wołał:

— Gońcie! łapcie! bijcie! kamienujcie!

Nie było jednak nikogo, kto-by rozkazów tych

wysłuchać i spełnić je mógł. Szkoła świeciła najpiękniejszemi pustkami. Poobalane tylko ławy i porzucane na ziemi księgi świadczyły o gwałtownie dokonanej dezercyi kilkudziesięciu chłopców, którzy, widząc współuczniwa swego wyratowanego z pod pięści mistrza, a samego mistrza obalonego na ziemię i walczącego z kulawym stołem, — który, acz kulawy, przygniatał go i powstać mu z upadku przeszkadzał, — częścią ze strachu, częścią ze swawoli i tęsknoty za wolnością, gromadnie ruszyli się z ław swych i z wrzaskiem przeraźliwym, wyskoczywszy z chederu, czém kto mógł, drzwiami czy oknami, rozsypali się po miasteczku całém, naksztalt stada ptaków, z klatki uwolnionego.

Cheder był pusty, dziedziniec szkolny był pusty, i tylko na ganku Bet-ha-Kaolu stało, poważnie ze sobą rozmawiając, kilku urzędników kahalnych. Ku nim-to, w poskokach przebywając dziedziniec, chwytając się obu rękoma za rozczochraną głowę, krzycząc i dysząc, pobiegł znieważony mędrzec Reb Mosze.

Meir tymczasem, szybko idąc, niósł w objęciu swém dziecko, po którego chudych policzkach spływały teraz wielkie łzy. Dziwna rzecz przecież! Z za łez, ku twarzy Meira wzniesione oczy Lejbela mniej były martwe i mniej idyotyczne, niż zwykle, a po ustach jego, drżących od płaczu, pomimo przestrachu i bólu, którego doświadczył, krążył uśmiech.

Uśmiechając się, dziecko wybawione płakało i patrzyło w twarz wybawiciela swego.

— Morejne! — szepnął po chwili Lejbele.

— Morejne! — powtórzył ciszéj, — jaki ty dobry!

Na rogu biednéj uliczki, o domkach malutkich i ciemnych, Meir postawił dziecko na ziemi.

— No! — rzekł, wskazując mu widniejącą zdala chatę krawca Szmula, — idź teraz do domu...

Lejbele zmartwiał znowu. Wsunął ręce w rękawy i stał śród drogi jak nieruchomy posązek. Meir uśmiechnął się i spojrzał w twarz dziecka.

— Boisz się? — zapytał.

— Boję się! — odpowiedział mu posązek gardłowym głosem.

Młody człowiek, zamiast wrócić, jak miał zamiar, poszedł ku chatce Szmula. Tuż, krok w krok za nim, z rękoma w rękawach i otwartemi usty szedł Lejbele.

Dzień kończył się. Na ubogiej uliczce kończyły się téżienne prace. Ludność, mizerna, ogorzała, ołachmaniona, cuchnąca, wysypała się przed progi domostw.

Zaledwie Meir uszedł kilkadziesiąt kroków, spostrzegł szczególną zmianę, która wśród ludności téj zaszła względem niego. Dawniej przechodzącego wnuśka bogatego Saula witano tu z niskimi pokłonami; bliżsi znajomi przystępowali doń i z poufalością, pełną przyjaźni, powierzali mu troski swe, biedy, a nie-

kiedy nawet skrupuły sumienia; inni z okien otwartych lub z pod ścian domostw przysyłali mu głośnie i przyjazne *Szolem Alejchem!* (pokój tobie!)

Teraz zwróciło uwagę jego kilkanaście spojrzeń, rzuconych nań, skośnych i niechętnych; kobiety przypatrywały się mu z rodzajem osłupiałej ciekawości, i szepecząc między sobą, wskazywały nań palcami; jeden nawet z traczy owych, którzy przez miesiąc cały pracowali na dziedzińcu domu Saula i z którymi nieraz dzielił on pracę wesoło i przyjacielsko, nie pozdrowił go, lecz na widok jego smutnie a trochę niechętnie wsunął się do szarego wnętrza swęj chatki.

Meir niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Co to jest? — pomyślał, — czego oni chcą ode mnie? co ja im złego zrobiłem?

Dziwném mu się także wydać mogło, że krawiec Szmul nie wybiegł z chaty swęj, jak zwykle bywało, ażeby spotkać go, rzucić się mu do rąk i osypać go gradem podziękowań, pochlebstw, skarg i narzekań. Wszedł jednak do małego domku, a Lejbele pozostał przed progiem i w skurczonęj postawie usiadł pod ścianą.

Młody człowiek pochylić musiał głowę, ażeby przejść przez niskie drzwiczki, prowadzące z ciemnéj sionki, w której śród zmroku ruszyły się i bieleły w kącie dwie kozy, do izby, ciasnéj i, pomimo otwartego na ulicę okienka, dusznęj i cuchnącéj. W progu rozminęła się z nim kobieta chuda, z ciem-

na, pomarszczoną twarzą. Była to żona Szmula; wyszła ona przed próg i, milcząc, dała siedzącemu przy ścianie dziecku kawał czarnego suchego chleba. Wieczерzę taką otrzymywał codziennie Lejbela po powrocie z chederu.

Cała zresztą rodzina Szmula w chwili wejścia Meira do izby spożywała podobną wieczerzę, z tą różnicą, że trzy dorosłe dziewczyny, dwaj mali chłopcy, Szmul sam i stara matka jego, do chleba dawali drobne szczypty cebuli, znajdującęj się w dość skąpęj ilości na wyszczerbionym, czarnym talerzu. Oprócz dwóch chłopców, znacznie młodszych od Lejbela, którzy, przysiadłszy w kącie na ziemi, gryźli zawzięcie wydzielone sobie porceye stwardniałego chleba, dwuletnie dziecko pełzało po podłodze u stóp ogromnego czarnego pieca, a inne jeszcze, kilkumiesięczne, spało w kolebce, zawieszonęj na sznurach u belki sufitu i poruszanej przez jedną z dorosłych dziewcząt. Druga dziewczyna krzątała się około kóz w ciemnej sionce, trzecia zaś łamała chleb na drobne kęski, które posypywała cebulą i wkładała w drżące ręce niewidomęj matki Szmula. Stara ta, niewidoma matka siedziała na jedyném łóżku, które znajdowało się w izbie; inne bowiem osoby, rodzinę składające, sypiały na twardych wązkich ławach lub na ziemi. Ale stara matka posiadała łóżko dość dostatnio usłane; chustka, skrzyżowana na piersiach jęj, cała była i czysta, a wielki czepiec, okrywający głó-

we, uszyty był z czarnego atłasu i suto nawet wygarniowany. Siedząca obok niej wnuczka, w brudnej odzieży, z rozczochranemi włosy, wkładała w ręce jej, a czasem i w usta, gorzej niż ubogą żywność, z powagą taką, jak gdyby ciągle myślała o tém, że spełnia coś bardzo ważnego. Niekiedy nawet grubą, czarną prawie ręką swą gładziła pomarszczoną, trzęsącą się rękę babki, a widząc trud, z jakim staruszka spożywa twarde jedzenie, wstrząsała głową, uśmiechając się pobłaźliwie i zachęcająco.

Jak w obszerném i zamożném domostwie bogatego Saula, tak w natłoczonej, brudnej, ciemnej izdebce nędzarza Szmula, najstarsza w rodzinie kobieta zajmowała miejsce najwygodniejsze i przedmiotem była ogólnej troskliwości i czci. Nigdy albowiem nie widziano wśród Izraela, aby syn, bogacz lub nędzarz, zaniedbał w starości czy w niedoli tych, którzy mu dali życie. „Jak gałęzie od drzewa swego, tak my wszyscy od niej początek bierzemy!” — powiedział o matce swój zwierzchnik rodziny Ezofowiczów. Chajet Szmul nie umiał wyrażać uczuć swych tak, jak kupiec Saul, lecz gdy matka jego oślepla, w żalu wielkim wrywał sobie z głowy czarne kędzierzawe włosy; potem wraz z rodziną swą pościł przez trzy dni, aby za cenę pożywienia, którego się wyrzekł, kupić dla niej stare, rozpadające się łóżko; potem łóżko to własnymi rękoma zbijał i naprawiał, aby do ściany przyparte stać mogło; a otrzymawszy od Sary Ezo

fowiczówny, żony Bera, czarną atlasową suknię do uszycia, odciął spory kawałek cenniejszej materii i uszył dla matki wywatowany i wygarniowany czepiec.

Ujrzawszy wchodzącego do izby Meira, Szmul porwał się ze stołka, na którym siedział, i poskoczył ku gościowi. Pochylił się przed nim zwykłym swym niskim, giętkim ukłonem, ale nie pocałował go w rękę, jak dawniej, i nie wybuchnął wielką radością: — Aj! co za gość! co za gość!

— Morejne! — zawołał, — już ja wiem, co ty dziś zrobił! Bachury biegli tędy z chederu i krzyczeli, że ty mego Lejbela z silnych rąk Reba Mosza wyrwał a jego samego popchnął i przewrócił! Ty to z dobrego serca zrobił, ale to źle, morejne! bardzo źle! Ty przez to wielkiego grzechu dopuścił się i mnie w wielkiej biedzie utopił. Teraz Reb Mosze, — niech sto lat żyje, — nie zechce już mego Lejbela, ani moich młodszych synów do swego chederu przyjąć, i oni nigdy uczonymi nie zostaną! Aj wuj! Morejne! co ty, przez twoje dobre serce, sobie i mnie narobił!

— Nade mną ty, Szmulu, nie biadaj! niech już ze mną stanie się co chce! — z żywością odparł Meir, — ale ty ulituj się nad swoim własnym dzieckiem, i w domu przynajmniej nie bij go. On dość już w chederze cierpi...

— Nu! jakto cierpi! to co, że cierpi! — zawołał Szmul, — Pradziady, i dziady, i ojcowie moi do che-

deru chodzili i cierpieli! i ja chodziłem i cierpiałem tak samo! a co robić, kiedy trzeba!

— A czy ty, Szmulu, nigdy nie pomyślałeś sobie, że może inaczej trzeba?—łagodniej już zapytał Meir.

Szmulowi oczy zaświeciły.

— Morejne! — zawołał, — ty grzesznych słów w chacie mojej nie wymawiaj! Moja chata bardzo biedna jest, ale w niej, dziękować Bogu, wszyscy świętych Zakonów strzegą i rozkazań starszych słuchają! Chajet Szmul biedny jest bardzo i z pracy dwóch rąk swoich utrzymuje żonę, ośmioro dzieci i starą, ślepą matkę; ale on czysty przed Panem i ludźmi, bo święte Zakony on wiernie chowa. Chajet Szmul sabbaty święci, koszerów pilnuje, wszystkie naznaczone szemy i tefle do Pana Boga, krzycząc i jęcząc, odmawia, a chazaru on nigdy na oczy swoje nie widział i z goimami przyjaźni żadnej nie trzyma, bo wie, że Jehowa jednych tylko Izraelitów kocha i strzeże, i że Izraelici tylko duszę w sobie mają. Tak robi biedny chajet Szmul, bo tak Pan Bóg przykazał i tak robili pradiady, dziady i ojcowie jego!..

Gdy cienki, giętki i zapalczywy Szmul wszystko to wypowiedział, Meir zapytał go łagodnie i z namysłem:

— A czy pradiady, dziady i ojcowie twoi szczęśliwi byli? A czy ty sam, Szmulu, szczęśliwy jesteś?

Na zapytanie to ozwało się znowu w Szmulu z żywością całą poczucie nędz znoszonych.

— Aj! aj! — zawołał, takiego szczęścia, żeby nieprzyjaciele nie mieli! Skóra przeszła do kości moich, a w sercu mojem ja zawsze wielkie boleści czuję...

Tu w jękliwą mowę krawca wmieszał się odgłos odzywającego się w najciemniejszym kącie izby ciężkiego westchnienia. Meir obejrzał się, a widząc szarejącą w zmroku, pomiędzy ogromnym piecem a ścianą, postać jakąś wysoką i barczystą, zapytał:

— Kto tam taki?

Szmul żałośnie skinął głową i ręką.

— Ot! — rzekł, — to furman Jochel zaszedł do mojej chaty! my z sobą dawno znajomi!

W téj chwili wysoka i barczysta postać poruszyła się z kąta, w którym nieruchomo stała, i zbliżyła się do rozmawiających. Jochel był mężczyzną potężnej budowy ciała; pomimo to, wydawał się znędzniałym i przygnębionym. Spencerem bez rękawów, podartym i brudnym, przyodziany, stopy miał bose i poranione, włosy rude, ogromne, splątane, usta obrzękłe, oczy ze spojrzeniem zuchwałém, a jednak często spuszczał się ku ziemi. Przystąpił do stołu i wziął z talerza szczyptę cebuli, którą przysypał kęs czarnego chleba, trzymany w ręce.

— Meir! — rzekł śmiało, patrząc na młodzieńca, — ty mój dawny znajomy! ja stryja twego Rafała wozilem, kiedy on jechał po ciebie, małego sierotę, a potem przywiozłem jego i ciebie do Szybowa.

— Ja ciebie, Jochelu, i później widywałem, —
— rzekł Meir, — ty porządnym furmanem byłeś...
cztery konie miałeś...

Uśmiechnął się obrzękłymi usty terazniejszy
mieszkaniec *Hek-Doszu*.

— Nu, — rzekł — to prawda! ale mnie potem
nieszczęście przytrafiło się... Ja chciałem jeden wiel-
ki interes zrobić... i ten interes mię zgubił. A jak
on mię zgubił, to mnie drugie nieszczęście przytra-
fiło się...

— To drugie nieszczęście, Jochelu, — rzekł Meir,
— to był grzech twój... Na co było tobie konie ze
stajni *purycy* w nocy wyprowadzać?

Zapytany roześmiał się cynicznie.

— Jakto na co? — rzekł — ja chciałem je sprzedać
i dużo zarobić...

Szumł litościwie wstrząsał głową.

— O! oj! — westchnął, — Jochel jest biednym
bardzo biednym człowiekiem! On trzy lata pokuty
swojej w turmie odsiedział, a teraz, jak jego ztamtąd
wypuścili, on nie ma żadnego zarobku i musi w *Hek-*
Doszu siedzieć...

Jochel ciężko westchnął znowu, ale wnet potem
energicznie podniósł głowę.

— Nu, — rzekł, cóż robić? może ja i będę miał
wielki zarobek...

Słowa te włóczęgi-nędzarza przypomniały Meiro-
rowi tajemniczą, krótką rozmowę, którą przez okno

Hek-Doszu prowadził on przed godziną z moźnym Kamionkerem. Uderzyła go zarazem zmiana, którą słowa Jochela wywołały na twarzy Szmula. Delikatna, blada, ruchliwa twarz ta zadrgała mnóstwem drgnień nerwowych, objawiać mogących zarówno gwałtowną radość, jak boleść. Zarazem oczy jego roziskrzyły się i ręce zatrzęsły.

— Nu! — zawołał, — co to można wiedzieć, co z człowiekiem jutro stanie się! Kiedy on dziś bardzo biednym jest, to jutro może być bardzo bogatym! Co to można wiedzieć? może i chajet Szmul wybuduje sobie kiedy piękny dom przy rynku i będzie wielki handel prowadził!

Meir uśmiechnął się smutnie. Bezzasadne, jak mu się zdawało, nadzieje dwóch biedaków budziły w nim litość. Patrzył on teraz w zamyśleniu na widniejące przez okno, za niskimi domostwami, szerokie rozłogi pól.

— Ty, Szmulu, — rzekł, — z pewnością nie zbudujesz sobie nigdy wielkiego domu przy rynku, i Jochel nie znajdzie tu sobie wielkiego zarobku! No! co to dziwnego? Was tu tylu jest w jedném miejscu, że nikt dobrego zarobku mieć nie może. Ale ja sobie myślę: żebyście nie cisnęli się tu wszyscy na tych brudnych, małych uliczkach, lecz rozsypali się po szerokim świecie, i żebyście wy, wielkich zarobków nie spodziewając się, pracować zaczęli koło ziemi,

jak pracują chrześcijańscy chłopci, to-by wam może lepiej na świecie było!

Mówił to w zamyśleniu i mniej, jak się zdaje, myśląc o dwóch ludziach, toczących z nim rozmowę, niż o całej téj tłumnej ludności, która w téj chwili nappełniała powietrze nieopisaną wrzawą zmieszanych razem klótni kobiecych, hałasów dziecinnych i nieokreślonych jakichś, niewyraźnych, lamentów, zawozeń, i westchnień.

Ale krawiec Szmul, usłyszawszy słowa gościa, dwa razy we wzburzeniu wielkiem podskoczył i dwa razy jarmułkę na głowie swój targnął i przekrzywił.

— Morejne! — zajęczał, — jakie brzydkie słowa z ust twoich wychodzą! Morejne! czy ty chcesz wszystko w Izraelu do góry nogami przewrócić?

— Szmulu! — popędliwie zawołał Meir, — to prawda! Kiedy ja patrzę na nędzę waszą i na cierpienia dzieci waszych, i kiedy ja we własne swoje serce patrzę, — to ja-bym wtedy chciał wiele rzeczy w Izraelu do góry nogami przewrócić!

— Gwałt! — chwytając się obu dłońmi za głowę, krzyknął gwałtowny i wrażliwy Szmul, — ja nie chciałem temu wierzyć! Ja ludziom tym, co to gadali, w oczy plułem; ale teraz ja sam już widzę, że ty, Morejne, złym Izraelitą jesteś i że tobie Święty Zakon nasz i obyczaje pradziadów naszych nie miłe!

Meir drgnął cały i wyprostował się.

— A kto to mówił, że ja złym Izraelitą jestem?
— zawołał z pałającemi oczyma.

Szmul zmiarkował się w uniesieniu swém. Złagodniał nieco i do Meira bardzo blisko przystąpił. Nikt słyszeć tego nie mógł, co mówić miał, bo Jochel stał już znowu w głębokim cieniu pieca, przeżuwając głośno chleb z cebulą, a kobiety i dzieci wysypały się z chaty na ulicę. Jednak mówił on bardzo cicho i z wyrazem takiój grozy na twarzy, jakby słowa jego zawierały w sobie tajemnicę potężną i groźną.

— Morejne! ty darmo pytać się będziesz: kto to mówi? Jak liście na drzewach szeleszczą, tak usta ludzkie szepecą, a nikt nie zgadnie, który liść poruszył się, i które usta zagadały. O tobie, Morejne, cały naród złe rzeczy mówić zaczął! O tobie mówią, że ty sabbatów nie strzeżesz, przekłete książki czytasz, obrzydliwe pieśni śpiewasz, młodzieńców izraelskich przeciw świętemu zakonowi buntujesz, uczonych i bogaczy nie szanujesz i...

Tu wstrzymał na chwilę szybką mowę swą Szmul, a potem zaledwie już dosłyszalnym, wstydliwym szeptem dodał:

— I z karaïmską dziewczyną nieczystą przyjaźń trzymasz!

Meir stał jak skamieniały. Zbladł, a oczy pałały mu coraz goręcej.

— Kto to wszystko mówi? — powtórzył stłumionym od wzruszenia głosem.

— Morejne! — odpowiedział Szmul, rozkładając oba ramiona rozpaczonym giestem. — Ty za pokutę siedział przez cały tydzień w Bet-ha-Midraszu, a my wszyscy biedni ludzie, co przy uliczce téj mieszkamy, dowiedziawszy się o tém, wielki gwałt zrobili! I byli tu tacy ludzie, co chcieli iść do dziada twego, Saula, i do samego Rabbina, prosić ich, aby oni z ciebie tak wielki wstyd zdjęli. Tracz Judel chciał iść, i furman Baruch chciał iść, — nu! i chajet Szmul także chciał iść! Ale potém zaczęły się pomiędzy ludźmi gadania różne. A jak my z tych gadań dowiedzieli się, za co ciebie ukarali, to między nami zrobiło się cicho. My powiedzieliśmy sobie: choć on dobry i litościwy bardzo, i pysznym z nami, nędzarzami, nie był, i wiele nam w biedach naszych pomagał; ale kiedy on Zakonu Świętego nie strzeże, to niech stanie się tak, jak powiedział zejde jego, wielki bogacz, i niech on ukaranym będzie!

Umilkł nakoniec, zdyszany długiem i szybkim mówieniem, Szmul, a Meir, patrząc mu w twarz palającym, przenikliwem wejrzeniem, zapytał:

— A żeby mnie bogacze i uczeni ukamienować kazali, wy-byście znów powiedzieli: niech się tak stanie?

Szmul przeraził się zrazu strasznem przypuszczeniem Meira, tak bardzo, że aż o parę kroków odskoczył.

— Gwałt! — zawołał, — na co takie brzydkie rzeczy przypuszczać sobie do głowy!

Potém jednak dodał spokojniój:

— Nu! Morejne! żebyś ty Świętego Zakonu naszego nie strzegł...

Nie dokończył, bo przerwał mu Meir pełnym uniesienia głosem:

— Szmulu! a czy wy wszyscy wiecie, co jest Święty nasz Zakon? Co w nim jest Boskie rozkazanie, a co ludzkie wymyslenie?

— Szaaa! — syknął zcicha Szmul, — nas ludzie słuchają! Ja nie chcę, Morejne, żeby w mojej chacie spotkała ciebie nieprzyjemność!

Meir rzucił spojrzenie za okno i zobaczył, iż w istocie kilku dojrzałych mężczyzn obsiadało długą, wąską ławę, stojącą u ściany domostwa Szmula. Ludzie ci nie podsłuchiwali bynajmniej, owszem, rozmawiali nawet z sobą, ale parę ostatnich wykrzyków Szmula i Meira usłyszeli snadź, bo nachylili twarze ku otwartemu okienku i patrzali we wnętrze izby oczyma wpółzdziwionemi a wpółniechętnemi. Meir niecierpliwie rzucił ramionami i, nie żegnając Szmula, zmierzył ku wyjściu. Ale gdy był już przy progu, Szmul poskoczył ku niemu i, schyliwszy szybko giętką swą postać, w rękę go pocałował.

— Morejne! — szepnął, — ja ciebie bardzo żałuję! Ty upamiętaj się! U ciebie serce bardzo dobre, ale głowa bardzo zła! W niej ogień pali się! Aj waj! co ty z mełamedem dziś zrobił! Morejne! ty upamiętaj się i nie rób zgorszenia w Izraelu!

Trzymając wciąż rękę Meira w twardej swój dłoni, podniósł ku niemu twarz nerwowo znów drgającą i dodał śpiesznie:

— Morejne! żebyś ty nie był pod takiem straszném oskarżeniem, ja-bym dziś przed tobą serce moje otworzył. Bo dziś chajet Szmul ma wielkie kłopoty! On sam nie wie co zrobić! On może pozostać takim biednym na całe życie, jakim jest, i może zrobić się bogatym! On może być bardzo szczęśliwym, i bardzo nieszczęśliwym, bo do niego przychodzi teraz wielkie szczęście i w ręce jemu lezie; ale on lęka się jego brać, bo ono wygląda tak, jak nieszczęście!

Meir ze zdumieniem patrzył na nędzarza, czyniącego mu w ten sposób zagadkowe jakieś półzwierzenia. Ale w téj chwili z za czarnego pieca ozwał się gruby, chrypiący głos Jochela:

— Szmul! czy ty będziesz milczał? *Kom her.*

Szmul, z drgającą wciąż, nieprzytomną prawie twarzą, odskoczył od Meira, który, zamysłony i z palającym okiem, wyszedł na ulicę.

Tu, na widok jego, schmurzyły się widocznie twarze siedzących u ściany ludzie. Dwaj z nich pozdrowili go krótko i obojętnie; nikt, jak zwykle bywało dawniej, nie wstał przed nim i nikt nie postąpił ku niemu, aby towarzyszyć mu i poufnie z nim rozmawiać przez całą długość ulicy.

Tylko z pod ściany domu podniosło się dziecko, w szarą, długą surducinie, i zaledwie Meir o parę



kroków oddalił się od progu domostwa, postąpiło za nim. Ręce miało wsunięte w rękawy odzieży i oczy zmęczone, przymykające się niemal od senności. Szło jednak, a że młody człowiek postępował krokiem wzburzonym i szybkim, ono także przyspieszało kroku.

Tak jeden za drugim idąc, Meir i Lejbele, przebyli długą uliczkę i znaleźli się wkrótce na pustych gruntach, oddzielających ostatnie domostwa miasteczka od Karaimskiego wzgórza.

Zmierzch panował już zupełny, ale w chacie Abła Karaima nie paliło się żółte światelko małej świeczki. Nie spano w niej jednak, bo zaledwie Meir zbliżył się do otwartego jój okna, zarysowała się w niém wysmukła postać Gołdy.

Pozdrowili się wzajem milczącym skinieniem głowy.

— Gołda! — rzekł Meir zeicha, lecz pośpiesznie, — czy ciebie żadna nieprzyjemność od nikogo nie spotkała? czy tobie nikt nie złego nie zrobił?

Dziewczyna milczała chwilę, a potem odpowiedziała wzajemnym pytaniem:

— Dlaczego ty, Meir, zapytujesz mnie o to?

— Bo ja lękam się, żeby tobie jaka krzywda nie stała się. Ludzie zaczęli o tobie gadać!

Gołda wzgardliwie nieco wzruszyła ramionami.

— Ja o ich krzywdy nie dbam, — rzekła, — ja z krzywdą razem wyrosłam i ona jest siostrą moją.

Umilkła na chwilę. Meir wydawał się wciąż nie-spokojnym.

— Dla czego u was dziś ciemno w chacie? — zapytał.

— U mnie wełny niema do przedzenia, a zejde modli się sobie w ciemności.

W istocie, w kącie izby szemrał drżący głos modlącego się Abła.

— A czemuż ty wełny nie masz do przedzenia? — zapytał Meir.

— Odniosłam Hanie Witebskiej i Sarze, żonie Bera, to, co dla nich uprzedłam, a one mi więcej roboty nie dały.

— Czy one tobie nie złego nie powiedziały? — porywczo zapytał Meir.

Gołda milczała znowu przez chwilę.

— Ludzkie oczy mówią czasem gorsze rzeczy, niż usta — wymówiła spokojnie.

Widocznie skarżyć się nie chciała ani obwiniać nikogo.

Być może zresztą, iż mało obchodziło ją wszystko, co się tyczyło jęj samęj, i że umysł jęj był czém inném zajęty.

— Meir! rzekła, — ty w tych dniach wielką nieprzyjemność miałeś...

Meir usiadł na małęj, wązkiej ławce, stojącęj pod otwartém oknem, oparł głowę na dłoni i westchnął ciężko.

— Największą zgryzotę ja dziś miałem, — odpowiedział. — lud mój odwrócił twarz swoją ode mnie i za wroga swego mnie ogłosił... Kiedy przechodzę, widzę na miejscu przyjaźni — nieprzyjaźń, a ci, którzy przede mną serca swoje otwierali, mają mnie teraz w podejrzeniu...

Gołda smutnie pochyliła głowę; Meir mówił po chwili dalej:

— Ja już teraz nie wiem sam co robić i jakim być... wielkie wątpienie duszę moję objęło. Jeżeli ja będę mówił i robił według serca mego, lud mój znienawidzi mnie i różne nieszczęścia na mnie spadną.. a jeżeli będę mówił i robił przeciw sercu memu, sam siebie znienawidzę i żadne szczęście miłem mi nie będzie... W Ha-Midraszu siedząc, ja sobie myślałem zgodę ze wszystkimi trzymać, na głupie i złe rzeczy oczy zamykać i spokojnie sobie żyć... ale, z Ha-Midraszu wyszedłszy, zaraz nie mogłem wytrzymać i za jedno biedne dziecko bardzo na siebie obraziłem mełameda, a przez mełameda wszystkich starszych i cały lud... Ot, co ja dziś zrobiłem! A teraz znów myślę sobie: na co to przyda się? Czy przez to mełamed nie będzie biednym dzieciom rozumu z ich głów wyjmować i zdrowia ich ciałom odbierać?... Co ja mogę? ja jeden... młody!.. żony i dzieci jeszcze nie mam, i interesów wielkich nie prowadzę... to nade mną wszyscy wszystko mogą, a ja nie nad nikim... Moich przyjaciół prześladują za to, że oni ze mną przyjaźń

trzymają... oni zlekną się i mnie porzucą... Ciebie zaczęli już prześladować za to, że ty serce swoje połączyłaś z mojem sercem i głos swój dałaś za towarzysza mojemu głosowi... i ja ciebie przez to zgubię. Może już lepiej oczy i usta zamknąć... smutkowi i tęsknocie kazać, żeby z serca szły precz... i żyć tak, jak oni wszyscy żyją?...

Coraz ciszej mówił to Meir; w głosie jego czuć było, że pierś mu targały srogie bóle niepewności i zwątpienia.

Dość długie potem zapanowało milczenie, a w tejże chwili za wzgórzem, u stóp którego stała chatka, odzywać się poczęły szczególne jakieś szmery. Z razu słabo tylko rozróżnić można było wśród szmerów tych turkoty kół, cicho sunących po piaszczystym gruncie, przyciszone rozmowy i tłumne stąpania ludzkie. Po chwili jednak coraz wyraźniejszymi i bliższymi stawały się odgłosy te, a wśród cisy głębokiej, która w miejscu tém panowała, było w nich coś tajemniczego.

— Co to jest? — prostując się, wyrzekł Meir.

— Co to jest? — powtórzyła spokojnie Golda.

— Mnie się zdaje — zaczął młody człowiek — jakby z tamtej strony góry wiele wozów jechało i sta-
nęło...

— A mnie się zdaje jakby w tej górze huczało coś i stukało. — Istotnie zdawać się mogło, że stąpania ludzkie odzywały się teraz w samem wnętrzu

wzgórza, a oprócz nich słychać tam było stuk rzu-
canych jakby, czy ustawianych, ciężkich przedmiotów.

Trwoga odmalowała się na twarzy Meira. Spoj-
rzał głęboko w twarz Gołdy.

— Zamknij okno i zarygluj drzwi! — rzekł po-
śpiesznie — ja pójdę, zobaczę, co tam takiego?

Widocznie lękał się o nią. Ale dziewczyna wzru-
szyła ramionami i odpowiedziała:

— Na co ja mam okno i drzwi zamykać? One są
bardzo słabe i, choćbym je zamknęła, każdy, kto dot-
knie się do nich silną ręką, otworzy je sobie.

Meir okrążał już wzgórze i wkrótce znalazł się po
drugiej jego stronie. Widok, który tam ujrzał, napęł-
nił go zdziwieniem.

Na piaszczystych zagonach stały, półkřęgiem
wzgórze otaczając, wozy, jedno- i dwukonne, nałado-
wane drewnianemi beczkami najrozmaitszych rozmia-
rów. Około wozów ruszało się mnóstwo ludzi: wie-
śniaków-chrześcian i Izraelitów. Wieśniacy zdejmowa-
li beczki z wozów i wtaczali niektóre z nich w głę-
boką jamę, wytworzoną naturalnie czy sztucznie we
wnętrzu wzgórza; Izraelici zaś krążyli pomiędzy wo-
zami, przypatrywali się beczkom, uderzali w nie
lekko palcami, a potem skupiali się dokoła człowie-
ka, który stał przycisnięty do stoku wzgórza, i toczy-
li z nim przyciszone, lecz nadzwyczaj żywe rozmowy.

Pośród Izraelitów tych Meir ujrzał kilku znanych
mu z widzenia sąsiednich szynkarzy; człowiekiem

zaś, który przyciskał się do wzgórza i wiódł z nimi tajemnicze, choć zapalczywe jakieś targi i umowy, był Jankiel Kamionker.

Wieśniacy, dokonywający pracy przenoszenia beczek lub stojący nieruchomo u wozów, milczeli ponuro. Silna, odurzająca woń alkoholu rozchodziła się po równinie i przejmowała nawskrós powietrze letniego wieczoru.

Zdziwienie Meira krótko trwało. Zaczął on snadź domyślać się znaczenia sceny, na którą patrzył, i widać było, że powziął postanowienie jakieś; bo w zamiarze jakby zbliżenia się do Kamionkera, postąpił parę kroków naprzód. Lecz nagle, od ściany wzgórza oderwała się i drogę mu zagroziła wysoka, barczysta postać człowieka z bosemi nogami i rozczochranymi włosy.

— Czego ty tu idziesz? Meir! — stłumionym szep-tem wyrzekł człowiek ten.

— A czemu ty, Jochelu, iść mi nie pozwalasz? — odpowiedział Meir, i chciał ominąć stojącą mu na drodze przeszkodę, ale Jochel przytrzymał go silnie za rękaw od surduta.

— Czy ty już na tym świecie żyć nie chcesz? — szeptał. — Mnie ciebie żal, bo ty dobry jesteś i ja tobie mówię: idź ty sobie ztąd.

— A jeżeli ja ciekawy jestem wiedzieć, co to tutaj takiego Reb Jankiel ze swymi szynkarzami i z temi beczkami robi?

— A co tobie do tego? — zaszeptał raz jeszcze Jochel—niech twoje oczy nie widzą i twoje uszy nie słyszą tego, co tutaj Reb Jankiel robi! On wielkie interesa robi i ty jeszcze mu przeszkodzisz... A na co tobie przeszkadzać? czy ty będziesz z tego korzyści jakie miał? czy ty co przeciw niemu możesz?

Meir stał chwilę jak oniemiały. Potém odwrócił się i poszedł zwolna w inną stronę.

— Czy ja co mogę? — wymówił drgającemi wargami.

Przechodząc mimo chaty Abła Karaima, zobaczył Gołdę, która stała jeszcze w oknie. Skinął ku niej głową i rzekł:

— Śpij w spokoju!

Ale ona zawołała go:

— Meir! tu jakieś dziecko siedzi na ziemi i śpi!

Meir zbliżył się i spostrzegł w istocie u końca ławki, na której siedział był przed chwilą, skurczoną na ziemi, szarą postać dziecięcą.

— Lejbele! — rzekł ze zdziwieniem.

Nie widział był chłopca, który tu za nim przyszedł i cicho za nim téż usiadł. Teraz spał on głęboko, łokcie wspierając na podniesionych kolanach, a głowę trzymając w obu dłoniach.

— Lejbele! — powtórzył Meir i położył dłoń na głowie śpiącego.

Dziecię obudziło się, otworzyło senne oczy i, wzno-

sząc je ku twarzy pochylającego się nad niém młodzieńca, uśmiechnęło się.

— Czego ty tu przyszedłeś, Lejbele? — uśmiechając się też, zapytał Meir.

Dziecko namyślało się chwilę, potem odpowiedziało:

— Za tobą...

— Ojciec już śpi i matka już śpi... — zaczął Lejbele, przechylając głowę na obie strony i wciąż uśmiechając się.

— I kozy już śpią... — dodał po chwili i, na wspomnienie zapewne tych najlepszych towarzyszek swoich, zaśmiał się głośno.

Ale z ust Meira zniknął przelotny uśmiech, wywołany uśmiechem dziecka. Wyprostował się, westchnął i pochylając głowę, wymówił do siebie:

— Co mnie teraz robić?

Golda obu dłońmi objęła swoją głowę, podniosła twarz i smutnemi oczyma patrzyła w gwiazdziste niebo. Po chwili szepnęła z cicha i nieśmiało:

— Ja zejdy spytam się! Zejde bardzo uczony jest... on całą biblią na pamięć umieć.

— Spytaj się! — odpowiedział Meir.

Dziewczyna zwróciła się ku ciemnemu wnętrzu chaty i zawołała:

— Zejde! Co Jehowa czynić każe człowiekowi, od którego lud odwraca twarz swoją za to, że on przeciw sercu swemu robić i mówić nie chce?

Na zapytanie to, Abel przerwał modlitwę, odmawianą półgłosem. Przywykł był snadź do częstych zapytań wnuczki i do udzielania na nie odpowiedzi, bo mileżał, długo w rozważaniu słów jój, czy w przypominaniu sobie słów świętych, zatopiony. Potém, w ciemności, napelniającej wnętrze chaty, ozwał się stary, trzęsący się, lecz podniesiony nieco głos jego:

— Jehowa rzekł: uczyniłem cię, proroku, stróżem Izraela! Słuchaj mowy mojej i powtarzaj ją ludowi twemu. Jeżeli czynić to będziesz, nazwę cię wiernym sługą moim; lecz jeśli mileżać będziesz, na głowę twą spadną nieszczęścia Izraela!

Stary głos, wymawiający słowa te, umilkł, a Meir słuchał jeszcze z podniesioną, pobladłą twarzą i żarzącem się okiem. Po chwili wskazał palcem ku temu punktowi ciemnej izby, w którym znowu szemrać poczynąła modlitwa starca, i drżącym głosem rzekł:

— To jest prawda! przez usta jego przemówił stary Zakon Mojżeszowy! prawdziwy nasz Święty Zakon!

W oczach Goldy świeciły wielkie łzy, ale nie widział ich Meir. Zatopiony w myśli jakiejś, która objęła i rozplomieniła całą jego istotę, zwolna skinął głową ku młodej dziewczynie na znak pożegnania i odszedł.

Ona pozostała u otwartego okna i patrzyła za odchodzącym. Postawa i twarz jój były spokojne,

ale po ciemnych, chudych licach, łzy płynęły jedna za drugą.

— Prorokowi Ozyaszowi głowę ścięli... Proroka Jeremiasza z Palestyny wygnali!... — szeptała.

Meir zaś, o kilkanaście kroków od małej chatki znajdując się, z podniesioną ku niebu bladą twarzą, wymówił:

— Rabbi Akiba za prawdę swoją w wielkich męczarniach umarł!

Oczy Gołdy szeroko otwierały się, aby mózgi jak najdłużej dojrzyć, pośród wieczornych ciemności, oddalającą się zwolna postać młodzieńca. Powoli spłótły się jej ręce, a usta, zwilżone łzami, szepnęły:

— Jak Ruth powiedziała świekrze swojej, Noemi, tak niech ja powiem tobie, światłości duszy mojej: Bóg twój, jest Bogiem moim, lud twój jest ludem moim, a smutek mój ja dam za towarzysza twemu smutkowi i duszę moją rozwiode z ciałem razem z duszą twoją!

W ten sposób dzieci te, przejęte nawskróś techniem starych dziejów i podań Izraela, które im całą mądrość świata zastępować musiały, z nich czerpały dla siebie naukę, pociechy, męstwo i łzy.

II.

Na świecie dniało zaledwie, ale w domostwie Jankla Kamionkera, oprócz dzieci najmniejszych, nikt już nie spał. Wschodzący dzień ważnym miał być dla właściciela zajezdnego domu; był to albowiem jeden z głównych w roku dni targowych, sprowadzających do miasteczka tłumy okolicznej ludności wszech stanów i stopni społecznych. To też dwie córki Jankla, dorosłe, silne, brzydkie i rozczochrane dziewczyny, z pomocą czternastoletniego brata, Mendla, którego gapiowata i złośliwa twarz nosiła na sobie ślady długoletnich już studyów, w chederze Reb Mosza odbywanych, uprzętały zlekka dwa paradne pokoje, przeznaczone dla najdostojniejszych gości — przybrane w żółte, odwieczne, kulawe sprzęty, popielate od brudu firanki i w gliniane wazony, z których wyrastały ciemne jakieś karykatury roślin.

Obok paradnych apartamentów tych znajdowała, się ogromna izba szynkowa, w której zazwyczaj

w dniu podobnych zjazdów zgromadzały się, piły i tańczyły tłumy wieśniaków. W izbie tej dziewczka służąca próbowała czyścić, nigdy niewyczyszczające się, długie, wąskie stoły, ustawione dokola ław, otaczających ściany, i rozniecała skąpy ogień w głębokiém i czarném jak otchłań piecowisku; ranek bowiem chłodny był, a wielką, niską szynkownię napępniało powietrze stęchłe i wilgotne.

W mieszkaniu Jankła, w pierwszej od wejścia izbie, u dwóch okien, wychodzących na plac targowy, pusty jeszcze zupełnie i mgłą poranną okryty, stały dwie osoby: Jankiel i żona jego Jenta. Twarzami zwróceni ku oknom, odmawiali oni oboje długie modlitwy poranne.

Jankiel, w takiém już ubraniu, w jakiém zwykle dnie całe przepędzał, więc w długim wyszarzanym chałacie i grubéj czarnej chustce, wkoło szyi okręconéj, modlił się głośno.

— Błogosławionym bądź, Boże, Panie świata, za to, żeś nie stworzył mnie poganinem! Błogosławionym bądź za to, żeś nie stworzył mnie niewolnikiem! Błogosławionym bądź za to, żeś nie stworzył mnie kobietą!

Wymawiając to śpieszącemi i drżącemi od żarliwości ustami, kołysał postać swą w tył i naprzód namiętnemi ruchy. A w téjże chwili Jenta, w szafirowym kaftanie bez rękawów i krótkiej spódnicy,

z pod której ukazywały się stopy w ciemnych pończochach i płytkiem obuwiu, składała przed oknem krótkie, szybkie pokłony i znacznie ciszej od męża swego wymawiała:

— Błogosławiony bądź, Boże, Panie świata, za to, żeś stworzył mię tak, jak była wola Twoja.

Jankiel zarzucił sobie na piersi i plecy lekką płachtę płócienną, u której czterech końców wisiały białe sznurki, i mówił:

— Błogosławiony bądź, Boże, Panie świata, któryś oświecił nas przykazaniami swojemi i dał nam zakon o *cycelach*!

Jenta z krótkim pokłonem zaszeptała głośniej:

— Błogosławiony bądź, Panie świata, który oswobadzasz więźniów i prostujesz tych, co zgięci są w łęki!

Jankiel przebierał palcami nici, wiszące u rozpostartego przed nim na stolku *talesu*, mówiąc:

— Wielkim jesteś Boże, Panie świata! bardzo wielkim! Oblokłeś się wielkością i światłością jako płaszczem!

Jenta, kłaniając się wciąż, wzdychać ciężko zaczęła:

— Błogosławiony bądź, Boże, Panie świata, — szeptała — który dajesz siłę zmęczonemu, sen z oczu, a drzemanie z powiek moich spędzasz!

Wziął nakoniec Jankiel ze stolka *tales* swój, a owijając się płaszczem tym z białej, miękkiej

materyi o żalobnych szlakach, podniósł twarz wysoko i zawołał:

— Błogosławiony bądź, Panie świata, za to, żeś oświecił nas przykazaniami swemi i rozkazał nam oblekać się w *tales*!

Potém jeszcze, kołysząc się wciąż i poruszając ustami, włożył na głowę rzemień ze sporym guzem, przylegającym do czoła, a inny, podobny, okręcając w koło palca swego, wymówił:

— Zaręcę cię z Sobą na wieki! zaręcę cię z Sobą w prawdzie, miłości i łasce! zaręcę cię z Sobą w wierze, przez którą poznasz Pana!

Tak byli oboje małżonkowie zatopieni w modlitwach swych, że nie usłyszeli rozlegających się za nimi kroków ciężkich a śpiesznych.

Meir Ezofowicz przeszedł szybko izbę, w której modlili się Jankiel i żona jego, i, minawszy izdebkę, napelnioną łózkami, skrzyniami i kołyskami, w której spało jeszcze dwoje małych dzieci, uchylił zcicha niskie drzwiczki, prowadzące do izdebki kantora.

Szaro tu jeszcze było od porannego świtania. W błękitnawym zmroku, który napelniał izdebkę, twarzą zwrócony ku oknu, stał Eliezer i modlił się także. Usłyszał on wejście przyjaciela, bo zrazu głowę ku niemu zwrócił, modlitwy swój jednak nie przerwał. Owszem, wzniosł nieco w górę ręce swe i jakby wezwać chciał przybyłego do wspólnych modłów, głośniej wymówił:

— Boże Izraela! zagaś płomienny gniew Twój i zdejm niedolę z głowy ludu Twego!

Meir stanął o parę kroków za modlącym się przyjaciele, i odpowiedział słowami, któremi zazwyczaj lud odpowiada kantorowi intonującemu modlitwy:

— Spójrz z niebios i ujrzyj jakośmy stali się pośmiewiskiem i wzgardą między narodami; jako jagnię wiedziono nas na męki, hańbę i zniszczenie!

— Jednak nie zapomnieliśmy imienia Twojego; nie zapomnij-że i Ty o nas!—intonował znowu Eliezer.

W ten sposób odpowiadając sobie wzajem, dwaj młodzi ludzie, odmawiali wspólnie jedną z najpiękniejszych modlitw, jakie kiedykolwiek z rozbolełych serc ludzkich podniosły się do nieba. W modlitwie tej słowo każde jest łzą, a każda strofa akordem, opiewającym tragiczne dzieje wielkiego ludu.

— O! wyrzec się pomsty swój i okaż litość wybranemu Twemu! — mówił kantor.

— Obroń nas, Panie, i nie oddawaj nas w ręce okrutnych! Bo i pocóż mówić mają ludzie:—Kędyż ich Bóg!

— Usłysz jęk nasz i nie oddaj nas w ręce wrogów, pragnących zgładzić imię nasze! Wspomnij coś zaprzysiągł przodkom naszym: „Rozmnożę potomstwo wasze jako gwiazdy”; a teraz z wielkiego mnóstwa pozostało już nas tak mało!

— Jednak nie zapomnieliśmy imienia Twego; nie zapomnij-że i Ty o nas!

— O, straży Izraelowa, chroń ostatki Izraela, ażeby nie zginął lud wierzący w jedyne imię Twoje i mówiący: Pan nasz, Bóg jedyny!

Postawy dwóch przyjaciół były wśród modlitwy tak różne, jak różnemi były ich charaktery. Eliezer wznosił w górę drżące nieco ręce; błękitne oczy jego wilżyły się od miękkiego wzruszenia, a wiotka postać chwiała się mimowoli, zjęta jakby rozmarzeniem czy zachwytem. Meir stał prosto i nieruchomo, z ramionami skrzyżowanemi na piersi, z ognistą żrenicą, utkwioną w błękitnawe obłoki, i z głęboką zmarszczką na czole, która całej twarzy jego nadawała wyraz tłumionego gniewu i bólu. Obaj jednak modlili się całym sercem, z wiarą głęboką w to, że Straż Izraelowa, Bóg jedyny, słyszy ich głosy. U końca modlitwy dopiero rozdwoiły się ich duchy. Eliezer intonował prośbę za izraelskich uczonych i mędrców.

— Podtrzymuj, Ojcze nasz niebieski, mędrców Izraela z żonami, dziećmi i uczniami ich, wszędzie, gdziekolwiek przebywają! Wołajcie: Amen!

Meir nie wymówił Amen. Milczał chwilę, a gdy kantor milczał także, odpowiedzi czekając, Meir, podniesionym nieco głosem i drżącemi usty, mówić zaczął:

— Braci naszych z domu Izraelowego, poddanych ubóstwu i grzechom, gdziekolwiek przebywają, wywiedź z oków na swobodę, z ciemności na światłość, jak najprędzej! Wołajcie: Amen!

— Amen! — zawołał Eliezer i zwrócił się twarzą ku przyjacielowi.

Wyciągnęli ku sobie ręce i uścisnęli się wzajem.

— Eliezer! — rzekł Meir, — ty dziś nie tak wyglądasz, jak tydzień temu!

— I ty, Meirze, nie tak wyglądasz! — odpowiedział kantor.

— Nad naszymi głowami jeden tylko tydzień przepłynął; ale czasem jeden tydzień to więcej niż dziesięć lat...

— Ja przez ten tydzień wiele przecierpiałem, — szepnął kantor.

Meir nie skarżył się.

— Eliezer! — rzekł, — daj mi *More Nebuchim* (*).
Ja po tę książkę przyszedłem dziś do ciebie, tak rano. Mnie téj książki bardzo teraz potrzeba!

Eliezer stał z pochyloną głową.

— U mnie téj książki niéma już! — wyrzekł zeicha.

— A gdzież ona jest? — zapytał Meir.

— Książki téj, Meirze, z której głowy nasze piły światłość, a serca nadzieję, na całym świecie już niéma! Ją ogień pożarł, a prochy jęj na śmiecisko wyrzucono ..

— Eliezer! ty zląkłeś się i oddałeś ją na pożarcie ogniowi! — zawołał Meir.

*) „Przewodnik błędzących,” dzieło Mojżesza Majmonidesa.

— Moje ręce nie mogłyby popełnić takiego morderstwa; żeby nawet usta moje rozkazywały im uczy-
nić to, one-by ust moich nie posłuchały. Ale tydzień
temu przyszedł tu ojciec mój i z wielkim gniewem
rozkazał mi, ażebym oddał mu tę „przeklętą” ksią-
żkę, którą my razem w Sabbat czytaliśmy na łące.
Ja milczałem. On krzyczał: czy u ciebie jest ta ksią-
żka? — powiedziałem: jest u mnie; ale kiedy znowu
zapytał się mnie: gdzie ona jest? — ja milczałem. Bił-
by mię, ale wspominając na mój urząd w synagodze
i na wielką miłość, którą lud ma dla głosu mego,
lękał się dotknąć ciała mego. Zaczął tylko wszyst-
ko rozrzucać w izbie, a jak pościel rozrzucił, to i ksią-
żkę znalazł. Chciał ją nieść do rabbina, ale ja wtedy
do nóg jemu upadłem i prosiłem, żeby on tego nie
robił, bo nie pozwolonoby mi za to śpiewać przed
Panem i odebranoby mi tę miłość, którą lud ma dla
mnie za śpiewanie moje. Ojciec sam tego zląkł się,
bo on dumny bardzo z tego, że syn jego, taki młody,
ma już wielki zaszczyt w synagodze, i on myśli, że
za to, iż syn jego Panu śpiewa i ludowi słowa mo-
dlitwy podaje, Pan jemu powodzenie w interesach
dawać będzie i grzechy mu jego przebaczy. Nie po-
niósł książki do rabbina, ale ją sam w płomień rzucił,
a gdy się już paliła, śmiał się i skakał z radości...

— I ty, Eliezer, patrzałeś na to, i nic nie robi-
łeś?.. — drżącym głosem zapytał Meir.

— A co ja miałem robić? — odszepnął kantor.

— Ja-bym książkę tę na piersi mojej położył... ja-bym ją ramionami memi do siebie przycisnął... ja-bym powiedział ojcu: kiedy ty ją do ognia rzucać chcesz, rzuć-że razem i mnie!...

Słowa te Meir wymówił z iskrzącym się wzrokiem i płomieniem rumieńca na czole; Eliezer stał przed nim smutny, zawstydzony, z pochyloną twarzą i spuszczoneym wzrokiem.

— Ja nie mogłem, — szepnął, — ja lękam się, żeby mię od ołtarza Pana nie odepchnięto i przed ludem za bezbożnego nie ogłoszono... ale popatrz na mnie, Meir, i zobacz czy pisanie mistrza naszego ja nie kochałem tak, jako duszy mojej... odkąd jego niema już w izdebce mojej, twarz moja pobladła a powieki zaczerwieniły się od łez...

— O, łzy, łzy, łzy twoje! — zawołał Meir, siadając gwałtownie na stołku i czoło ujmując w obie dłonie; — o! te łzy, łzy, łzy twoje, Eliezer! — powtarzał szczególnym głosem, szyderskim niby, niby łzawym; — one przez wiekuistość płynąć mogą, a nie dobrego nie uczynią ani tobie, ani mnie, ani Izraelskiemu ludowi! Eliezer! ja ciebie kocham jak brata: ty żrenica w oku mojem; ale ja łez twoich nie lubię i na powieki twoje, od nich zaczerwienione, patrzeć nie mogę! Eliezer! nie pokazuj ty mi nigdy łez swoich, ale pokaż ty mi choć raz ogień w oczach swoich, i siłę w tym głosie swoim, dla którego lud taką miłość czuje, że byłby jemu posłuszny, jak dziecko

matce. — Złorzeczając w ten sposób łzom przyjaciela, Meir sam oczy miał pełne łez. Nie chciał może ukazać ich, bo zakrył twarz dłońmi. Zakolysał też boleśnie postać swą i mówił dalej:

— Oj! oj! oj! Eliezer! co ty zrobiłeś, książkę tę ojcu swemu na spalenie dając! Zkąd my teraz drugie źródło mądrości dostaniemy? Gdzie my teraz głos jedynego mistrza naszego usłyszymy? Płomień pożarły duszę dusz naszych, a prochy jęj na śmiecisko wyrzucono... rozniosą je wiatry na wszystkie strony, a jeżeli dusza mistrza naszego zobaczy je lecące tak na zginienie, zasmuci się i rozgniewa bardzo i powie: oto drugi raz wyklęli mię ludzie!

Mówiąc tak, nie mógł już utaić namiętnego płaczu, który go porywał. Łzy bujne i gęste, przenikając mu przez palce, spadały na chropowatą powierzchnię stołu. Nagle przestał wyrzekać i płakać. Umilkł i, nie zmieniając postawy, pogrążył się w cichym żalu czy rozmyślaniu.

Eliezer otworzył okno.

Na piaszczystym gruncie rynku snuły się tu i ówdzie różowe i złotawe ścieżki. Były to pierwsze promienie słońca, które wschodzić zaczynało. Jedną ze świetlistych ścieżek tych postępował, ku domostwu Kamionkerów zmierzając, wysoki, barczysty, bosonogi człowiek. Ciężkie stąpania jego ozwały się wkrótce w bliskości okna, przy którym siedzieli dwaj młodzi ludzie. Meir podniósł twarz, a chociaż głowa

idącego człowieka o rozczochranych włosach i nabrzmiąłych ustach mignęła mu tylko przed oczyma, poznał, że był to Jochel.

W parę minut potem, tuż za otwartem oknem, przeszli szybko dwaj ludzie czarno ubrani. Jeden wysoki był, poważny i błogo uśmiechniony, drugi niski, żwawy i ze zmarszonym czołem, pod gęstwiną popielatych od siwizny włosów. Byli to: Morejne Kalman i Abram Ezofowicz.

Szli tu snadź, nie przez plac, na którym widać ich wprzód nie było, ale drogą jakąś uboczną, ukrytą za ścianami i podwórzami domostw, bo ukazali się nagle z kądsiś, z za węgła niskiego zajezdnego domu. Z chodu ich, milczenia i z samej twarzy Abrama, schmurzonej i niespokojnej, znać było, że życzyli sobie gorąco, aby nikt ich tu przybywających nie widział. Przebywszy elastyczny od nagromadzonego śmiecia grunt, który oddzielał okna domostwa od podjazdowych słupów, zniknęli, jak przed chwilą Jochel, w sieni głębokiej, mrocznej jeszcze zupełnie i będącej zarazem stajnią.

Eliezer oderwał w tej chwili wzrok od nabożnej książki, którą czytać był zaczął, i, spojrzawszy na Meira, zawołał:

— Meir! dla czego twarz twoja zrobiła się taką srogą? Ja u ciebie takiej srogięj twarzy nie widziałem nigdy.

Mogło się zdawać, że Meir nie usłyszał nawet wy-

krzyku przyjaciela. Ze wzrokiem utkwionym w ziemię, szeptał do siebie:

— Stryj mój, Abram! Stryj mój Abram! biada domowi naszemu! wstyd i hańba domowi Ezofowiczów!

W izbie przyleglój, cienkimi, niskimi drzwiami oddzielonój od izdebki kantora, odezwały się teraz głośne i tłumne szmery. Najpierw Jankiel krzyknął tam na żonę, aby wyniosła i wyprowadziła dzieci; potem załopotalo po podłodze przydeptane, płytkie obuwanie Jenty; dzieci rozbudzone zapłakały, a gdy coraz przeraźliwszy wrzask oddalał się w głąb domu, tuż za ścianą ozwały się stąpania kilku ludzi, śpieszne i głośne posuwanie drzewnianych stołków, i nakoniec stłumiony, lecz dość głośny, bo gwałtowny, szept rozpoczynającój się rozmowy.

Meir wstał nagle ze stołka.

— Eliezer! — rzekł śpiesznie — idźmy ztąd!

— Dla czego my mamy ztąd iść? — zapytał kantor, odrywając się znowu od nabożnego czytania swego.

— Bo ściana ta cienką jest... — zaczął Meir.

Nie dokończył i umilkł nagle, bo za ścianą dał się słyszeć gwałtowny wykrzyk stryja jego, Abrama:

— Ja o tém nie nie wiedziałem! ty, Janklu, nie mi o tém nie powiedziałeś.

Jednocześnie zabrzmiał żółciowy, przykry śmiech Jankla.

— Bo ja mam rozum w głowie! — zawołał, — ja wiedziałem, że u ciebie, Abramie, zgoda na interes taki trudna będzie! Ale jak ja sam interes ten załatwię...

— Szaa! — syknął Kalman, a dwa głosy, które podniosły się były przed chwilą, zaczęły znowu szeptać.

— Eliezer! idź ty ztąd! — zawołał Meir.

Kantor nie rozumiał nic.

— Eliezer! — czy ty chcesz czcić ojca swego, jak przykazaném jest na górze Synai?

Syn Kamionkera westchnął.

— Ja, płacząc, proszę Jehowy, abym mógł czcić ojca mego...

Meir rękę jego pochwycił.

— Nu, to idź ztąd! idź ztąd! bo jak zostaniesz tu jeszcze trochę, nigdy już... nigdy... czcić ojca swego nie będziesz...

Młody człowiek mówił to z takiem uniesieniem, że Eliezer zbladł i zmieszał się bardzo.

— A jak ja pójdę teraz ztąd — szepnął, — jeżeli oni o wielkim sekrecie rozmawiają?..

Tu znowu zabrzmiał za ścianą głośniejszy nieco wykrzyk Jankla:

— Chajet Szmul, nędzarz, i furman Jochel, złodziej... oni obaj grube pieniądze wezmą...

-- A chłopci, co wódkę wieźli? — zawołał Abram. Jankiel zaśmiał się.

— Oni u moich szynkarzy, z ciałami, duszami i dobytkami swemi, w kieszeniach siedzą...

— Szaa! — syknął znowu flegmatyczniejszy i ostrożniejszy od towarzyszy swych Kalman.

Tym zazem Eliezer drżać już począł. Przebłysk domysłu jakiegoś w głowie jego zaświtał.

— Meir! Meir! — zaszeptał z niezwykłą sobie gwałtownością, — ja chcę ztąd iść, ale tamtędy, koło nich, lękam się... bo oni domyślą się, że ja z ich sekretu dowiedziałem się czegoś...

Meir jedną ręką odsunął stół przy oknie stojący, drugą popchnął przyjaciela ku otwartemu oknu.

W mgnieniu oka Eliezer zniknął z izdebki. Wtedy Meir wyprostował się i rzekł do siebie:

— Nu! teraz ja im pokażę się! niech wiedzą, że tu były uszy, które słyszeć mogły!

Mówiąc to, otworzył niskie drzwiczki i wszedł do sąsiedniej izby.

Tu, pod ścianą, na trzech blisko ku sobie przysuniętych stołkach, siedzieli trzej ludzie. Rozdzielał ich mały stół z prostego białego drzewa. Jankiel i Abram wspierali się na nim łokciami i nisko pochyłali ku sobie głowy. Kalman siedział wyprostowany, wspaniały, błyszczący od okrywającej go sajety, jak zwykle. Jankiel miał twarz płonącą od ceglastych, gorączkowych rumieńców, — Abram był blady; oczy pierwszego połyskiwały ostro, chciwie, złośliwie — wzrok drugiego spuszczał się ku ziemi, jakby w trosce i srogięj niepewności. Ale plastycznego spokoju Kalmana nic zachwiać nie mogło. Policzki jego rumieniły się zwykłą czerstwością, a na pulchnych wargach spoczywał wiekuisty miodowy uśmiech doskonałego zadowolenia.

Gdy Meir otwierał drzwiczki, do uszu jego doszły jeszcze wyraźnie słowa stryja jego, Abrama:

— A jeżeli cały dwór spali się razem z *podwa-
łem?* *)

— Aj! aj! aj! — odszepnął szyderczo Kamionker, — wielka bięda! Jeden Edomita więcej żebrakiem się zrobi!

Tu mówiący umilkł i zatrząsł się cały od trwogi, czy gniewu. Zobaczył otwierające się drzwiczki i wchodzącego przez nie Meira. Zobaczyli go też dwaj towarzysze jego. Uśmiechnione usta Kalmana otworzyły się szeroko; czoło Abrama zmarszczyło się groźnie.

Meir widział wrażenie, które sprawiło wejście jego. Przystąpiwszy próg, zatrzymał się na chwilę i wzrok utkwiał w twarzy stryja swego. Wzrok to był przenikliwy, śmiały, ale zarazem taki jakiś pokorny, smutny i błagalny, że, spotkawszy się z nim, oczy Abrama niespokojnie zamigotały i spuściły się ku ziemi. Głowa jego, szarą siwizną okryta, pochyliła się także, a ręce opadły na kolana i drżać zaczęły.

Meir z wolna przeszedł izbę i wnet znalazł się w innej, w której nikogo nie było, oprócz, stojącego pomiędzy ścianą a piecem, Jochela. Stał on tam w wy-czekującej jakby postawie, plecami łachmaniastego spencera wycierał nędzną pobiałę ścianę, a bezmyślnemi oczyma spoglądał na bosc swe stopy.

*) *Podwał* — miejscowa nazwa składu napojów spirytualnych, wyrobionych w gorzelni.

Za odchodzącym ozwał się wykrzyk Jankla:

— *A ferszoltener!* (przeklęty).

Abram i Kalman milczeli długo.

— Dla czego ty, Janklu, w takie złe miejsce nas przyprowadziłeś? — flegmatycznie zapytał potem Kalman.

— Dla czego ty nas nie ostrzegłeś, że za temi drzwiami może kto być i słyszeć? — gwałtownie zaszeptał Abram.

Jankiel tłumaczył się, że za drzwiami temi była izdebka syna jego, kantora, który dla interesów zupełnie jest obojętny, wcale ich nie rozumie, a czytając zawsze i modląc się, nic wkoło siebie nie słyszy.

— Zkąd ja mogłem wiedzieć, że ten przeklęty dzieciak tam był? którędy on wszedł? chyba przez okno, jak złodziej.

— Nu,— rzekł po chwili, namysławiając się i ośmielając,— a co to szkodzi, że on słyszał? On Izraelitą jest! naszym! On pary z ust przeciwko swoich wypuścić nie będzie śmiał!

— On może śmieć; —zauważył Kalman — ale my na niego oko mieć będziemy, i jeżeli jego usta choć jedno słowo z siebie wypuszczą, zegnimy go w łęk...

Abram wstał.

— Róbcie, co chcecie, — rzekł porywczo, — ja do tego interesu należeć nie chcę...

Jankiel rzucił na niego zjadliwe spojrzenie.

— Nu, — rzekł, — i owszem. Dla mnie i dla Kalmana zarobek będzie większy... bo czyje ryzyko, tego i korzyść powinna być...

Abram usiadł. Ciężka walka malowała się na twarzy jego wrażliwej, nerwowej, zbrudzonej namiętnościami w różne kierunki.

Jankiel, który trzymał w ręku kawałek kredy, zaczął pisać nią na małej czarnej tabliczce.

— Ośm tysięcy wiader, — mówił, — po cztery ruble wiadro, 32,000 rubli... Trzy w 32-ch tysiącach... 10,666 rubli, 66 kop. i $\frac{1}{3}$... Po 600 rubli od każdego wezmą Jochel i Szmul, nu! dla nas będzie po 10,066 rubli, 66 kop. i $\frac{1}{3}$.

Abram wstał znowu. Nie jednak nie mówił; patrzył w ziemię i w obu rękach miał chustkę. Po chwili, nie podnosząc oczu, zapytał:

— A kiedy to nastąpi?

— To bardzo prędko nastąpi! — odpowiedział Jankiel.

Abram, nie już więcej nie mówiąc i nie żegnając towarzyszy, szybkim krokiem wyszedł z izby.

Śród obszernego placu, zaczynał się ruch, gwar i turkot przybywających na wielki targ wozów i ludzi. Ludność całego miasteczka stała już na nogach, gotując się do robienia w dniu tym licznych i najróżnorodniejszych interesów. W domu Ezofowiczów nikt też już nie spał; wstano tam także wcześniej, niż zwykle.

W stronie domu, którą zamieszkiwali z rodzinami swemi Rafał i Ber, słyhać było kilka głosów męzkich, rozmawiających z sobą żywo, głośno i wesoło. Wymieniano tam różne przedmioty handlu i przy każdym z nich stawiano liczne szeregi cyfr. W rozmowę tę mieszało się od czasu do czasu opowiadanie jakieś, śpiewnym głosem wypowiedane, a po niem następowały wykrzyki zdziwienia, tłumne zapytania, albo wesołe śmiechy. Czuć tu było pokój i zadowolenie ludzi pracujących gorliwie około dobrobytu swego i rodzin swych, a troskę o sprawy życiowe osładzających sobie wzajemną otwartością, ufnością i przyjaźnią.

W dużej, widnej bawialnej izbie, pachnącej jedliną, której gałązkami dnia tego posypano podłogę, staranniej jeszcze niż zwykle wymytą i wymiecioną, na starą, żółtą kanapę, przed stołem zasłanym barwistą serwetą, siedział Saul, w odświętném ubraniu z błyszczącą sajety, w aksamitnej czapeczce na srebrzystych włosach, i zwolna, szczerosrebrną łyżeczką popijał woniejącą, wyborną herbatę. Ogromny, błyszczący jak złoto, samowar, nie stał poranku tego, jak zwykle, na szafie, przez której szyby przeglądały dostatnie naczynia kuchenne i stołowe, lecz żarzył się węglami i buchał parą w sąsiedniej wielkiej izbie, czystej, ławami i stołami dokoła ostawionej, a jaszkrawo oświetlonej, szerokim płomieniem ogniska, roznieconym w wielkim kuchennym piecu. Nastawie-

nie ogromnego samowaru tego, szerokość kuchennego ogniska, żwawe krzatanie się około niego niewiast i dość licznej służby domowej, a także odświętne ubranie Saula i niepokalana białość firanek, ozdabiających okna bawialnej izby, objawiały, że w domostwie bogatej rodziny kupieckiej spodziewano się dnia tego licznych gości, i na przyjęcie ich czyniono wesołe i staranne przygotowania.

Teraz przecież ranek był wczesny jeszcze i stary Saul siedział sam jeden, lubując się widocznie atmosferą ładu i dostatku, która go otaczała, jako też odgłosami rozmów i krzotań się, napełniających od szczytu do podstaw dom obszerny i ludny. Była to jedna z chwil, dość częstych zresztą, które poważnemu patryarsze starożytnego rodu w całej pełni uczuć dawały wszystkie łaski i dostojęństwa, obficie zlane przez Jehowę na błogosławioną starość jego.

Zaledwie jednak otworzyły się drzwi od sieni, a przez nie wszedł do izby Meir, pierzchnęła błogość, napełniająca przygasłe źrenice Saula. Widok wnuka przywiódł mu snadź na pamięć bolący cierń jakiś, o którym, wśród wdzięcznego rozpamiętywania kwiatów żywota swego, zapomniał był przed chwilą. Pierwsze też spojrzenie na młodego człowieka sprawiało wrażenie fałszywej, a raczej smutnej i burzliwej nuty, wmieszanę w akord harmonijny i wesoły. Troska i niepokój malowały się na pobludłej twarzy jego, a w oczach płonął ogień wzburzonych uczuć

i myśli. Wszedł do izby śmiało i prędko, ale gdy spotkał się wzrokiem ze spojrzeniem dziada, pochylił twarz i zwolnił nieco kroku. Niegdyś zbliżał się on do dobroczyńcy i ojca swego z ufnością i pieśczętą ulubionego dziecka. Teraz jednak czuł, że pomiędzy nim a starcem tym, który wypiaستował dzieciństwo i młodość jego, wznosiła się coraz wyższa i twardsza zaporą. Wiedział też, że zaporę tę wznosił on sam słowami i postępkami swemi; tęskno mu było za dawną czułością przygasłych oczu tych, które teraz patrzyły nań surowo i gniewnie: to też zbliżył się do dziada ze spuszczoną smutnie powieką, stanął przed nim w nieśmiałej postawie i proszącym, pokornym prawie głosem, rzekł:

— Zejde! ja-bym chciał z tobą o jednej ważnej rzeczy pomówić.

Na widok nieśmiałości tej, z jaką ulubione mu niegdyś dziecko zbliżało się do niego, Saul mniej surowym stał się, a więcćj smutnym.

— Mów! — odpowiedział krótko, lecz łagodnie.

— Zejde! czy pozwolisz mi zamknąć drzwi i okno, aby nikt rozmowy naszej posłyszć nie mógł?

— Zamknij! — odpowiedział Saul i z pewnym już niepokojem oczekiwał dalszej rozmowy z wnukiem.

Meir zamknął drzwi i okno, a blisko dziada stanawszy, zaczął:

— Zejde! ja wiem, że słowami mojemu przyniosę tobie znowu zmartwienie i kłopot. Ale do kogoż udać

się mam? Ty dla mnie byłeś ojcem i dobroczyńcą; do ciebie naprzód ciągnie mię serce w każdej zgryzocie mojej...

Głos jego zadrżał. Widać mu było z twarzy, że głęboka czułość serca ciągnęła go do kolan i w ramiona starca tego, który, zmięczony widocznie, z rozbłysłem nagle okiem, odpowiedział:

— Mów wszystko! chociaż mam przyczyny gniewać się na ciebie, bo ty nie jesteś takim, jakim pragnie widzieć cię dusza moja, lecz nie zapomnę nigdy o tém, że jesteś synem syna mego, który prędko bardzo z oczu moich zniknął.. Jeżeli ty kłopot jaki masz, ja go z głowy twojej zdejmę, a jeżeli tobie kto krzywdę jaką wyrządził, ja stanę naprzeciw krzywdziciela twego i ukarzę go za ciebie...

Na Meira słowa te wywarły wpływ ośmielający i pocieszający.

— Zejde! — rzekł śmielszym już głosem, — na głowie mojej, dzięki tobie, kłopotu żadnego niema i mnie nikt krzywdy żadnej nie wyrządził. Ale ja o jednym strasznym sekrecie dowiedziałem się i nie wiem sam co z nim robić. Zataić go w sobie ja nie mogę. Więc pomyślałem, że o sekrecie tym tobie, zejde, powiem, żebyś ty, z siwemi włosami swemi i z powagą swoją, którą nad duszami ludzkimi masz, grzechowi i wstydowni na przeszkodzie stanął...

Teraz już Saul wpatrywał się w twarz wnuka wpół z ciekawością, wpół z niezadowoleniem.

— Nu! — rzekł, — lepiej daleko tym ludziom jest, którzy żadnych sekretów strasznych nie przenikają i nigdy o nich ust nie otwierają. Ale ja boję się, że kiedy ty nie otworzysz serca swego przede mną, otworzysz je przed innymi ludźmi, i znowu z tego nieprzyjemności jakie wypadną... Mów! jaki to jest ten straszny sekret?

Meir odpowiedział:

— Sekret ten jest taki: Jankiel Kamionkier trzyma w possessyi od Kamionńskiego dziedzica wielką gorzelnię jego... On w tej gorzelni wypędził 6,000 wiader wódki, ale nie sprzedawał jój przez całe lato. On jój nie sprzedawał dla tego, że cena niska była. Teraz cena podskoczyła w górę, i on ją sprzedać chce, ale podatku, który od niej rząd bierze, zapłacić nie chce...

— Mów ciszej! — przerwał nagle Saul, którego twarz zdradzała wzrastający niepokój.

Meir głos niżył do szeptu prawie:

— Żeby podatku nie zapłacić, Kamionker wódkę tę wykradł ze dworu i przeszłej nocy przewiózł ją pod Karaimskie wzgórze, gdzie ją szynkarze z różnych stron targowali i rozkupywali... Ale on pomyślał sobie: a co będzie, jak urzędnik przyjedzie rewidować *podwał* i wódki nie znajdzie?... Wielka będzie odpowiedzialność za to i wielki sąd... Jak on tak pomyślał, to dwóch ludzi najał... Zejde! on dwóch nędzarzy pieniędzmi skusił..

— Sza! — zawołał nagle przyciszonym głosem Saul. — Milcz i niech żadne słowo więcej z ust twoich nie wyjdzie. Już ja końca mowy twojej domyśliłem się.

Ręce starca drżały; siwe brwi jego zsunęły się i zjeżyły.

Meir umilkł i pełnemi niespokojnego oczekiwania oczyma patrzył na dziada.

Saul milczał długo, potem, nie podnosząc spuszczonej powiek, niepewnym głosem wymówił:

— Twoje usta kłamstwo wyrzekły. To nie może być!

— Zejde! — zaszeptał Meir, — to prawda jest taka, jak to słońce, co dziś na niebie świeci. A dla czego to nie może być! Czy ty, zejde, nie słyszałeś, że wypadki takie przytrafiały się już zaprzeszłego roku w różnych stronach... Takie wypadki, zejde, przytrafiają się coraz częściej, a od nich każdemu prawemu Izraelicie serce ściska się z boleści, a czoło pali się ze wstydu!

— Zkąd ty to wszystko możesz wiedzieć? Zkąd ty to wszystko tak dobrze możesz rozumieć? ja tobie nie wierzę!

— Zkąd ja to wszystko mogę wiedzieć i rozumieć! Zejde! ja w twoim domu chowałem się. A do twego domu wielu zawsze ludzi przychodziło i przyjeżdżało: żydów i chrześcijan, kupców i panów, bogatych i biednych... Oni z tobą o interesach rozma-

wiali, a ja słuchałem i rozumiałem. Czemuż ja teraz nie mam rozumieć?...

Saul milczał znowu. Najsprzeczniesze uczucia malowały się na twarzy jego, głęboko zaniepokojonej. Nagle gniew na wnuka wezbrał mu w piersi.

— Ty zawiele rozumiesz! — zawołał, — ty za nadto ciekawy jesteś! Dusza twoja, pełna niespokojności, niespokojność wszędzie roznosi! Ty mnie spokój mojej starości trujesz! Ja dziś szczęśliwy byłem, dopóki ciebie oczy moje nie zobaczyły! Jak ty wszedłeś, weszła z tobą zgryzota!

Meir pochylił głowę.

— Zejde! — rzekł smutnie, — za co ty mnie łajesz? Ja nie ze swoim interesem do ciebie przyszedłem...

— A na co tobie do cudzych interesów mieszać się? — z wahaniem się w głosie wyrzekł znowu starzec.

— To nie jest cudzy interes! — żywiej już odparł, Meir, — Kamionker Izraelitą jest... on nasz.. a na co on brzydkimi postępками swemi duszę Izraela psuje i sławę jego przed światem plami! Zejde! i dla ciebie interes ten cudzym nie jest: syn twój, Abram, do interesu tego należy!

Saul podniósł się nagle z kanapy i znowu na nią opadł.

— Syn mój, Abram! — zawołał.

Potém bystrém, przenikliwém spojrzeniem przeszły twarz Meira.

— Ty nie kłamiesz?

— Ja widziałem i słyszałem... — szepnął Meir. Saul namyślał się długą chwilę.

— Nu! — rzekł zwolna, — ty masz prawo skarżyć się przede mną na stryja swego! On brat twego ojca i z jego postępku spaść może wielkie nieszczęście i wielka hańba na ciebie i cały ród nasz. W rodzie Ezofowiczów takich paskudnych rzeczy nigdy nie bywało i ja synowi memu zabronię do interesu tego należeć...

— Zejde! powiedz ty także Kamionkerowi i Kalmanowi, żeby oni tego nie robili.

— Ty głupi jesteś! — rzekł Saul, — czy Kamionkier i Kalman są synami mymi, albo mężami moich córek? Oni mię nie posłuchają!

— Jeżeli oni nie posłuchają, — zawołał Meir, — to ty, zejde, oskarż ich przed dziedzicem Kamionńskim... oskarż ich przed sądem!

Saul podniósł na wnuka wzrok nagle roziskrzony.

— Twoje rady głupie są! — zawołał z wybuchem, — twoje serce napojone żółcią i piołunem przeciw narodowi własnemu! Co to! ty z dziada swego donosiciela chcesz zrobić! ty chcesz, żeby dziad twój głowy braci swych, Izraelitów, niebezpieczeństwu poddawał!

Chciał jeszcze coś mówić; ale w tej chwili otworzyły się drzwi i do izby weszło kilku Izraelitów, przybyłych z sąsiedztwa na targ Szybowski. Byli to

poważni i zamożni kupcy lub dzierżawcy sąsiednich dóbr wiejskich. Saul podniósł się nieco na ich powitanie, ale oni szybko ku niemu przystąpili, za ręce go ściskali i wraz z uprzejmymi pozdrowieniami oświadczyli, iż celem przybycia ich do Szybowa były, nie tyle interesa, które tu dnia tego sprawiać mieli, ile chęć odwiedzenia mądrego i wysoce przez nich szanowanego Rebe Saula. Rebe Saul na grzeczności gości wzajemnymi grzecznościami odpowiadał; poważnym gościem wskazał im krzesła, dokoła stołu stojące; a sam, nie opuszczając poczesnego miejsca swego na żółtej kanapie, w ręce chude i pomarszczone głośno klasnął. Hasło to wywołało z sąsiedniej izby hożą dziewczkę służącą, która na srebrnej tacy kilka szklanek herbaty wniosła i przed gośćmi ustawiła. Oni za gościnność przyjęcia sędziwemu gospodarzowi z uśmiechami i ukłonami dziękowali; herbaty, której mocna woń rozeszła się po izbie, z wyraźną przyjemnością zakosztowali, i wnet o interesach swych handlowych i sprawach familijnych żywe opowiadania i rozmowy wieść zaczęli.

Meir, ujrzawszy, że daremnie oczekiwałby teraz na możność dalszego rozmawiania z dziadem, usunął się do wielkiej kuchennej izby, w której wrzało jak w garnku. I tu także znajdowali się goście, całkiem tylko niepodobni do tych, których w bawialni ugaszczwał naczelnik domu.

Na ławach, u ścian stojących, siedziało kilkuna-

stu mężczyzn w ubogich, znoszonych ubraniach, a córka Saula, Sara, i synowa jego, żona Rafała, uprzejmie z nimi rozmawiając, częstowały ich czarkami miodu, wielkimi białymi chałami i dymiącym się w misach krupnikiem. Siedzący na ławach ludzie odpowiadali uprzejmym gospodyniom domu wesoło, ale trochę nieśmiało, a za ofiarowane sobie pożywienie pokornie bardzo dziękowali. Pochodzili oni bowiem z ubogiej klasy okolicznych pachciarzy, szynkarzy, faktorów, przekupniów, trudniących się drobnym handlem. Ciemne twarze ich, chude ciała i zgrubiałe ręce objawiały życie ubóstwa, trosk i ciężkiej walki o byt. Najdrobniejszy pieniądz, wyłożony za domem na konieczne pożywienie, byłby dla nich wydatkiem i uszczerbkiem znacznym; przebywając też na targi do Szybowa, dążyli oni wprost ku domostwu Ezofowiczów, którego drzwi szeroko i gościnnie otwierały się przed nimi zawsze, a w którym ugaszczanie ich chętnie i dostatnie zwyczajem było, trwającym już parę setek lat.

Dwie kobiety więc, w jedwabnych spódnicach, w złotych kolcach i kwiecistych czepcach, z uśmiechami na rumianych ustach, krzątały się żwawo pomiędzy piecem kuchennym, z którego buchał jaskrawy blask ognia, a otwartymi oknami, u których obsiadali ławy pokorni i wdzięczni ich goście. Ale i za oknami jeszcze ukazywały się tłumnie nagromadzone twarze i wyciągające się ręce. Tam już był zbiór

braci najuboższych, na targ przybyłych, nie w celu handlu i zarobków, ale dla obudzenia miłosierdzia szczęśliwszych swych współwyznawców. Z łachmanów, które ich okrywały, poznać można było żebraków, różnemi kolejami losu w ostateczne ubóstwo wtrąconych, a których miłosierdzie publiczne, jakkolwiek w gminie Szybowskięj dość szeroko rozwinięte, ogarnąć sobą nie zdołało. Ludziom tym dziewczki służące rozdawały przez okno chleb, zsiadłe mleko i drobną miedzianą monetę. Gwar dzięczynień ich i błogosławieństw wnikał do izby i błogośnaź rozlegał się w sercach dwóch gospodarujących kobiet, bo uśmiechały się one coraz weselęj i dumnięj i z głębokich kieszeni swych wyjmowały coraz nowe garście miedzianych monet.

Ale i w innęj stronie izby kuchennęj wesołe i gwarne odbywały się sceny. Gromadka dziatwy domowęj, z kilkunastu chłopców i dziewcząt najróżniejszego wieku złożona, skupiła się tam pod ścianą, w odświętnych ubiorach i z odświętnemi łakociami przy ustach. Starsi chłopcy, mileząc, przypatrywali się przybyłym i przebywającym wciąż obcym ludziom i ciekawie rozmów ich słuchali; dziewczynki zdawały się, przeciwnie, nie nie widzieć dokoła siebie, tak zajęte były barwnemi spódniczkami, w które je przybrano, sznurami paciorek, które otaczały ich szyje, i długiem i wstęgami, któremi związano im płuwe lub czarne warkocze. Działwa najmłodsza pełzała po

ziemi, wrzaskliwie śmiejąc się albo płacząc, a wszystko to żarliwie zjadało złociste obwarzanki, albo wielkie kawały chleba, błyszczące grubą warstwą miodu. Tuż obok gromadki téj pra- i pra-pra-wnuków, siedziała na ławie prababka Frejda. Dnie, dzisiejszemu podobne, gwarem swym, tłumem napływających do domu obcych twarzy, wstrząsały drżącym jój umysłem i budziły w nim wspomnienia dawnej przeszłości. W dniach takich przed pamięcią prastarój kobiety migotały obrazy własnej przeszłości jój, obrazy dni, w których, szczęśliwą małżonką ukochanego Hersza swego będąc, tradycje i zwyczaje domu jego przyjęła za swoje i do utrzymania ich w całej świetności przykładając całą siłę serca swego, głowy i rąk. To téż i dziś złotawe źrenice jój przytomniej niż zwykle spoglądały dokoła, a na wargach, zaledwie widzialnych, rozkwitał uśmiech doskonałego zadowolenia. Wnuczki obudziły ją wcześniej niż zwykle, podniosły z łoża, przyoblekły w najkosztowniejsze szaty, a teraz, przed wprowadzeniem jój do bawialni, gdzie zwykle miejsce swe u okna na najparadniejszym w domu fotelu zająć miała, strój jój uzupełniały. Czarnooka Lijka spinała zawój prababki dyamentową gwiazdą; jedna z młodszych sióstr jój wkładała w uszy staruszki olbrzymie kolczyki z brylantów; druga owijała pomarszczoną jój szyję sznurami pereł i ciężki złoty łańcuch układała na piersi, aby jak najpiękniejsze tworzył wzory pośród śnieżnej bieli

fartucha. Czyniąc to wszystko, uśmiechały się młode dziewczyny, odchyłały nieco głowy dla lepszego przyjrzenia się własnemu dziełu, niekiedy spoglądały figlarnie w złotawe źrenice prababki, albo głośnie całusy składały na pomarszczoném jéj czole. Pachciarze, arendarze, ubodzy przekupnie spoglądali na grupę tę, złożoną ze stuletniej rodzicielki rodu i strojących ją hożych dziewcząt; kołysali głowami w podziwiewie nad wielką starością jéj, bogactwem jéj klejnotów i otaczającą ją miłością; z ust ich wychodziły emokania i wykrzyki zachwytu, a oczy pełne były rozrzewnienia i czci.

Druga za to strona domu, ta, w której przedkwa-
dransem rozlegały się żywe i wesołe rozmowy doj-
rzałych członków rodziny, pustą teraz była i cichą
zupełnie.

Meir przeszedł wązki korytarz i, otworzywszy
drzwi mieszkania stryja swego, Rafała, spotkał się
w progu z wybiegającym ztamtąd młodym swym
bratem stryjecznym i przyjacielem, Chaimem. Dzie-
cinna jeszcze prawie twarz Chaima, ocieniona kędzie-
rzawemi złotawemi włosy, ożywiona była i rozpro-
mieniona niezmiernie.

— Gdzie stryj Rafał? — zapytał go śpiesznie
Meir.

— Gdzie on ma być? — z nadzwyczajnem po-
śpiechem odpowiedział młody chłopak — poszedł
z Berem woły na rynku kupować!

— A ty, Chaim, gdzie idziesz?

Chłopak zapytania tego nie usłyszał nawet. Niecierpliwie usunął z drogi brata i, wkładając na głowę czapeczkę, z wesołym nuceniem wybiegł z domu. Jego także rozweselił gwar i ruch dnia tego i nęciły ku sobie tłumne widowiska i różnorodne targi miejskiego rynku.

Meir wyszedł na ganek i rozejrzał się po obszernym placu. Targ rozpoczynał się zaledwie, ale obok kilkudziesięciu wozów, które zebrały się w samym jego środku, zobaczył on Bera, zawzięcie już rozprawiającego z gromadką wieśniaków, u której targał kilka rosłych, u wozów stojących wołów. Rafała Meir dostrzegł także. Stał on na ganku jednego z domostw, otaczających rynek, wraz z kilku poważnymi kupcami, przybyłymi z sąsiedztwa, i toczył z nimi ożywioną rozmowę, której treść poznać można było po giestach żywych, jakimi poruszały się ręce ich, liczące jakby na palcach przewidywane na dziś wydatki i zyski.

Zbliżyć się do dwóch tych ludzi, najpoważniejszych po Saulu w rodzinie, i chcieć z nimi rozpocząć rozmowę, nietyczącą się bezpośrednio spraw dnia dzisiejszego, daremném-by było. Meir wiedział o tém, daremnych prób nie czynił. Świat cały, tak pstro i ruchliwie otaczający go dnia tego, widział on jakby przez mgłę lub sen. Dziwném wydawało mu się, że nikt z pomiędzy ludzi tylu nie myślał o tém,

o czém on nie mógł przestać myśleć, choćby chciał. — Co mi do tego? — mówił sobie w duchu, — co ja mogę? — dodawał i mętным wzrokiem spoglądał dokoła, a ktokolwiek-by wtedy spojrział na niego, rzec-by mógł, iż znudzonym był, albo zmęczonym. Lecz w głębi piersi wrzało mu i kipiało. Nie zdawał sobie sprawy z uczuć swych, ale czuł, że czekać w milczeniu pory, w której wszystko w miasteczku uspokoi się i ucichnie, a za miasteczkiem błysnie na niebie ognista łuna pożaru,—nie podobna mu będzie.

— Co ten człowiek zawinił nam? — mówił do siebie.

Myślał o dziedzicu Kamiońskim.

Wzrok jego, niepewny, zwątpiały, błędząc dokoła rynku, padł na ganek, przyozdabiający dom kupca Witebskiego. Na ganku tym stał właściciel domu, w rozwartym z przodu półkrótkim surducie, z błyszczącym łańcuchem na atłasowej kamizelce. Palił on cygaro i spoglądał na rozpoczynający się wśród rynku ruch targowy, ze spokojną miną człowieka, który w ruchu tym żadnego udziału brać nie zamierza. W istocie, handlując przeważnie drzewem, które w ogromnych ilościach skupywał u właścicieli kilku powiatów, Witebski spraw żadnych na targu Szybowskiem mieć nie mógł. Zbyt wytwornym był zresztą i przekonany o ważności prowadzonych przez się interesów, aby w pstry motłoch ten, zajęty detaliczną sprzedażą zboża i bydła, mieszać się chciał.

Meir zbiegł ze wschodów ganku i szybko zmierzzał ku Witebskiemu, który, ujrzawszy go, uśmiechnął się uprzejmie i wyciągnął doń szeroko roztwartą rękę.

— Aj! aj! — zawołał, — rzadki gość! miły gość! Nu! ja wiem, że ty do tego czasu przyjść tu nie mogłeś, ażeby rodzicom narzeczonej swojej pokłon oddać! Srogi zejde w Bet-ha-Midraszu siedzieć kazał i Talmud czytać! Nu! nie to nie znaczy! Zejde dobry jest, kochany staruszek! On nie ze złego serca ciebie ukarał, i ty nie ze złego serca zgrzeszył! Zwyczajnie, młody... poswawolił trochę... Nu! chodź do naszego salonu, a ja zaraz swojej żonie powiem, żeby przyszła i przyjmowała ciebie jak kochanego zięcia.

W ten sposób przemawiając, światowy kupiec uśmiechał się wesoło, poglądał na przyszłego zięcia swego przyjaźnie i, za rękę trzymając, wiódł go z sobą do salonu. Tam, przed zieloną rypsową kanapą zatrzymując się, figlarnie spojrzał mu w oczy i dodał:

— Że ty, Meirze, skromny jesteś i narzeczonej swojej wstydzisz się, to dobrze, ja to lubię! Ja sam taki byłem i nasi wszyscy młodzieńcy takimi powinni być; ale moja córka edukowana jest i na wielkim świecie żyła, gdzie zwyczaje inne są. Ona bardzo dziwi się i płacze, że narzeczonego swego nie zna, wtedy gdy ślub i wesele za miesiąc już nastąpić mają. Nu! ja pójdę, przyprowadzę ją tutaj! Okna pozamy-

kam, żeby nikt nie widział, że wy tu razem jesteście. Pogadajcie z sobą trochę... poznajcie się...

Mówiąc to, chciał odejść, ale Meir przytrzymał go za rękaw surduta.

— Rebe! — rzekł, — mnie teraz nie narzeczona i nie wesele w głowie siedzi! ja do ciebie z innym zupełnie interesem przyszedłem...

Witebski spojrzał przenikliwie w poważną i pobladłą twarz młodego człowieka i spochmurniał nieco.

— Nie ze swoim interesem ja do ciebie, Rebe, przyszedłem... — mówił dalej Meir; ale Witebski mowę mu przerwał.

— Jeżeli to nie twój i nie mój interes, to na co my mamy o nim mówić?

— Bywają na świecie takie interesa, — odparł młody człowiek, — które do wszystkich należą i wszyscy o nich mówić i myśleć powinni.

Mówiąc tak, miał zapewne na myśli to, co w cywilizowanym języku nosi imię spraw publicznych. Nazwy téj nie znał, ale głęboko i gorąco czuł rzecz, którą ona wyraża.

— Ja dziś o jednym strasznym sekrecie dowiedziałem się...

Witebski poskoczył z fotelu, na którym usiadł był przed chwilą.

— Ja o żadnym strasznym sekrecie wiedzieć nie chcę! — zawołał, — po co ty masz mi o nim mówić? ja nie ciekawy!

— Po to, Rebe, żebyś ty jemu na przeszkodzie stanął...

— A na co ja mam stawać? a co mnie do tego? a dla czego ty do mnie z takim gadaniem przyszedł?

— Dla tego, Rebe, że ty bogaty jesteś i pięknie mówić umiesz, i z całym światem zgodę trzymasz, nawet z samym wielkim rabbinem, który aż uśmiecha się, jak ciebie zobaczy. Twoje słowo wiele może, i żebyś ty chciał...

— Ja nie chcę! — przerwał Witebski ze stanowczością w głosie i chmurą na czole. — Ja bogaty jestem i zgodę ze wszystkimi trzymam, to prawda; ale ja tobie coś powiem, Meir...

Tu zniżył głos i dodał:

— Żebym ja w sekreta ludzkie wdawał się i interesom cudzym na przeszkodzie stawał, ja-bym ani bogaty nie był, ani zgody z nikim nie znalazł i mnie-by nie było tak dobrze na świecie, jak teraz jest...

— Rebe! — po chwili namysłu rzekł Meir, — mnie bardzo miło słyszeć, że tobie na świecie dobrze jest; ale ja-bym nie chciał, żeby mi dobrze było przez krzywdę ludzką...

— Nu! a kto mówi o krzywdzie? — uśmiechając się rzekł Eli, — ja nigdy nie krzywdzę nikogo; ja handluję uczciwie, i wszyscy, z którymi handluję, kontenci ze mnie są i przyjaźń dla mnie mają... Ja, dziękować Bogu, wszystkim ludziom śmiało w oczy pa-

trzyć mogę, i na majątku, co go dla dzieci moich zbieram, niema lzy ani szkody cudzej.

Meir z uszanowaniem głowę przed mówiącym pochylił.

— Ja wiem, Rebe, że tak jest, jak powiedziałaś. Ty interesa swoje uczciwie prowadzisz, a uczciwością swoją i tym rozumem, który ci Przedwieczny dał, honor domowi Izraela przynosisz. Ale mnie się zdaje, że kiedy człowiek sam uczciwym jest, to on na cudzą nikczemność obojętnie patrzeć nie powinien; bo kiedy on może przeszkodzić krzywdzie ludzkiej, a nie przeszkodzi, to tak jest, jakby on sam krzywdę tę sprawił. Ja dowiedziałem się, że człowiekowi niewinnemu przez jednego z braci naszych Izraelitów wielka krzywda stać się ma. Sam ja nie mogę, ale szukam ludzi takich, którzy mogą niewinnego od nieszczęścia ratować...

Tu, najniespodzianie w świecie, przerwał mówiącemu głośny i wesoly śmiech Witebskiego, który wstał z fotela i żartobliwie gościa swego po ramieniu poklepał.

— No, no! — rzekł, — już ja widzę, że u ciebie, Meir, gorąca głowa! Ty chcesz z niej kłopot jakiś wyjąć i w moję głowę go włożyć! Nu! ja tobie bardzo pięknie za ten prezent dziękuję, ale go od ciebie nie wezmę! Daj pokój! po co my mamy życie sobie truć, kiedy dzisiejszy dzień może być dla nas bardzo wesoly? Ot, siadaj tu sobie na tym fotelu, a ja pójde

i narzeczoną twoję tobie przyprowadzę. Ty nie sły-
szałeś jeszcze jęj muzyki!.. aj! aj! jak ona gra! Dziś
nie sabbat, i ona będzie mogła pograć sobie trochę,
a ty posłuchasz...

Mówiąc to z ożywieniem i figlarnością w głosie
i wzroku, odejść chciał, ale Meir przytrzymał go zno-
wu za rękaw odzienia.

— Rebe! — zawołał, — wysłuchaj ty mnie przy-
najmniej...

Witebskiemu niecierpliwie trochę oczy błysnęły;
śmiejąc się jednak, odpowiedział:

— Aj! aj! Meir! jakim ty swawolnikiem jesteś!
Ty cheesz starszych od siebie ludzi gwałtem przymu-
szać do tego, czego oni robić nie chcą! Nu! ale ja ci
przebaczam i idę, żeby narzeczonej twojej tu za-
wołać...

Mówiąc to, posunął się znowu ku drzwiom, ale
Meir raz jeszcze zastąpił mu drogę.

— Rebe! — zawołał, — ja ciebie nie puszcze, póki
ty mię nie wysłuchasz! Bo do kogóż ja więcej udam
się? Dziś wszyscy zajęci gośćmi i interesami swemi;
ty jeden, Rebe, nic nie robisz i czas masz...

Umilkł, bo Witebski przestał uśmiechać się i,
z chmurą niezadowolenia na pogodnym zazwyczaj
czole, poważnym giestem dłoń mu na ramieniu po-
łożył.

— Słuchaj, Meir, — rzekł, — ja tobie coś powiem.
Ty na niedobłą drogę wszedłeś. Wszyscy ludzie

głośno o tém gadają i są tacy, co bardzo na ciebie za to gniewają się; ale ja tobie pobłażam. Pobłażam ja tobie dla tego, że sam niezawsze tak myślę, jak wszyscy, i wiem, że niektóre rzeczy u nas w Izraelu inaczej być powinny, niż są. Nu! ja tak myślę, ale ja tego nigdy nie mówię i po sobie nie okazuję! na co ja mam mówić i okazywać? co ja pomogę? Jeżeli sam Pan Bóg rzeczy te takimi zrobił, to ja, sprzeciwiając się Jemu, obróciłbym Go przeciw sobie; a jeżeli to ludzkie wymyslenia i omyłki są, to i beze mnie przyjdą ludzie tacy, co je przerobią. Moja rzecz siebie, swojej familii i swoich interesów patrzeć. Czy ja sędzia? ja i nie rabbin! więc ja sobie milczę; Panu Bogu i ludziom dogadzam, nikomu w drogę nie włożę. Ot, jak ja robię, i chciałbym, żebyś ty, Meirze, tak samo robił. Ja-bym i tobie rad swoich nie dawał i pozwalałbym tobie żyć jak chcesz; ale kiedy ty mężem mojej córki masz zostać, to ja na ciebie oko muszę już mieć...

— Rebe! — przerwał Meir, któremu w rozognionych źrenicach migotać zaczynały łzy rozdrażnienia, — nie gniewaj się na mnie za zuchwałe słowo, które ja tobie powiem. Ja córki twojej za żonę swoją nie pojmem i mężem jej nigdy nie będę!

Witebski osłupiał ze zdumienia.

— Nu! — zawołał po chwili, — a to znów jaką ja nowość słyszę? Czyż dziad twój nie umówił się

ze mną o moję Mre, a potem czy nie przysłał od ciebie dla niej zaręczynowych prezentów?

— Dziad mój umówił się z tobą — drżącym głosem odpowiedział Meir, — ale on to zrobił przeciw mojej woli.

— Nu! — z najwyższem już zdumieniem zawołał Witebski, — a dla czego? Co ty masz przeciw córce mojej?

— Ja, Rebe, przeciw niej nie mam, ale mnie serce do niej nie ciągnie. I ona także, Rebe, nie chce mnie... Ja, przechodząc koło waszych okien, słyszałem raz jak ona płakała i skarżyła się, że ją chcą za prostego ciemnego żyda wydać. Nu! to prawda! ja prosty, nie edukowany żyd... ale jej edukacya mnie także nie w guście... Po co na nią i na mnie łańcuchy nakładać!.. My już nie dzieci, i wiemy czego żąda dusza nasza, a czego nie żąda...

Witebski osłupiałem wciąż okiem na mówiącego patrzył. Obie ręce podniósł ku głowie i zawołał:

— Czy moje uszy dobrze słyszały? czy mój rozum dobrze słowa twoje zrozumiał? Ty nie chcesz mojej córki?! ty nie chcesz mojej pięknej i edukowanej Mery?!

Rumieniec wytrysnął mu na czoło. Łagodny i dyplomatyczny światowiec zmienił się w obrażonego ojca. Lecz w téjże chwili, ze stukiem i tuż przy roz-

mawiających, roztworzyły się drzwi, prowadzące do dalszych pokoi mieszkania, i w progu, z twarzą w ogniu, z płomiennemi oczyma, zjawiła się pani Hana. Kończyła ona snadź toaletę swą, ale nie skończyła jęj jeszcze, nie miała bowiem na sobie zwykłej jedwabnej sukni, tylko krótką czerwoną spódniczkę i luźny szary kaftan. Przednia część jęj peruki starannie już była ufryzowana i uczesana, ale z tyłu wisiał, nie spleciony jeszcze i sznurkiem tylko u głowy związany, warkocz. W progu stanęła i krzyknęła:

— Ja wszystko słyszałam!

I nie mogła mówić dalej, tak była wzburzoną. Piers jęj dyszała szybko, z oczu sypały się iskry. Poskoczyła nakoniec ku Meirowi, ramiona szeroko roztworzyła i krzyknęła:

— Co? ty córki mojęj nie chcesz? ty, prosty, ciemny żyd z Szybowa! ty nie chcesz za żonę swoję wziąć takięj pięknej panny, z taką wielką edukacyą! Pfuj! głupiec! *miszugiener!* rozpustnik!

Witebski próbował miarkować uniesienie żony, przytrzymując ją za łokieć i sycząc jęj w samo prawie ucho:

— Sza! Hana! Sza!

Ale cała dystynkcy a układu, cała dbałość o estetyczne wyglą danie osoby własnej, opuściły w tęg chwili najzupełniej panią Hanę. Miotala się wciąż przed

Meirem, ściśniętą pięścią wygrażała mu przed samą prawie twarzą i krzyczała:

— Ty Mery nie chcesz? ty córki mojej nie chcesz? Aj, aj! jaka bieda! my przez to ze zgryzoty poumieramy! Ona sobie już męża nie znajdzie i po tobie oczy wypłacze! Oj, oj! tyle biedy, że jej głupi, ciemny żyd szybowski za żonę wziąć nie chce! Ja ją do Wilna powiozę, i za generała, za grafa, za samego księcia ją wydam! Pfuj! co ty sobie myślisz? że dziad twój, Saul, bogaty kupiec jest, i że ty sam po ojcu wielki majątek masz, to już ty wielki *puryc* i tobie wszystko można! Ja pokażę twemu dziadowi i twojej całej familii, że my o was tyle dbamy, co o stary pantofel!

Eli okna i drzwi starannie zamykał, a pani Hana ku komodzie jesionowej, w pobliżu fortepianu stojącej, poskoczyła, szufladę odsunęła i z niej pudełka różne z kosztownościami wyjmować zaczęła.

— Na! — krzyknęła, rzucając pudełka na ziemię, — na! masz nazad swoje prezenta! Zanieś je karańskięj dziewczynie, z którą romans prowadzisz! Ona dla ciebie żoną będzie jak raz!

— Sza! — rozpaczliwie już syknął ku żonie Witebski i pudełka z kosztownościami z ziemi podnosić zaczął. Ale wyrwała mu je z rąk pani Hana. — Ja to sama dziadowi jego odniosę i zaręczyny zerwę — mówiła.

— Hana! — perswadował mąż — ty głupstw

tam narobisz... ja sam pójdę i rozmówię się z Saulem.

Ale pani Hana nie słyszała nawet słów męża.

— Pfuj! — krzyczała — ten głupiec, ten waryat, ten rozpustnik, mojej córki nie chce! jemu karaimska dziewczyna od mojej córki lepsza! Nu! to i chwała Bogu, że my jego pozbędziem się! Ja Merę do Wilna powiozę i za wielkiego barona wydám!

*

*

*

Było już około południa, gdy Meir domostwo Witebskich opuścił, ścigany łajaniem i złorzeczeniami pani Hany, a cichemi wymówkami i pojedynawczemi słowy Elego.

Na rynku wrzał już w całej pełni ruch targowy. Obszerna przestrzeń okryta była wozami, ludźmi, końmi i bydłem, tak ściśle, że najmniejszy choćby przedmiot nie pomieściłby się już w tłumie tym, gęstym, pstrym, krzyżącym tysiącami głosów i mrowiącym się tysiącami głów ludzkich i zwierzęcych. Znajdował się wszakże w jednej stronie rynku kątek mniej nieco natłoczony. Wznosiła się tam dość wysoka ściana lichy pobielonej budowy jakiegś, a pod białawą ścianą tą siedział na ziemi starzec przygarbiony, w szarém, podartém, długim ubraniu, z grubą czerwonawą chustką, okręconą wkoło szyi. Nogi, okryte obuwem znoszoném i opyloném, przykrywały mu całkiem prawie zgromadzone dookoła

w znacznej ilości kosze i półkoszki, z łozy uplecione, słomiane kobiałki i tym podobne okazy koszykarskiej roboty.

Był to Abel-Karaim.

Jakkolwiek dzień był letni i słoneczny, głowę okrywała mu wielka czapka, obłożona lisiem futrem, żółtym, puszystym; z pod niej spływały na plecy i ramiona jego gęste pasma białych włosów, a długa żółtawa broda szerokim wachlarzem rozkładała mu się na piersiach. Promienie słońca padały na twarz jego, okrągłą, małą i zaledwie z pod ogromnego zarostu widzialną; sierść lisiego futra opuszczała się na pomarszczone czoło, lecz od rażących blasków dnia nie chroniła oczu, których też nabrzmiałe i czerwone powieki mrużyły się, całkiem prawie zakrywając źrenice.

Obok starego Abła stała Gołda, wysmukła, prosta, poważna jak zawsze, z koralowym naszyjnikiem swym, spuszczonej nizko na szarą koszulę, i z opływającym plecami kruczym warkoczem.

O kilka kroków przed dwojgiem ludzi tych stały rzędy wozów, obciążonych zbożem, drzewem i najrozmaitszemi przerobami drobnych produkcyi wieśniaczych; pośród wozów ryczały woły i krowy, beczkały cieleta, rżały konie, uwijali się drobni faktorzy i przekupnie, z krzykiem wielkim targowali się o ceny towarów swych barezyści i łokciami w około siebie tłum rozpychający wieśniacy. W tłumie tym nie wię-

cóż słyhać nie było nad krzykliwe wymienianie liczb różnych, zacięte targi, grube śmiechy, wszczynające się coraz kłótnie, wrzaskliwe płacze dzieci i piskliwe krzyki kobiet; a z całą wrzawą tą mieszał się stary, chrypiący głos Abła, prawiący niezmordowanie izraelskie powieści. Kipiąca dokoła niego wrzawa nie zastraszała go snadź, ale owszem podniecała; bo im głośniejszą stawiała się, tem bardziej on głos swój wysilał i podnosił, tak, że słowa jego przez kipiątek ten wzburzonych gwarów przepływały wyraźne, choć drżące.

— A kiedy Mojżesz zstąpił z góry Synai — mówił, a raczej wyśpiewywał donośnie stary, drżący głos Abła, — z oblicza jego bila światłość taka, że lud upadł na twarze i zawołał jako jeden człowiek: „Mojżesz! powtórz nam słowa Przedwiecznego!” I stała się wtedy na niebie i na ziemi wielka cisza; grzmoty umilkły, błyskawice pogasły i wichry pokładły się na ziemię, a Mojżesz zawołał do siebie siedemdziesięciu izraelskich starców i kiedy oni otoczyli go, jak gwiazdy otaczają księżyc, powtarzać zaczął ludowi słowa Przedwiecznego.

W téj chwili wyłonili się z wrzaskliwego tłumu dwaj ludzie, poważnie, choć dość ubogo wyglądający, i przechodzili koło opowiadającego Abła. Szli śpiesznie, ale, wymówione imię Mojżesza dosłyszawszy, stanęli i spojrzeli na Abła.

— On znów opowiada! — rzekł jeden.

— On zawsze opowiada! — dodał drugi.

Uśmiechnęli się, ale dalej nie poszli. Owszem, kobieta jakaś i dwóch czy trzech wyrostków obok nich stanęło. Kobieta, zatrzymawszy się w nasłuchującej postawie, zapytała:

— Co on takiego opowiada?

— Historyą i Zakon izraelskiego ludu — spokojnie odpowiadała Gołda.

Wyrostki pootwierali usta, kobieta bliżej ku Ablowi pochyliła głowę, dojrzali mężczyźni uśmiechali się, ale stali i słuchali; Abel mówił dalej:

— Kiedy lud usłyszał rozkazania Pana, jednym głosem krzyknął: „Pełnić je będziemy!” Wtedy Mojżesz oparł o górę Synai dwanaście kamieni, wypisał na nich rozkazania Pana, a do ludu powiedział: Izraelskie pokolenia wszystkie: starzy, młodzieńcy, kobiety i dzieci, i każdy człowiek z Izraelowego domu, i cudzoziemiec, co się pomiędzy wami znajduje, i ten, co ścina drzewo, i ten, co czerpie wodę, przychodźcie wszyscy zawierać przymierze z Jehową, abyście zaprzysięgli pełnić rozkazania Jego tak, jak On przysiągł dotrzymać wam obietnic swoich!

— Nu! — odezwał się pomiędzy otaczającymi głos jakiś — on piękne rzeczy pięknie opowiada.

— I ten, co ścina drzewo, i ten, co czerpie wodę... — powtarzał człowiek jakiś w nędznym ubraniu; westchnął przytém i rzucił okiem ku roziskrzonym obłokom.

Kobieta, z pochyloną ku Ablowi głową przysłu-

chująca się słowom jego uważnie, wydobyla z kieszeni bezbarwnej spodnicy brudną chustkę i, rozwiązawszy węzełek, znajdujący się u jednego z jej końców, rzuciła na kolana Abła wielką miedzianą monetę.

Za kilku osobami temi stanęło teraz już kilka innych. O kilka zaledwie kroków od nieruchomej gromadki tej zajadłe kupeczyli, kłócili się, krzyczeli ludzie żądni zarobku i zysku, Żydzi i chrześcijanie, niewiasty, mężowie i podrastające zaledwie dzieci; lecz tu, pod białawą ścianą wysokiego parkanu, kilkanaście jednostek, od szumiącego tłumu tego oderwanych, w milczeniu i skupieniu myśli, z uśmiechem na twarzach, a z westchnieniami w piersiach, mimowoli przerzucało się w świat inny, duchowy, wśród którego migotały obrazy i rozlegały się głosy prastarej, wspańiałej, świętej przeszłości. Zdawać się mogło, że Abel czuł tę zwróconą na siebie uwagę otaczającego go gromadki i że mu wszystkie oczy te, w jego twarz wlepione, rozpały serce i zapładniały pamięć. Z zaczerwonych mrużących się powiek źrenice jego błysnęły srebrzyście, ze zmiętego czoła zsunęła się w tył nieco puszysta czapka lisia, a gdy podniósł głowę, żółtawe pasma długiej brody jego rozłożyły się szerzej jeszcze i podniosły aż na ramiona. Wyglądał wtedy jak stary, wpół ślepy lirnik, radujący i doskońalący pieśniami swemi duszę narodu. Śpiewnym też, przewlekłym a donośniejszym niż kiedykolwiek głosem, mówić zaczął znowu:

— Kiedy Izraelici przeszli Jordan, Jozuę położył na miejscu tém dwa wielkie kamienie i wypisał na nich 10 rozkazań Jehowy. Jedna połowa ludu oparła się o górę Geryzim, a druga o Hebal, a wszyscy usłyszeli mocne głosy, które wołały tak, aby je każdy człowiek z Izraelskiego domu uchem swoim słyszeć mógł: „Zerwie przymierze swe z Panem ten, kto pokłon odda fałszywym bogom, i kto cześć nie będzie ojca swego i matki swojej! Zerwie przymierze swe z Panem ten, kto zażąda majątku cudzego, albo ślepego wprowadzi na drogę błędną! Zerwie przymierze swe z Panem ten, kto krzywdzi cudzoziemca, sierotę i wdowę, kto kłamstwo włoży do ucha bliźniego, a o niewinnym powie: „niech umrze!” A kiedy mocne głosy do uszu Izraelitów wszystkich słowa te włożyły, lud cały odpowiedział tak, jakby wszystkie usta jednemi ustami i wszystkie głosy jednym głosem były: „Niech się tak stanie!”

— Niech się tak stanie! — zaszeptano wokoło Abła kilkanaście ust, które, przed kwadranssem jeszcze, porwane wirem powszednich potrzeb i trosk, zapamiętałe walczyły o szeląg straty lub zysku!

Przed skupioną gromadkę przebiła się teraz chrześcijańska wieśniaczka. Podjęła z ziemi jeden z koszy nagromadzonych dookoła Abła i o cenę jego zapytała. Gołda udzieliła jej odpowiedzi zwykłym swym spokojnym głosem. Wieśniaczka targować się zaczęła, ale Gołda nie odpowiedziała już jej po raz drugi,

nie dla tego, aby odpowiadać nie chciała, ale dla tego, że słów jęj, dość grubo jednak i krzykliwie wymawianych, nie słyszała nawet. Wzrok jęj utkwiał w jednym punkcie rynku; na czoło i twarz całą wybuchnął płomienny rumieniec, a na ustach poważnych rozkwitał uśmiech dziecięcy prawie i razem namiętny. O kilkadziesiąt kroków od miejsca, na którym znajdowali się Abel i wnuczka jego, wynurzył się z tłumu Meir i, swobodniejszém nieco przejściem szybko postępując, zmierzał prosto ku nim. Nie widział ich jednak; patrzył prosto przed siebie, oczyma, w których malowały się pośpiech i niepokój. Minał Abła i Gołę, nie spostrzegłszy ich nawet, i wszedł w bramę synagogalnego dziedzińca.

Przez synagogalny dziedziniec niewiele łatwiej było przejść dnia tego, niż przez plac targowy.

Meir dążył ku czarnej chatce rabбина Todrosa; ku nięj też parł się tłum ludzi różnego wieku i pozoru. Im bliżej było chatki tej, tém większy panował ścisk i natłok, a wśród natłoku tego tém mniej rozmawiano i ciszej, ostrożniej stapano. Nie było tu, jak na targowym rynku, krzyków, kłótni, śmiechów, roztrącań się wzajemnych; nie było też twarzy namiętnie rozognionych, ani oczu połyskujących gorączką zysku, ani giestów porywczych i grubijańskich. Gęsty tłum płynął ku nizkięj lepiance w uroczystém milczeniu, przerywaném nieśmiało tylko szeptami.

Meir wiedział gdzie i po co dążył tłum ten i z ja-

kich żywiołów był złożony. Stałych mieszkańców Szybowa nie było tu wcale, albo było niewielu bardzo; posiadając bowiem w bezpośredniej bliskości swój wielkiego rabбина, nie potrzebowali oni oczekiwać dni szczególnych, aby mózdz cieszyć się radami, naukami i samym widokiem jego. Lud, zalegający teraz synagogalne podwórze, składał się z mieszkańców blizkich, dalszych i dość nawet oddalonych Szybowa. Zamożnych kupców, ludzi w ubraniach znamionujących dostatek i pewien wyższy stopień światowej ogłady, znajdowała się tu ilość pewna, ale bardzo nieznaczna. Ogromną większość stanowiły ciała mizerne, obleczone w suknie zszarzane i ubogie, twarze blade, ciężką walką o byt napiętnowane, cierpiące i cierpliwe. Była to zresztą prawdziwa mozaika twarzy młodych, półdzieciących, niewieścich i męzkich.

W bliskości już chaty znajdując się, Meir, zatrzymał się chwilę.

— Po co ja tam pójde? — rzekł do siebie — on mnie słuchać nie zechce!

— Nu — dodał zaraz — a do kogóż ja pójde?

Po chwilowym namyśle zmieszał się znowu z tłumem i wkrótce znalazł się u roztwartych na oścież drzwi czarnej lepianki.

Za roztwartemi drzwiami, w ciasnej, ciemnowej sionce, stał istny mur, z pleców ludzkich złożony, i pannaowało najgłębsze już milczenie, przerywane tylko tylko trudnym oddechem kilkudziesięciu piersi. Meir

przez mur ten torował sobie drogę, co przychodziło mu tém łatwiej, że większą część ludzi tłoczących się w sionce składali ubodzy i pokorni goście, tak uprzemie przed parą godzin częstowani w zamożnej kuchni Ezofowiczów. Spostrzegłszy członka rodziny, pod której dachem znajdowali częstą i chętną gościnność, rozstępowali się oni jak mogli, aby mu przejście pomiędzy sobą umożliwić. Z pośpiechem to jednak czynili i roztargnieniem wielkiem, gdyż wzroki ich skierowane były ku wnętrzu izby, sąsiadującej z sionką. Ażeby dojrzyć i dosłyszeć co się we wnętrzu izby téj działo, wspinali się oni na palce, wyciągali szyje i szeroko roztwierali oczy, rozpromienione, zdumione, ciekawe, poządliwe i zarazem trwożne. Ile razy uszu ich dosięgnął ułamek jaki rozmów tam wiedzionych, na ustach ich, uwiedłych i bladych od biedy, choroby i pracy, rozkwitały uśmiechy błogości niewymownej, tak, jakby słowa i same nawet dźwięki głosu uwielbianego mędrca były wonną oliwą, gojącą wszystkie rany ich życia.

Izba, w której drzwiach roztwartych także stanął teraz Meir, wyglądała dość dziwnie. W głębi jęj, na ławie, umieszczonej pomiędzy ścianą a stołem, siedział Izaak Todros, w którego ubraniu i postawie nie znać było świąteczności żadnej. Miał on na sobie tę samę, co zawsze, długą suknię, zszarzaną i podartą, a głowę jego przykrywała zrudziła czapka, na tył zsunięta w taki sposób, iż zmięty daszek jęj ster-

czał nad czołem złotém, ocienioném ogromną gęstwiną włosów kruczych, zlekka tylko przypruszonych siwizną. Przygarbiony, jak zwykle, górną połową ciała naprzód podany, siedział on w nieruchomości zupełnej i tylko czarnemi oczyma wodził po twarzach i postaciach kilkunastu istot ludzkich, które, stłoczone u przeciwległej ściany, podnosiły ku niemu wzrok nabożny, złękniomy, błagalny.

Pomiędzy szczupłym, zgarbionym, nieruchomym mędrce, siedzącym na ławie, a kilkunastu istotami temi, które dopuszczone już zostały przed obliczność jego, znajdowała się przestrzeń kilku kroków, której nikt bez wyraźnego wezwania przekroczyć nie śmiał, i krzyżowały się dwa odmienne rodzaje światła. Jedno ze światła tych, błękitne od pogodnych obłoków i złociste od słońca, wnikało tam przez otwarte okno; drugie, jaskrawe, rażące, dymne, buchało z komina, na którym paliło się szeroko rozniecone płomień.

U komina, na podłodze okrytej grubą warstwą brudu, siedział nieodstępny uczeń i sługa rabбина — mełamed nad mełamedami, pobożny i mądry Reb Mosze. W grubej koszuli swój, opasany powrozem, siedział on na nagich swych piętach i, przykładając coraz drewek do ognia, sypał garście ziół suchych do wody, gotującej się w kilku garnkach. Zajęty czynnością tą, jak się zdawało, aptekarską, pełnił on także urząd woźnego. Wywoływał z pomiędzy ludu, znaj-

dującego się w izbie i sionkach, tych, na których, według mniemania i woli jego, przypadała kolej zbliżenia się ku mistrzowi.

Teraz wyciągnął gruby, czarny swój palec ku cisnącym się do ściany ludzkim postaciom i ochrypłym głosem zawołał:

— Szymszel arendarz!

Wezwany, noszący przeinaczone i zepsute z biegiem czasu imię Samsona, w najmniejszej mierze nie przypominał powierzchownością swą imiennika swego, poetycznego bohatera i potężnego atlety Biblii. Mały, suchy, ogniście rudy, wysunął się on z tłumu i, stanawszy na środku izby, pochylił białą, piegowatą twarz swą aż prawie do samej ziemi.

— Pozdrawiający mędrea pozdrawia wspaniałość Przedwiecznego! — zawołał jęklwym i drżącym głosem. Nietylko zresztą głos jego drżał, ale drżały mu także ręce i ramiona, a gdy podniósł nieco twarz swą, błękitne źrenice jego obiegać poczęły izbę z niepokojem i mieszaniem blizkiem obłędu.

Izaak Todros siedział jak skamieniały. Oczy tylko jego utkwily w przerażoną twarz stojącego przed nim ryżego człowieka i po chwili dopiero, gdy człowiek ten, w przerażeniu swém do słowa przyjsć nie mogąc, milczał ciągle, mędrzec wy dobył z siebie gardłowo-nosowy dźwięk i przeciągle zawołał:

— Nuul!

Szymbiel podniósł ramiona i z wsuniętą w nie głową mówić zaczął:

— Nassi! niech światłość twoja oświeci ciemności moje! Rabbi! ja wielki grzech popełniłem i serce moje drży od strachu, kiedy usta moje przed tobą grzech ten opowiedzieć mają! Nassi! ja jestem nieśczęśliwy człowiek... żona moja Ryfka zgubiła duszę moję na wieki, i chyba ty, Rabbi, nauczysz mię, jak ja ją teraz z wielkiego grzechu tego oczyścić mam!

Zająknął się tu pokutnik i po chwili dopiero zebrał się na odwagę i siły nowe.

— Nassi! ja i żona moja Ryfa, i dzieci nasze, siedliśmy zeszłego piątku do sabbatowej uczy. Na jednym stole stała u nas misa z mięsem, na drugim stole stał garnek z mlekiem, które żona moja Ryfka dla najmniejszych dzieci zgotowała. Moja żona Ryfka czerpała mleko z garnka i łyżką nalewała je najmniejszym dzieciom na miski. A kiedy ona to robiła, u niej raz ręka zatrzęsa się i kropla mleka z łyżki upadła na to mięso, co było w misie... Aj waj! głupia kobieta! co ona zrobiła! Ona mięso strefiła i zrobiła je nieczystém...

Znowu utknął w mowie swój trwożliwy Samson, a mędrzec, bez najlżejszego poruszenia w postawie, lub mrugnięcia okiem, zapytał:

— Nu! a co ty z tém mięsem zrobiłeś?

Zapytany głowę swą znowu bardzo nisko pochylił i, nie zmieniając postawy téj, wyjąkał:

— Rabbi! ja z niego jadłem, i żona moja, i dzieci moje z niego jadły!

Tym razem z płomiennych oczu Todrosa posypały się iskry.

— A dla czego ty nieczystości téj na śmietnisko nie wyrzucił? — krzyknął — dla czego ty obrzydliwością tą usta swoje i dzieci swoich zanieczyścił?

Po chwili milczenia głos pokorny, drżący, po ziemi jakby czołgający się, odpowiedział:

— Nassi! ja biedny bardzo jestem, lichą karczmę w arendzie trzymam i zarobku z niej mam niewiele! A mam, Nassi, aż sześcioro dzieci i ojca starego, którzy przy mnie mieszka, i dwoje wnuków sierot, których i ojciec i matka odumarli! Rabbi! mnie trudno bardzo wyżywić siebie i familią swoją, i my raz w tydzień tylko, w święty wieczór sabbatu, mięso jemy! Koszerne mięso drogie... więc ja go każdego piątku trzy funty kupuję, a z tych trzech funtów jedenaścioro nas je i siły swoje wzmacnia! Rabbi! wiedziałem ja, że przez cały tydzień my już nie do ust naszych nie włożym prócz chleba, cebuli i ogórków... to ja tego mięsa pożalowałem i, choć na niem była kropla mleka, jadłem z niego i jeść z niego pozwoliłem familii mojej...

W ten sposób żalił się i obwinał zarazem mi-

zerny Samson, a mistrz słuchał go z zachmurzoném i groźném obliczem.

Potém mówić zaczął. Mówił z gniewem i oburzeniem z razu, a jednak nieruchomym i sztywnym pozostał. Szyję tylko ku wylękłemu i upokorzonemu Szymszelowi wyciągając, wpijał się weń coraz ognistszém i groźniejszém wejrzeniem. Długo, obszernie i subtelnie tłómaczył: zkąd pochodzi zakaz mieszania potraw mięsnych z mlecznymi, co o zakazie tym pisali różni Tonaici i Rabbini wielcy, i jak pisanie ich tłómaczyli, objaśniali i komentowali późniejsi niezliczeni następcy ich; jak wielkim przestępcą jest człowiek taki, który, z zakazem tym rozmijając się, do ust swych wkładać śmie kęs mięsa, na który upadła kropla mleka.

— Grzech twój ogromnym jest w obliczu Pana! — zagrzemiał nakoniec ku stojącemu wciąż w kornéj postawie pokutnikowi — ty, dla łakomstwa swego, zerwałeś przymierze, które Jehowa zawarł z wybranym ludem swoim, przekroczyłeś jedno z 613-tu przykazań, które spełniać powinien każdy prawy Izraelita, i zasłużyłeś na to, aby na ciebie spadło przekleństwo, którem Elizeusz przeklął prześladowające go chłopięta, i którem Jozue Nawin przeklinał miasto Jerychon! Ale za to, że ciało tylko twoje zgrzeszyło, a dusza pozostała wierzącą w świętość zakazu jedzenia mięsa z mlekiem, i za to, że ty z wielkim żalem do mnie przyszedłeś i przede mną upokorzyłeś się, ja ci ten

ogromny grzech twój przebaczam i tylko rozkazuję, żebyście, ty i żona twoja, i dzieci twoje, przez cztery tygodnie ani mięsem, ani mlekiem ciał swoich nie karmili, a pieniądze, które wydajecie na mięso, ubogim rozdali. A kiedy cztery tygodnie przejdą, dusze wasze oczyszczone zostaną z wielkiego plugastwa, które na nich osiadło, i będziecie żyć w pokoju i pobożności razem ze wszystkimi braćmi Izraelitami. Wołajcie: niech się tak stanie!

— Niech się tak stanie! — zabrzmiały chórem głosy tych, którzy znajdowali się w izdebce, i tych, którzy napełniali sionkę, i tych jeszcze, którzy, tłocząc się dokoła lepianki, chciwemi oczyma zaglądali do wnętrza jój przez otwarte okno.

Mały, rudy Samson, oswobodzony od ciężaru tłoczącego mu sumienie w sposób straszliwy, chociaż z innéj strony obarczony pokutą czterotygodniowego postu, mającego do ostateczności obostrzyć i tak już wieczny post wszystkich dni jego, ze łzami rozrzwinięcia w oczach i dziękczynnym szeptem na ustach cofnął się ku sionce i zniknął w napełniającym ją tłumie.

Wtedy Reb-Mosze wyciągnął znowu ku stojącym pod ścianą ludziom wskazujący palec i zawołał:

— Reb-Gerszon, melamed!

Na wołanie to z tłumu wypłynął człowiek krępy i zgarbiony, z czarnym włosiem, rozrzuconym w nie-

ładzie na wielkiej, schylonej głowie, z twarzą chmurną i zadumaną. Był to kolega Reb-Mosza, umysłowy przewodnik Izraelskiej dziatwy, w miasteczku blisko Szybowa położonem żyjący i nauczający. Stanął on w środku izby z grubą księgą, rozwartą w obu ręku, i, według zwyczaju pozdrowiwszy mistrza, zaczął w te słowa:

— Rabbi! dusza moja znalazła się dwa dni temu w wielkim kłopotcie. Bachory moje czytały w świętej księdze, że wieczorne Szemy odmawiać rozkazano jest do końca pierwszej straży. Nu! — zapytały mnie bachory moje:— A co to takiego pierwsza straż? Kto, przed kim i gdzie tę straż trzyma? — Jak oni tak zapytali się, usta moje oniemiały. A dla czego oniemiały? Dla tego, że ja nie wiedziałem co im odpowiedzieć mam. Do ciebie, Rabbi, przyszedłem, żeby na ciemny rozum mój spłynął promień twojej mądrości. Powiedz ty mi, Rabbi, jakie to straże są, według których Izraelita każdy mierzyć powinien długość modlenia się swego? gdzie i przed kim są ustawione? i co ja o tém powiedzieć mam bachorom moim?

Chmurny, zgarbiony człowiek mówić przestał, a zgromadzenie całe z ciekawością nadzwyczajną wlepiło oczy w zapytywanego mędrca i odpowiedzi jego czekało. Odpowiedź ta dała się słyszeć wkrótce. Nie zmieniając postawy swój, na przód podanej, Izaak Todros mówić zaczął:

— A jakie mogą być straże te, o które ty mnie

zapytujesz? Anielskie to są straże. A gdzie Aniołowie straże te trzymają? W niebie je oni trzymają. A przed kim oni je trzymają? Trzymają je przed tronem Przedwiecznego! Kiedy dzień kończy się i zmrok zapada, Aniołowie dzielą się na trzy wielkie chóry. Pierwszy chór staje u tronu Przedwiecznego i straż przed nim trzyma aż do północy, i wtedy jest pora odmawiania modlitw wieczornych. Drugi chór przychodzi o północy i trzyma straż aż do świtu; a o świcie, kiedy kolor biały od koloru blado-błękitnego odróżnić można, przychodzi chór trzeci i straż przed tronem Przedwiecznego trzymać zaczyna. Wtedy jest pora modlitw porannych.

Umilkł mędrzec. W tłumie ozwały się ciche emocje i szepty, objawiające podziw i zachwyt. Gershon mełamed jednak nie ruszał się jeszcze z miejsca swego. Ze wzrokiem wlepionym w ciężką rozwartą księgę, ozwał się znowu:

— Rabbi! spuść na ciemny rozum mój jeden jeszcze promień swojej mądrości i rozprosz nim wątplenie, które ogarnęło duszę moję... Blisko miasteczka, w którym mieszkam, jest dwór bogatego jednego pana. Do dworu tego chodzą czasem niektóre bachory moje i różne rzeczy tam słyszą. Raz jeden bachor mój, wróciwszy ze dworu, opowiadał w miasteczku, że słyszał, jak we dworze mówiono, z kąd pochodzi grzmot. Mówiono tam, że grzmot wylatuje z nieba wtedy, gdy dwie chmury spotkają się z sobą

i wypuszczają z siebie siłę jakąś, która nazywa się *elektryczność*. Ja o takiej sile nigdy nie słyszałem i nie wiem, czy to prawda, że ona jest na świecie i że z niej wielkie grzmoty powstają...

W czasie mowy téj Gerszona nieruchomy dotąd mędrzec uczynił parę niecierpliwych poruszeń, a po wargach jego, wązkich i surowych, przesunęły się szyderskie uśmiechy.

— To nieprawda! — zawołał, — takiej siły na świecie niema i z niej nie powstają grzmoty. Kiedy Rzymski cesarz świątynię zburzył i lud Izraelski rozproszył się po całej ziemi, na świecie ryknął grzmot. A z kąd on pochodził? On pochodził z piersi samego Boga, który nad gruzami świątyni swojej i nad niedolą swojego ludu głośno zapłakał. I teraz Pan Bóg często po wspaniałości świątyni swój i po minioném szczęściu ludu swego płacze, a kiedy On zapłacze, to łkanie Jego rozchodzi się po całym świecie wielkim grzmotem, a łzy Jego padają do morza i takie są ogromne, że morze od nich wzbiera i podnosi ziemię, która trzęsie się i ognie z siebie wypuszcza. Oto powiedziałem ci, z kąd powstają grzmoty i te wielkie trzęsienia, które ziemia znosi. Idź w pokój i uczęszaj bachorów swoich słów, które ode mnie usłyszałeś!

Z kornym pokłonem i dziękczynnemi wyrazami oddalił się i w tłum wpłynął ponury melamed z wiel-

ką swą księgą w rękę, a w téj saméj chwili, kędyś pod samą ścianą, głośno zapłakało dziecko.

Reb Mosze zawołał:

— Chaim, pachciarz z Kamionki, i żona jego, Małka...

Z tłumu wyszli: mężczyzna i niewiasta. Oboje mieli twarze zbolale i zléknione, — niewiasta na rękę swych niosła blade, wynędzniałe dziecko. Rzucili się do kolan mędrca i, wyciągając doń, obwinięte w bezbarwne szmaty, zcicha płaczące, dziecko, błagali go, aby udzielił leków na trapiącą ich zdawna chorobę syna. Todros pochylił się nad drobną, bladą twarzyczką i zatopił w nią bystre, uważne spojrzenie. Reb Mosze zaś, u komina siedząc, wlepił wzrok w mistrza i, mieszając łyżką gotujące się w garnkach zioła, oczekiwał jego rozkazów.

W ten sposób długo i z kolei zbliżali się do uwielbionego mędrca, nauczyciela, lekarza i niemal proroka swego, ludzie najróżniejsi, zadający mu najróżniejsze pytania i zanoszący doń prośby. Był tam pomiędzy innymi strapiony małżonek jakiś, który, wiodąc ze sobą żonę swą, młodą i hożą, prosił wielkiego rabбина, aby uczynił nad nią rodzaj *próby bożej*, za pośrednictwem tak zwanéj *wody zazdrości*, po wypiciu której niewiasta, podejrzana o niewierność małżeńską, umrzeć musi natychmiast, jeśli jest winną, a zdwojoną pięknością i zdrowiem rozkwitnie, jeśli podejrzewano ją niesłusznie. Któs inny zapytywał:

co czynić trzeba, jeżeli pora modlenia się zaskoczy człowieka w podróży, a on ku wschodowi twarzy swój obrócić nie może tak, jak przykazanem jest, bo ze strony téj wiatr wielką chmurę kurzawy w oczy mu niesie? Znaczna téż była ilość takich, którzy, skarżąc się, płacząc i biadając nad nędzną dolą swoją, błagali mędrca, aby proroczém okiem swém rzucił w przyszłość i oznajmił: rychło-li nadejdzie radosny dzień Messyaszowy, dzień wyzwolenia, spoczynku i obfitości?

Większość jednak ludzi, zgromadzonych w chatce i dokoła niej, nie nie żądała, żadnych nie zanosila prośb i nie zadawała pytań, lecz przybyła tu i dusiła się w ciasnocie niezmiernéj dla tego tylko, ażeby módz odetchnąć tém samém powietrzem, którym oddycha pierś uwielbionego mędrca, napoić uszy swe słowami wychodzącemi z ust jego, a oczy — światłością bijącą z jego oblicza.

Widać téż było, że Izaak Todros czuł i rozumiał wysokość swego stanowiska. Sprawował on czynności swe z powagą niezachwianą, z niezmordowaną gorliwością i cierpliwością niezmaconą. Nie odtrącał od siebie nikogo, nikomu niczego nie odmawiał. Gromił, objaśniał, tłumaczył, opowiadał, pokuty zadawał, leków udzielał, postawy swój nieruchoméj ani na chwilę nie zmieniając i zatapiając tylko w twarze zbliżających się doń ludzi oczy swe surowe i zadumane. Parę razy, gdy w izdebce rozległy się najżałośniejsze

skargi i prośby o prorocze przepowiednie dnia Mesjaszowego, czarne te jak noc i płomienne jak namiętność, oczy, zaświeciły wilgotną powłoką. Kochał snadź lud ten, którego żałośliwie zwierzenia i jęki lżą oblewały mu surową żrenicę. Chwilami też bujne krople potu spływały po żółtém czole jego, a pierś, strudzona długim mówieniem, ciężko oddychać zaczynała. Podartym rękawem odzieży ocierał pot z czoła, wzmagał się na siły nowe i wiódł dalej dzieło nauczania, karcenia i pocieszania ludu. Pracował ciężko myślą, pamięcią, wyobraźnią i piersią, z głębokiem poczuciem obowiązku, z żarliwą wiarą w zbawienność i świętość trudu swego, z najwyższą bezinteresownością człowieka, który nie potrzebował dla siebie nic, prócz czarnej lepianki, odziedziczonej po przodkach, szczupłej strawy codziennej, dostarczonej mu rękoma wiernych, i tej lichéj, brudnej, podartéj odzieży, która od dziesiątka lat już może osłaniała chude ciało jego.

Przez synagogalny dziedziniec tymczasem przechodził człowiek śpieszący się widocznie i kogoś w tłumie szukający.

Był to Ber, zięć Saula. Przejrzał on bacznie mnogie twarze ludzi otaczających lepiankę rabbina, wparł się do natłoczonej sionki i, dostrzegłszy nakoniec stojącego w progu izby Meira, pociągnął go za rękaw od surduta.

Młody człowiek, obudzony z ołowianej zadumy,

która pogrążała go w nieruchomość kamienną, obejrzał się i zamyślonym wzrokiem spojrzał na stojącego za nim krewnego.

— Chodź ztąd! — szepnął mu Ber do ucha.

— Ja nie mogę ztąd iść, — również cicho odpowiedział Meir. — Ja mam ważny interes do rabbina i czekać tu będę, aż ludzie ci wszyscy rozejdą się, ażeby z nim pomówić...

— Chodź! — powtórzył Ber i ujął za ramię opornego młodzieńca.

Meir targnął się niecierpliwie, ale Ber powtórzył raz jeszcze: — Chodź! jeżeli zechcesz, przyjdiesz potem, jak ci ludzie rozejdą się... ale ja wiem, że nie zechcesz...

Wyszli obaj z natłoczonej chaty. Ber, śpiesznie idąc i milcząc, wiódł towarzysza swego w oddaloną stronę obszernego podwórza, kędy panowała samotność zupełna. Tu, — ścianą Bet-ha-Midraszu zakryci przed tłumem kupującym na rynku i w znaczném oddaleniu od tego drugiego tłumu, który oblegał chatę Rabbina, — pewnymi być mogli, że nikt rozmowy ich nie podsłucha.

Meir oparł się plecami o ścianę budowy, Ber stanął przed nim i, milcząc jeszcze, wpatrywał się weń przez chwilę.

Powierzchność Bera była jedną z tych, około których miliony ludzi obojętnych przejść-by mogło, nie zauważywszy jęj nawet, lecz w której oka ba-

cznego i myślącego człowieka odkrywało cechy zaciekawiające i ciekawości godne. Czterdziestoletni, szczupły, ze staranną czystością, jakkolwiek ze ścisłą też wiernością starym przepisom i zwyczajom ubrany, z rzadkim, jasno-płowym zarostem i jasnymi miękkimi włosy, nosił on na twarzy swój, bladawej i delikatnie zarysowanej, wyraz szczególnego zobojętnienia jakiegoś, lenistwa i sennaści, które znikwały i ustępowały przed ruchliwem, nerwowem ożywieniem wtedy tylko, gdy rzecz szła o kombinacye i działania interesowe. Po-za zobojętnieniem jednak i sennaścią, baczne oko odkryć-by mogło utajone, spodnie niby warstwy uczuć i charakteru. Było coś marzycielskiego i cierpiącego zarazem w oczach jego, wielkich, szeroko rozwartych, o błękitnej źrenicy, obleczonęj szklistą powłoką. Tęsknoty jakieś zaznane i słumione przemocą, pragnienia jakieś niezaspokojone i w głębiny piersi zepchnięte, malowały się w zarysie warg jego cienkich, pojętnych i noszących na sobie piętno kamiennęj jakby rezygnacyi. Niekiedy na czole białem i gładkiem powstawały mu dwie poprzeczne brózdki. Wywoływały je może wspomnienia jakieś odległe, lecz wiecznie bolące, bo w chwili, w której zjawiały się, Ber dotykał dłonią piersi swój i krótkie, urwane westchnienie podnosiło mu ramiona. Widać było, że w przeszłości człowieka tego odegrał się niegdyś dramat cichy, nikomu w całej swój pełni nieznanym, lecz którego rozwiązanie, pogrążając

w senność wolę i myśl jego, w piersi mu pozostawiło wiecznie zamierające i wiecznie odradzające się echo...

Teraz stał on naprzeciw młodzieńca, którego przemocą prawie wyprowadził z tłumu i długo wpatrywał się mu w twarz szklistém swém, cierpiącym okiem.

— Meir! — rzekł nakoniec, — dziad twój Saul miał, godzinę temu, długą rozmowę z synem swoim Abramem. On gości swoich porzucił, ażeby z nim rozmawiać, i mnie rozmowy téj słuchać kazał, bo chciał, żeby słowa z ust jego wychodzące i słuchające ich sumienie syna jego świadka we mnie miały. Bądź już spokojny, Meir. Stryj twój do wielkiego grzechu tego i wstydu, które nieza długo staną się, należeć nie będzie...

— Staną się! — z uniesieniem przerwał Meir, — one nie staną się! ja tak zrobię, że one nie staną się!

Uśmiech, niewesoły wcale, przeleciał po ustach Bera.

— Ty tak zrobisz! — zaśmiał się zeicha. — A jak ty to zrobisz? Ja domyśliłem się, że ty rabbinowi o tém mówić chcesz, i szukałem ciebie, żeby ostrzedz cię i nieszczęście od głowy twojej odwrócić. Ty myślałeś sobie, że jak ty rabbinowi cały interes rozpowiesz, on zaraz zerwie się i krzyknie, aby nikt brzydkiej rzeczy takiej robić nie śmiał. Jeżeliby on tak

zrobił, wszyscy byliby mu posłuszni, to jest prawda; ale on tego nie robi...

— Dla czego on tego nie robi? — zawołał Meir.

— Dla tego, że on na interesach takich nie zna się.

Uśmiechnął się znowu i mówił dalej:

— Żebyś ty jego spytał się: jakie jedzenie czyste jest, a jakie nieczyste? czy w sabbat można świecę objaśniać i chustką do nosa biodra swoje opasywać? czy, siadając do jedzenia, błogosławić trzeba pierwój wino, albo chleb? albo, żebyś ty jego zapytał się: jak dusze ludzkie przechodzą z ciała do ciała? ilu Jehowa wypuścił z siebie Sefirotów, i jak te Sefiroty nazywają się? i jak układać trzeba litery imion Boskich, żeby z nich słowa wielkich tajemnic ułożyły się, i kiedy nadejdzie dzień Messyaszowy, i co w tym dniu dzieć się będzie?.. on na te wszystkie zapytania twoje znalazłby odpowiedzi długie i uczone. Ale jak ty jemu opowiadać zaczniesz o gorzelniach, podatkach, o dworach pańskich i tych zamiarach, które na nie źli ludzie mają; on wytrzeszczy na ciebie oczy i będzie ciebie słuchał, jak słucha człowiek głuchy, bo on wszystkiego tego nie rozumie i dla niego, za księgami temi, z których on mądrość swoją czerpie, cały świat jest jako pustynia okryta ciemną nocą!...

Meir pochylił głowę.

— Ja czuję, że ty prawdę mówisz, — rzekł, —

a jednak, żebym ja zapytał się jego: czy wolno jest dla własnej korzyści krzywdzić niewinnego człowieka?...

Ber odpowiedział:

— On-by ciebie zapytał się: a kto jest niewinny człowiek? — Izraelita, czy Edomita?

— Edomita! — echowym głosem odpowiedział Meir.

Spojrzał w górę, jakby namyślał się; wzruszył ramionami, jakby czemuś dziwił się wewnętrznie; — a potem zatopił wzrok w twarzy Bera.

— Ber! — wyrzekł, — czy ty Edomitów nienawidzisz?

Zapytany wstrząsnął przecząco głową.

— Nienawiść przykra jest sercu, — odpowiedział. — Kiedyś... jak ja młody byłem... chciałem nawet pójść do nich i zawołać: ratujcie! Teraz kontent jestem, że nie zrobiłem tego i ze swoimi zostałem, ale nienawiści żadnej w sercu mojem dla nich nie mam...

— I ja nie mam, — żywo potwierdził Meir. — A czy ty myślisz, — zapytał, — że Kamionkier ich nienawidzi?

— Nie, — zaprzeczył Ber, — on tylko doi ich jak krowy i ma dla nich wzdargę za to, że oni interesów swoich nie pilnują i pozwalają, żeby on ich oszukiwał.

— A Todros czy ich nienawidzi? — zapytał jeszcze Meir.

— Tak; — energiczniej niż kiedy potwierdził Ber, — Todros ich nienawidzi. A dla czego on ich nienawidzi? Bo on nie żyje w tym samym czasie, co my wszysey... on żyje ciągle w tym czasie, w którym Rzymski cesarz świątynię Jerozolimską zburzył i lud Izraelski z Palestyny wygnał, i w którym Żydów palili na stosach i po całej ziemi gnali. On oddycha, jé i chodzi teraz, ale myśli i czuje tak, jak gdyby żył 2000 i 1000 lat temu. On nie wie o tém, że od śmierci przodka jego, Todrosa, co z Hiszpanii tu przybył, mnóstwo lat płynęło ciągle, jak wielka i bystra rzeka, i że na téj rzece pływali mądrzy i dobrzy ludzie, przynoszący światu mądre i dobre rzeczy, i że od tego dalekiego czasu świat zmienił się, a ludzie, którzy nienawidzili i prześladowali jedni drugich, ręce sobie do zgody podali... On nie wie, co na świecie dzieje się... nu! jak on ma wiedzieć? on od urodzenia swego nigdy z Szybowa nie wyjeżdżał, a oczy jego nie widziały innych ksiązek, jeno te, które mu po dziadach, pradziadach zostały, — i żadnego człowieka z innego narodu, jak tylko z narodu Izraelskiego.

Meir słuchał i głowę z lekka wstrząsał, jakby w myśli swój potwierdzał słowa towarzysza.

— To ja nie mam po co do niego iść... — rzekł po chwili namysłu.

— Ja dla tego szukałem ciebie, ażeby ci to powiedzieć, — odparł Ber. — On nie zabroni Kamionkerowi krzywdzić dziedzica Kamiońskiego, bo jemu będzie zdawać się, że dziedzic Kamioński pochodzi z narodu Idumejczyków, który wojował z Jozuem, albo z narodu Rzymskiego, który bałwanom kłaniał się i świątynię Jerozolimską zburzył, albo z narodu Hiszpańskiego, który, 500 lat temu, bardzo Żydów udręczał... On nawet z tobą rozmawiać nie zechce, bo ty w jego oczach kofrymem, niedowiarkiem jesteś, i on do tego czasu na głowie twojej rozgniewanej ręki swój nie opiera tylko przez wzgląd na wielką familią twoją i tą miłość, którą lud dla dziada twego, Saula, ma. Ale żebyś ty Kamionkera przed nim oskarżył, Kamionker popchnąłby go do zemsty nad tobą, tak, jak go już popycha Reb Mosze. Meir! bądź ty ostrożny! zguba twoja niedaleko! uciekaj ty od niej!

Meir na przestrogę tę nie odpowiedział.

— Ber! — wymówił, — ja temu bardzo dziwuję się, ale mnie się zdaje, że w człowieku tym głupim, złym i mściwym, mieszka wielka dusza... On bardzo cierpliwy, dnie i noce siedzi nad księgami swe mi... on litościwy! oczy jego łzami zachodzą, jak przed nim ludzie biedni skarżą się i płaczą... on wszystkim do siebie przystęp daje, naucza i pociesza każdego... dla siebie nic nie chce i tak mocno... Ber! on tak mocno wierzy...

Słuchając słów tych, Ber uśmiechał się i szkl. stym wzrokiem swym spoglądał ku obłokom.

— Ty, Meir, tak o rabbinie mówisz, — odparł zwolna, — a co ty powiesz o tym biednym narodzie, którego ciało wyschło od głodu, którego głowy, od kłopotów bolące i od pogardy, co na niego przez dwa tysiące lat pada, nisko pochylone, a który, jak spragniony do źródłu, biegnie do rzeki mądrości, żeby z niej pić? Ty nie pytaj się o to: czy mądrość ta prawdziwa jest, albo fałszywa? ale ty patrz na to, jak on w biedzie, w nędzy, w małych interesach żyjąc, mądrości téj pragnie... i jak on mędrców swoich czei, a tego, co za święte przykazanie ma, wiernie trzyma się? Czy tobie zdaje się, że naród ten, głupi, cheiwy i brudny, wielką ma w sobie duszę?

Meir podniósł głowę. Rumieniec opłynął mu czoło, jak zwykle, gdy bywał wzruszonym.

— Izrael wielką duszę ma w sobie, i ja go kocham nad spokojność moję, nad szczęście moje i nad życie moje. Nu!..

Tu zatrzymał się przez chwilę, porywczym giestem pochwycił ramię Bera i zapytał:

— I ja wiem, czego Todrosowi braknie, żeby on ze swoją wielką duszą wielkim człowiekiem był, i czego ludowi Izraelskiemu braknie, ażeby on wielkość swoją przed światem pokazał... Trzeba, żeby myśli ich i pamięć wyszły z tych dawnych czasów, w których one zawsze mieszkają, a zamieszkały w nowych

czasach, co teraz na świat przypłynęły, i trzeba, żeby o głowy ich uderzył skrzydłami swemi Sar-ha-Olam, ten anioł poznania, który jest książęciem świata!

Kiedy młody człowiek, z czołem i wzrokiem w ogniu, słowa te mówił, Ber wpatrywał się w niego głębokiém, radośném i zarazem smutném spojrzeniem. Po chwili odezwał się:

— Kiedy ja na ciebie patrzę, Meir, i kiedy ja ciebie słucham, mnie się zdaje, że ja widzę siebie samego... wtedy, kiedy mi tyle lat było, ile tobie jest teraz... Ja także, tak, jak ty teraz, gniewałem się bardzo i smuciłem się... ja także chciałem...

Umilkł i dotknął dłonią piersi, bo na czole powstały mu dwie głębokie zmarszczki, a źrenice jego z za szklistej swój powłoki spojrzały kędyś daleko... w świat, czy w przeszłość...

W ten sposób rozmawiali z sobą dwaj ci ludzie, jeden o ścianę Bet-Midraszu oparty, drugi blisko przed nim stojący. Rozmawiali z ożywieniem, z gwałtownemi niekiedy giestami. Meira oczy płomienne były, a twarz blada; Bera czoło fałdowało się zmarszczkami, a wargi drżały lekko. I ktokolwiekby z ludzi obcych światu temu, wśród którego żyli, czuli i myśleli oni, patrzył teraz na nich, a treść rozmowy ich odgadywać chciał, rzekłby: kupują, sprzedają, targują się, o handlu mówią! Alboż ludzie tacy, jak oni, o czém inném myśleć, mówić, nad czém inném cierpieć mogą?

Mogą. Myślą, mówią, cierpią, tylko nikt w mowy ich nie wsłuchuje się, myśli nie rozumie, cierpień odgadnąć nie pragnie. Morze to jest—ogromne i tajemnicze, nie — badane przez tych nawet, którzy w niem toną!

— Chodź do domu, — rzekł Ber do towarzysza swego, — dziad twój Saul wkrótce z gośćmi swymi do stołu zasiędzie i rozgniewa się, jeżeli ciebie tam nie zobaczy. I tak już wielka burza nad głową twoją wisi. Hana Witebska odniosła prezenta zaręczynowe, które dziad od ciebie córce jej posłał, nagadała jemu przy gościach wiele nieprzyjemności i zaręczyny zerwała.

Meir uczynił niedbały ruch ręką.

— Ja tego chciałem, — rzekł, — dziada ja prze proszę... Moja głowa tęp tylko zajęta: do kogo tu teraz iść?..

Ber z rodzajem zdziwienia spojrzał na mówiącego.

— Jaki ty uparty jesteś! — zauważył.

Zmierzali już teraz obaj ku bramie podwórza.

Ber stanął nagle.

— Meir! — rzekł, — ty tylko do urzędników nie chodź!

Meir powiódł dłonią po czole.

— Ja poszedłbym do nich, — rzekł, ale mnie strach zdejmuję! Jeżeli prawdę wykryją, to Kamionkera srogo karać będą, a z Kamionkerem i tych nie-

szezęśliwych ludzi, których on skusił.. Biedni ludzie! głupi ludzie! Ja ich żałuję...

Umilkł nagle i wpatrzył się w punkt jeden. Rynkiem, nawpół już opustoszałym, przejeżdżała zgrabna najtyczanka, przez cztery dzielne konie ciągniona, a na niej siedział mężczyzna młody, przystojny, w wykwintném ubraniu.

Meir wskazał palcem najtyczankę, która zatrzymała się przed domostwem Kamionkera, i z oczyma szeroko rozwartemi od myśli jakiejś, która mu nagle w głowie zawrzała, drżącym głosem zawołał:

— Ber! czy ty widzisz? to dziedzic Kamioński!

*

*

*

Słońce zbliżało się ku zachodowi, kiedy na ganku domostwa Ezofowiczów ukazała się gromadka ludzi, żywo, uprzejmie i wesoło z sobą rozmawiających. Byli to dzisiejsi goście Saula, którzy, uczestowani przy gościnnym stole jego, uściśnieniami rąk żegnali stojącego pośród nich starca, za łaskę, którą okazał im, dziękowali i, z kolei po dwóch lub trzech na oczekujące ich wozy siadając, długo jeszcze zwracali się twarzami ku stojącym na ganku gospodarzom opuszczanego przez nich domu.

W bawialnój izbie niewiasty domowe, z pomocą dziewczek służebnych, sprzątały z długiego stołu liczne

naczynia, chowały do szaf resztki pozostałych jadal i napojów i zwijały starannie grubą, lecz dostatnią i czystą bieliznę.

Na rynku tymczasem targ miał się ku końcowi; przerzedzona znacznie ilość wozów i ludzi zajmowała jeszcze pewną część przestrzeni, ale zmniejszała się z każdą chwilą. W zamian dwa czy trzy domostwa zajezdne, znajdujące się tuż przy placu, wrzały gwarem i hałasem. Ciemne, przepaściste sienie domostw tych natłoczone były wozami i końmi wieśniaków, którzy pili, tańczyli, kłócili się i bawili w wielkich szynkowniach.

W szynkowni Kamionkera najtłumniej było i najhałaśliwiej; nie dziw: obrotny handlarz trzymał w dzierżawie kilka okolicznych gorzelni i kilkanaście karczem, kierował czynnościami i rozrządzał losami całej armii swoich znowu dzierżawców i szynkarzy. Kilkudziesięciu ludzi, podobnych Samsonowi, który raz w tydzień kupował trzy funty mięsa, a jedenaście osób, rodziną jego składających, jadło z nich i siły swoje wzmacniało—(Samsonowe iście musiały być siły te!) kilkudziesięciu biedaków takich zostawało w zupełnej od Kamionkera zależności. Wspaniałomyślnym władcą nie był on dla nich, oni też nawzajem wspaniałomyślnymi nie byli dla tych tłumów wieśniaczych, które topiły rozum swój i dobrobyt swych rodzin w rozlewaniu rękoma ich morzu alkoholu. W ten więc sposób Kamionker trzymał w ręku

swych losy setek tysięcy może rodzin wieśniaczych, do czego pomagały mu podwójne końce kredek dzierzawców jego,— szynkarzy, z kolei oczekujących od przedsiębiorcy głównego polepszenia, albo ostatecznego zniweczenia, nędznych swych, brudnych, mozolnych istnień.

Nie więc dziwnego, że dokoła domostwa Kamionkera cisnął się tłum największy wozów i koni a w szynkowni jego piła i hałasowała największa ilość wieśniaków. Kamionker przecież nie ukazywał się tłumowi temu i sam go nie ugaszcział. Gospodarowała tam żona jego, Jenta, rozstawiając na stołach dzbanki, butelki i czarki, a dopomagały jej dwie brzydkie, barczyste córki, sprzedające u końca jednego ze stołów obwarzanki, chały i śledzie. I ktokolwiek-by wtedy patrzył na postać Jenty, chudą, podaną na przód, obleczoną w luźną, spłowiałą suknię, i na twarz jej, uwiędłą, zgorzkniałą, żółto odbijającą od sterczącej przy rudym czepku czerwonej róży; ktokolwiek-by widział postać tę i twarz, leniwo przesuwające się w atmosferze, dusznej od tłumnych oddechów ludzkich i odurzającej wyziewami alkoholicznych napojów — przypuścić-by nie mógł, że była to żona handlarza i przedsiębiorcy na wielką skalę, właściciela jednej z największych w prowincyi fortun pieniężnych.

Trudno-by też było odgadnąć przedsiębiorcę na wielką skalę i posiadacza kapitałów znacznych w ru-

dym, małym człowieczku, który, w wyszarzanym, długim aż do ziemi surducie, z szyją ukrytą w zwójach czerwonej chusty, stał teraz w jednym z gościnnych pokoi domu swego, o kilka kroków zaledwie od progu.

Był to ten pokój właśnie, w którym świetniały żółte, odwieczne sprzęty, z podartém i brudném obiciem, a także stojące na oknach w glinianych wazonach czarne monstra roślinne.

Reb Jankiel Kamionker stał o kilka kroków od progu, a gość jego, dziedzic Kamioński, siedział na żółtym fotelu, paląc cygaro i półzartobliwym, półzamyślonym wzrokiem patrząc na Reb Jankla.

Młody pan był wysoki, słusznój i silnój postaci; ciemne włosy miał nad otwartém czołem, a na całej twarzy, delikatnój, choć pozłoconej zlekka od skwarów letnich, wyraz łagodny, trochę dobroduszny i dość myślący.

Wesoła żartobliwość, która kiedyniekiedy świeciła w oczach szlachcica, obudzona snadź była widokiem niepozornój postaci, piegowatėj twarzy i długich ognistych pejsów Reb Jankla. Zamyślał się zaś on chwilami dla tego zapewne, że niepozorny Rebe z długimi pejsami rozmawiał z nim o ważnym dlań interesie.

Młody pan zresztą z otwartém, myślącém czołem i łagodnemi usty, nie a nie nie wiedział o tém, z kim właściwie rozmawia. Stał przed nim żyd, dzierzawca

jego gorzelni, i koniec na tём. Kimże mógł on być więcéj, jak żydem i dzierżawcą gorzelni?

Że mógł on być jeszcze czynnym i wpływowym członkiem pewnego silnie i odrębnie zorganizowanego społeczeństwa,—doskonałym pobożnym, zostającym u prawowiernéj części społeczeństwa tego we czci wysokiéj,—mystykiem, oczekującym nadejścia dnia Messyasowego z wiarą taką, z jaką oczekiwali go ludzie plemienia jego przed kilkunastu wiekami; że był on uczonym i bogaczem, przed którym powstawali z głębokim szacunkiem wszyscy biedacy i prostacy narodu jego; że nakoniec około niekształtnych, piegowatych, niedobrze umytych rąk jego, obmotywały się nici licznych losów ludzkich, żydowskich i chrześcijańskich: o tём dziedzie Kamioński z myślącym czołem i łagodnymi usty najlżejszego nie miał wyobrażenia.

To téż na myśl mu nawet nie przyszło zachęcić piegowatego, rudego żyda, aby zbliżył się doń o parę kroków więcéj i usiadł w obecności jego. Reb Jankiel także o zbliżaniu się i siadaniu w obecności szlachcica nie myślał. Nie myślał o tём, bo w okolicznościach podobnych stanie pokorne było mu zwyczajem, po ojeach i dziadach odziedziczonym; a jednak blado-błękitne oczy jego połyskiwały niechętnie i złośliwie, ile razy młody pan zwrócił wzrok w inną stronę i wyrazu ich widziéć nie mógł. Być może, iż Reb Jankiel, nie myśląc wcale o tём i sprawy sobie z uczucia swego nie zdając, czuł przecież, jak od sto-

jących w pokorze nóg jego ku sercu, które w codzienném życiu w wielkiej nurzało się dumie, płynął gryzący jad otrzymanej i wzajem oddawaną—wzgardy, która, gdy na grunt złego serca upadnie, zasiewa nienawiść i zbrodnie.

— Nudzisz mnie, mój Janklu, z temi wiecznemi targami i kontraktami swemi!—niedbale i pociągając cygara, mówił dziedzic Kamionński;—wstąpiłem do ciebie na chwilę tylko, ażeby mi konie odpoczęły trochę, a ty mnie już tu na dobre złapałeś...

Reb Jankiel ukłonił się szybko i giętko.

— Ja za śmiałość moję bardzo wielmożnego pana przepraszam, — rzekł z uśmiechem, — ale gorzelnia pańska otworzy się za miesiąc, a ja chciałem pierwszeństwo u pana mieć...

— Dobrze! dobrze! — odparł szlachcic, — dla czegoż nie miałbym dać ci pierwszeństwa, skoro od trzech lat dzierżawisz już gorzelnię moję?... ale po co tak śpieszyć... miesiąc czasu jeszcze...

— Co to szkodzi zawczasu o interesie pomyśleć? Ja woły już skupuję, a przy gorzelni wielmożnego pana sto wołów postawić trzeba. Sto wołów! czy to żart? ja takich dużych pieniędzy wydawać nie mogę, nie mając jeszcze od wielmożnego pana żadnej pewności. Jeżeli wielmożny pan pozwoli, ja jutro do dworu przyjadę i kontrakt napiszem...

Młody pan wstał z fotela.

— Dobrze, — rzekł, — przyjedź... nie wcześniej

jednak, jak po południu, bo zrana mnie w domu nie znajdziesz.

— Wielmożny pan nocować będzie w sąsiedztwie? — zapytał Jankiel, i powieki drgnęły mu nerwowo.

— W blizkiem sąsiedztwie, — odpowiedział szlachcic i chciał coś jeszcze mówić, ale za plecami Reb Jankla, zwolna i nieśmiałą widocznie ręką poruszone, drzwi otworzyły się, a do pokoju wszedł młody żyd, wysmukły, kształtny, czysto ubrany, z twarzą bladą i bardzo zmieszaną, a ckiem gorejącem i śmiałem.

Na widok wchodzącego, Reb Jankiel instynktowym ruchem odskoczył w tył parę kroków. Po białej i piegowatej twarzy jego przebiegały drgnienia przestachu.

— Czego ty tu przyszedł... — zaczął, ale głos uwiązł mu w gardle.

Młody pan za to, z obojętnem na przybyłego spojrzeniem, zapytał:

— A czego chcesz, mój kochany? czy interes jaki do mnie?

— Do wielmożnego pana, — odpowiedział młody człowiek, głosem niżonym prawie do szeptu.

Uczylił zwolna kilka kroków naprzód, ale Jankiel zagroził mu sobą drogę.

— Niech wielmożny pan nie pozwoli jemu rozmawiać z sobą! — krzyknął, — niech wielmożny pan ust jemu otwierać nie pozwoli! To bardzo zły człowiek jest... on wtrąca się do wszystkiego...

Dziedzie Kamioński wyciągnął rękę i usunął z przed siebie gorączkowo giestykulującego człowieka.

— Pozwól mu mówić, — rzekł, — jeżeli ma interes jaki do mnie, czemużbym porozmawiać z nim nie miał?..

Mówiąc to, patrzył uważnie na przybyłego, którego twarz, o pięknych, wyrazistych rysach, bladością wzruszenia powleczone, zaciekawila go widocznie. Przypięt obrazła go i rozśmieszała zarazem nagłe powstała gwałtowność gości i mowy Jankla.

— Wielmożny pan mnie nie zna, ale ja wielmożnego pana znam... — zaczął przybyły cichym wciąż, ciężkim głosem.

— Po co wielmożny pan znać ma łajdaka takiego, jak ty! — spróbował znowu przerwać mu mowę Jankiel; ale dziedzie Kamioński uczynił ku niemu gość, nakazujący milczenie.

— Ja wielmożnego pana widziałem kilka razy u dziada mego, Saula Ezołowicza, którego syn, Rafał, u wielmożnego pana zboże zawsze kupuje.

— Więc jesteś wnukiem starego Saula?

— Tak, ja jestem jego wnukiem.

— A Rafał Ezołowicz to twój ojciec?

— Nie; ja jestem synem Benjamina, najmłodszego z synów Saula, który dawno już temu umarł.

Meir wyrażał się polszczyzną łamaną nieco, lecz dość znośną. W domu dziada swego słyszał on często rozmowy prowadzone w tym języku przez przybywających tam za interesami dziedziców dóbr są-

siednich, a i stary Edomita, który uczył go czytania i pisania innego, niż hebrajskie, tym samym językiem mówił.

— Czy Rafał przysłał cię do mnie? — zapytał szlachcic.

— Nie; ja sam przyszedłem.

Milczał chwilę, jakby wzmagał się na siły i odwagę. Wzmógł się, podniósł głowę i śmielszym już nieco głosem zaczął:

— Ja przyszedłem, żeby wielmożnego pana ostrzedz przed wielkiem nieszczęściem, które źli ludzie dla pana przygotowują...

Jankiel poskoczył znowu i, rozpościerając ramiona, zasłonił go przed Kamiońskim.

— Czy ty będziesz milczał? — krzyknął, — po co ty masz wielmożnemu panu głowę turbować swoim głupiem gadaniem...

Zwracając się do szlachcica, rozpaczliwie mówił:

— To waryat jest, *miszugener*, łajdak...

Tym razem jednak nie Kamioński usunął już go z przed siebie, ale uczynił to Meir. Ze zdwojoną gorączką w oczach, z przyśpieszonym oddechem, odpechnął Jankla i śpiesznie mówić zaczął:

— Ten człowiek mówić mi nie pozwala, dla tego, ja wielmożnemu panu prędko wszystko powiem. Niech wielmożny pan jemu nie ufa; on jest bardzo złym człowiekiem i nieprzyjacielem pana... on panu wielkie nieszczęście zrobi... niech pan jego strzeże się

i niech pan domu swego strzeże, jak oka w swojej głowie... Ja donosicielem nie jestem, i dla tego przyszedłem tu, aby wielmożnemu panu powiedzieć to przy nim... On będzie mścił się nade mną, ale niech mści się... ja musiałem zrobić to, co każdy prawy Izraelita zrobić powinien.. bo napisaném u nas jest: „Niech cudzoziemiec żyje pomiędzy wami, jak gdyby był zrodzon z potomków Izraelowych,” a w drugiem miejscu napisane jest: „Jeżeli milczćć będziesz, na głowę twoję spadną nieszczęścia Izraela!”

Przestał mówić, bo w piersi głosu mu nie stało. Widać było, że drżał cały i że kipiący zapal boleśnie walczył w nim z tajemną, dojmującą trwogą.

Kamioński spoglądał na mówiącego z zajęciem, ze zdziwieniem i — z uśmiechem. Tak przywykł uśmiechać się, patrząc na Żydów, że i teraz drżąca postawa Meira, zagadkowe słowa jego, a szczególnież uczynione przezeń biblijne cytaty, piękne same w sobie, ale dziwnie brzmiące w niewprawnej i łamanej mowie żyda, bardziej śmieszyły go, niż zadziwiały i zaciekawiały.

— Jak widzę, — zaczął, — stary Saul ma wnuka uczonego w Piśmie świętém i obdarzonego darem proroczym. Powiedz-że mi jednak, mój młody proroku, jaśniej i wyraźniej, jakie to nieszczęście grozi mi i dla czego ten pocciwy Jankiel, który od trzech lat jest moim dobrym znajomym, powziął nagle taką nieprzyjaźń dla mnie?

Jankiel stał teraz tuż przy fotelu, na którym siedział dziedzic, i schylony trochę ku niemu, ze słodkim uśmiechem na ustach, szeptał:

— To waryat! jemu zdaje się ciągle, że on prorokiem jest i on wszystkim ludziom różne rzeczy zawsze powiada, a na mnie on zły za to, że ja z niego bardzo śmieję się i drwię...

— No, to już ja śmiać się ani żartować nie będę, żeby on i na mnie zły nie był, — wesoło odparł szlachcic, a zwracając się ku Meirowi, z pewną jednak ciekawością, zapytał:

— Jakież to nieszczyćście spotkać mnie może? powiedz jasno i wyraźnie, a jeżeli powiesz prawdę, zrobisz dobry uczynek i wdzięcznym ci za to będę...

Meir odpowiedział:

— Wielmożny pan żąda ode mnie rzeczy bardzo trudnej... ja myślałem, że wielmożny pan zrozumie wszystko z kilku słów... mnie ciężko o tém mówić...

Powiódł dłonią po czole, na które wystąpiło kilka kropli potu.

— Czy wielmożny pan przyrzecze mi, że, kiedy ja powiem straszne słowo, ono wpadnie w ucho pana jak kamień wpada w wodę, i że pan nie powtórzy słowa tego przed sądem, tylko sam użytek z niego zrobi? Czy wielmożny pan mnie da na to swoje słowo?

Bladość mówiącego zwiększała się i głos drżał.

Młody pan walczył widocznie pomiędzy ciekawością a wesołym śmiechem, który go napastował.

— Daję ci słowo honoru, — rzekł, uśmiechając się, — że słowa twoje wpadną do ucha mego, jak kamień do wody.

Gorejące oczy Meira zwróciły się ku Jankłowi; otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz drżały one gwałtownie i żadnego dźwięku wydać nie mogły. Jankiel, korzystając z gwałtownego wzruszenia, które, zdaje się, odebrało na chwilę młodemu człowiekowi siłę i przytomność, nagłym i sprężystym ruchem rzucił się ku niemu, pochwycił go za przednie klapy surduta i z całej siły zaczął popychać ku drzwiom; przytém krzyczał:

— Co ty do domu mego przychodzisz, żeby memu gościowi głupiem gadaniem swoim głowę turbować? To jaśnie wielmożny gość jest... wielki pan, z którym ja trzy lata już handluję i przyjaźń trzymam... Idź ztąd! idź ztąd! idź!

Meir usiłował wyzwolić się z rąk targających go i popychających; ale, jakkolwiek wyższym był od Jankla, Jankiel posiadał większą giętkość i sprężystość ciała, a przytém dokonywał wysiłen rozpaczliwych. W ten sposób obaj posuwali się ku drzwiom, a młody pan spoglądał na zapasy te z uśmiechem. Nad głową i ramionami miotającego się Jankla podnosiła się bledsza coraz twarz Meira. Nagle oblał ją płomienny rumieniec.

— Niech wielmożny pan nie śmieje się, — zawołał przerywanym głosem, — wielmożny pan nie wie,

jak mnie trudno mówić..! Niech wielmożny pan domu swego od ognia strzeże...

Przy ostatnim wyrazie zniknął z progu, a Jankiel, zdyszany, zmęczony, z drgającą twarzą, drzwi za nim zatrzaskał.

Kamionński uśmiechał się ciągle; nie dziw: zapasy małego, rudego Jankla z wysokim i silnym, lecz zbyt wzruszonym, aby dostatecznie bronić się mógł, młodym żydkiem rozśmieszający miały pozór. Śród zapasów tych długa odzież obudwóch zapasników rozwiewała się szeroko; Jankiel z uniesienia i wysilenia wielkiego, podskakiwał i przysiadął; Meir drżał cały tak, jakby się bardzo lękał, i niezgrabnymi ruchami odpychał napastnika. Tworzyło to obraz śmieszny, tém śmieszniejszy, iż składali go ludzie, z których śmiać się ogólnym jest i odwiecznym zwyczajem.

Jakim zresztą sposobem młody szlachcie zrozumieć mógł tajemny, a bynajmniej nie komiczny, sens odgrywającej się przed nim sceny? Kiedy roznawiał z Meirem, czy wiedział: kto właściwie stał przed nim? Młody to żydek był, łamanym i zabawnym językiem mówiący, wnuk kupca i sam przyszły kupiec zapewne. Kimże-by innym mógł być, jeśli nie młodym, dość zabawnym żydkiem i przyszłym zapewne kupcem? Że był on duchem szlachetnym, zbuntowanym przeciw głupotom i nieprawościom wszelkim, duchem aż do rozpaczы stęsknionym za swobodą i wiedzą; że, przychodząc tu, dokonywał aktu wielkiej odwagi

i krokiem tym gubił całą przyszłość swoją: młody pan najlżejszego o tēm nie miał wyobrażenia. Alboż istnieją pomiędzy Żydami duchy szlachetne, zbuntowane przeciw złemu, wysoką tęsknotą rozebrane, odważne?

Po chwili jednak dziedzic Kamioński przestał uśmiechać się i, patrząc na Jankla, zapytał: -

— Wytlómacz-że mi teraz, co to takiego było? i co to za człowiek?

— Ach! co to było i co to za człowiek? — powtórzył Jankiel, który w mgnieniu oka pozór spokojności odzyskać zdołał. — Było to głupstwo, za które ja wielmożnego pana przepraszam, że ono pana w domu moim spotkało; a ten człowiek jest waryat... On bardzo zły był i ze złości zwaryował...

— Hm,—rzekł Kamioński,—nie wygląda jednak całkiem na waryata. Ładną ma twarz i wcale roztropną...

— On-bo i niezupełny waryat... — zaczął Jankiel, ale przerwał mu Kamioński:

— Wnuk to Saula Ezofowicza? — zapytał z zamyśleniem.

— On wnuk Saula, ale dziadek bardzo jego nie lubi...

— Lubi czy nie lubi, ale rodzonego dziada pytać się o niego darmo...

— I owszem, niech wielmożny pan zapyta się... — wykrzyknął Kamionker, a oczy świeciły mu tryum-

fem.—Niech pan i stryjów jego zapyta się... to ja zaraz pobiegnę, i stryja jego, Abrama, tu przyprowadzę...

— Nie trzeba; — rzekł krótko szlachcie.

Wstał i zamyślił się. Spojrzał potem na Jankla bystro i uważnie. Jankiel spotkał spojrzenie to śmiałym okiem. Milczeli obaj chwilę.

— Słuchaj, Janklu! — rzekł Kamioński, — jesteś człowiekiem niemłodym, zamożnym kupcem, ojcem rodziny: powinienem ufać ci więcej, niż młodzikowi, którego pierwszy raz w życiu widziałem i który zresztą naprawdę waryatem być może... Jednak w tém coś być musi... ja o młodego człowieka tego rozpytać się muszę...

— Niech wielmożny pan rozpytuje się; — ze wzgardliwem wzruszeniem ramion, rzekł Jankiel.

Kamioński po dość długiej chwili namysłu zapytał:

— Czy wasz sławny rabbin jest teraz w miasteczku?

— A gdzie on ma być? on od urodzenia swego nigdy z miasteczka nie wyjeżdżał.

— Stateczny człowiek! — uśmiechnął się znowu Kamioński, i wziął ze stołu zgrabną swą czapkę.

— No, Janklu, — rzekł, — prowadź mię do rabina... choćbym się nie dowiedział nic ciekawego, zyskam przynajmniej to, że choć raz w życiu rabina waszego zobaczę...

Jankiel z pośpiechem drzwi przed wychodzącym

gościem otworzył i wraz z nim na plac, zupełnie już prawie pusty, wyszedł.

Przez plac przechodził w tej chwili Eli Witebski i, spostrzegłszy Kamiońskiego pana, z uśmiechem pełnym uprzejmości ku niemu pośpieszył. Kamioński też powitał go grzecznie. Zewnętrznym wyglądem swoim przynajmniej światowy kupiec bardziej od innych mieszkańców miejsca tego zbliżonym był do tej odmiany rodu ludzkiego, która nosi nazwę ucywilizowanej.

— Wielmożny pan do miasteczka naszego zawitał. Czy za interesem jakim?

— Nie, przejeżdżam tylko.

— A dokąd wielmożny pan teraz dąży?

— Do rabbina waszego, panie Witebski.

Witebski zdziwił się.

— Do rabbina? a czego wielmożny pan od niego chce?

— Śmieszna historya! mój Witebski! Ot, powiedz mi, czy znasz wnuka Saula Ezofowicza?

— Którego? Saul ma wielu wnuków!

— Jak mu na imię? — przez ramię ku Jankłowi rzucił pan.

— Meir! Meir! ten niegodziwiec! — zakrzyczał Kamionkier.

Witebski skinął głową, na znak zrozumienia.

— Nu! — zaczął z łagodnym i pobłażliwym uśmiechem, — niegodziwcem on nie jest. Młody jeszcze. . poprawić się może... Ale niespokojną głowę ma... to prawda...

— Cóż? *miszugiener* trochę? — zaśmiał się pan, żartobliwym giestem palec do czoła swego przykładając.

— Nu — odpowiedział Eli — waryatem on także nie jest... młody, porozumnieje jeszcze... ale teraz on wielkie głupstwa wyrabia — to prawda! On i mnie dziś nieprzyjemności wielkich narobił... aj! aj! co ja przez niego zmartwienia i kłopotu miałem i będę jeszcze miał!

— Tak więc — rzekł Kamioński — rodzaj to jest półgłówka i złośnika, który sam nie wie czego chce, i wszystkim przykrości sprawia?

— Pan zgadł! — odpowiedział Witebski i zaraz dodał: — ale on młody jeszcze, z niego kiedyś porządny człowiek może być...

— Co znaczy, że teraz nie jest porządnym człowiekiem...

— Proszę wielmożnego pana tędy — rzekł w tej chwili Jankiel, wskazując dziedzicowi bramę synagogalnego dziedzińca.

— A gdzież jest mieszkanie waszego rabbina?

Kamionker wyciągnął palec ku przytulonej do ściany świątyni ciemnej lepiance.

— Jakto! — zawołał szlachcic — w tej chacie?

I zmierzał ku chacie, ale z Janklem już tylko; Witebski bowiem, spostrzegłszy, że zanosi się na jakąś sprawę ważną, może i przykrą, z ukłonami i uśmiechami szybko synagogalny dziedziniec opuścił.

Drzwi chaty rabбина zamknięte już były, ale u otwartego jęj okna stało jeszcze ludzi kilkunastu, z cicha pomiędzy sobą rozmawiających i od czasu do czasu we wnętrze chaty rzucających nieśmiałe spojżenia. Ale we wnętrzu chaty panowało milczenie głębokie, i ktokolwiekby widział wprzód, jak mozolnie i niezmordowanie Izaak Todros pracował przez długi szereg godzin, przypuściłby niezawodnie, iż teraz używał on spoczynku w śnie lub beczynności zupełnej. Przypuszczenie takie byłoby grubą omyłką. Z wyjątkiem kilku krótkich godzin nocnych, w których sypiał snem tak przerywanym i trudnym, jakim bywa zazwyczaj sen ludzi o wytężającym się wciąż umyśle i rozdrażnionych nerwach, Izaak Todros nie spoczywał nigdy. Było to żyjące wcielenie pracy niezmordowanej, namiętnej, nieznającej co to zmęczenie, płynące ze zwątpienia jakiegokolwiek, albo trwożliwej o własne zdrowie i życie dbałości. I teraz także, po całodzienném przebywaniu w upalnej i dusznej atmosferze, sprawionej w ciasnej chacie jego ogromnym natłokiem ludzi, po długim wysilaniu myśli i piersi, rabbin Szybowski nie legł na twarde łoże swe, ani wyszedł za miasteczko, kędy świeżość i cisza owiać-by mogły czoło jego, oblane potem i zmięte trudami mozół; ale pozostał na tej samej ławie, na której siedział od wczesnego ranka, i tylko, księgę wielką przed sobą rozwarłszy, wczytywał się w nią pilnie, nabożnie, bezpamiętnie. Księgę

tę zresztą, jak wszystkie inne, które posiadał, przeczytał on już tyle razy, że umiał ją na pamięć prawie, od początku do końca. Czytał ją jednak ciągle, bo z za wyrazów jęj błyskały mu coraz nowe sensy i tajemnice, a on ku ostatecznemu pojęciu sensów tych i odkryciu tajemnic dążył wszystkimi siłami ducha swego, palącego się w ogniu mistycznych wiar, marzeń i pragnień.

Reb Mosze za to spoczywał, choć także niezupełnie. Siedział on w kątku izby, na ziemi, łokcie opierał na podniesionych kolanach, brodę chował w dłonie, a wzrok zatapiał nieruchomo w twarzy mistrza, schyлонej nad księgą. Była to kontemplacya taka, z jaką mnich chrześcijański wpatruje się w obraz świętego patrona zakonu swego, z jaką wpółdziki murzyn przygląda się fetyszowi, wystruganemu z drzewa, z jaką miłośnik i badacz natury spogląda w przestrzeń usianą miryadami świecących ciał niebieskich. W oczach Reb Mosza, wlepionych w twarz wielkiego rabбина, malowały się: uwielbienie, podziw i miłość.

Nagle otworzyły się drzwi izdebki i za progiem jęj ukazał się dziedzic Kamioński. Zatrzymał się tam chwilę i rzekł do idącego za nim Jankla:

— Zostań tu, panie Janklu; ja sam rozmówię się z panem rabbinem.

Rzekłszy to, pochylił głowę, aby przestąpić próg drzwiczek, zbyt niskich dla wysokiej i okazałej jego postaci.

Przestąpił próg i pytającem okiem powiódł dokoła.

Naprzeciw niego, u czarnej od pyłu i brudu ściany, siedział na ławie człowiek w nędzném odzieniu, z czarnemi jak noc włosami i brodą, z twarzą pomarańczowego prawie koloru, którą podniósł przy wejściu jego z nad księgi o żółkłych odwiecznych karchach. Nad czołem człowieka tego, niskiem i przerniętém kilku grubemi poprzecznymi zmarszczkami, sterczał w półkole zmięty daszek czapki, na tył głowy zsuniętój, a oczy jego, czarne i gorejące, z osłupieniem zdumienia utkwily w twarzy przybysza.

W kącie izby, nisko przy ziemi, szarzała druga jeszcze postać ludzka, ale na nią młody pan przelotne tylko rzucił spojrzenie. Na myśl mu nawet nie przyszło, aby człowiek siedzący na ławie, z dziurami na rękawach odzieży i osłupiałym wyrazem w oczach, był tym właśnie rabbinem Szybowskim, którego sława, rozchodząc się po świecie żydowskim na wiele mil dokoła, oderwanemi, niewyraźnemi echami wnikała w świat chrześcijański.

Zbliżył się tedy do człowieka tego i dość grzecznie zapytał:

— Czy mogę widzieć się z Szybowskim rabbinem?
Odpowiedzi nie było żadnej.

Siedzący na ławie człowiek wyciągnął tylko ku niemu długą, żółtą szyję i szerzej jeszcze otworzył oczy i usta. Osłupienie, a może i inne też nagle doznane uczucie, rzuciło na całą powierzchowność jego

wyraz ogłupiałości, do idiotyzmu niemal posuniętej. I nie dziw wcale, że Izaak Todros podobnie piorunującego doświadczył wrażenia na widok stojącego przed nim szlacheica. Pierwszy to był Edomita, który progi jego przestąpił, odkąd on sam w progach tych żył; pierwszy, którego zbliśka ujrzały oczy jego i który przemówił doń dźwiękami, rozlegającemi się w uszach jego obco zupełnie, niezrozumiale, a nieledwie dziko. Gdyby Anioł Metatron, niebieski patron i obrońca Izraela, albo nawet wódz i naczelnik szatanów zjawił się był przed nim, byłby on mniej zdumionym i przerażonym; z nadprzyrodzonymi bowiem jestestwami wiązały go ściśle, jakkolwiek nie bezpośrednio, stosunki. Badał i znał pochodzenie ich, naturę, właściwości i czynności wszelkie. Ale ten okazały, wysoki człowiek, w obrzydliwem ubraniu, które do kolan nie sięgało mu nawet, z białem, jak u niewiasty, czołem swoim i niezrozumiałą swą mową, z jakich stron przybywał? po co przychodził? czego chciał? Idumejczykiem-że był on? Filistynem? srogim Rzymianinem, który zwyciężył mężnego Barkobeka? albo co najmniej, Hiszpanem, który mordował słynną rodzinę Abrabanelów, a i przodka jego, Todrosa, bezecnie z kraju swojego wygnał.

Kamioński oczekiwał chwilę odpowiedzi na pytanie swe, a nie doczekawszy się jój, zapytał powtórnie:

— Czy mogę widzieć się z Szybowskim rabbinem?

Tym razem, na dźwięk podniesionego nieco głosu

jego, postać ludzka, szarzejąca w kącie izby, poruszyła się i powstała zwolna. Reb Mosze, z otwartemi od zdziwienia usta i osłupiałym, w twarz przybysza utkwionym, wzrokiem, wysunął się na światło i gardłowo, przeciągle wymówił:

— Ha?

Na widok człowieka tego, odzianego z pierwotną i niesłychaną już gdzieindziej prostotą, po całej twarzy Kamiońskiego dziedzica drgnęły i rozbiegły się, szybko jednak powstrzymane, uśmiechy.

— Mój panie! — zwrócił się do Reb Mosza — czy człowiek ten głuchy jest i niemy? Dwa razy pytałem go już o Szybowskiego rabбина, a odpowiedzi żadnej nie otrzymałem.

Mówiąc to, wskazywał Todrosa, który teraz zwolna zwrócił się ku melamedowi i, wyciągając ku niemu szyję, zapytał:

— *Wos sagt er? Wos wyl er?* (co on mówi? czego on chce?)

Reb Mosze, zamiast odpowiedzi, szerzej jeszcze otworzył usta, a w téjże chwili za otwartém okienkiem ozwały się szmery i szepty. Kamioński spojrział ku okienku i zobaczył, że było ono całe napełnione twarzami, spoglądającemi w głąb izby z zewnątrz. Twarze te były ciekawe i nieco przełknięte. Kamioński zwrócił się ku nim z zapytaniem:

— Czy tu mieszka rabbin Szybowski?

— Tu! — odpowiedziało głosów kilkanaście.

— A gdzież on?

Kilkanaście palców wskazało człowieka, siedzącego na ławie.

— Jakto! — zawołał szlachcie — człowiek ten jest tym waszym sławnym i mądrym rabbinem?

Twarze, zapelniające okno, rozpromieniły się szczególną błogością jakąś i oczyma dawały znaki twierdzenia.

Widać było, że Kamiońskiego ogarniała wielka chęć śmiechu, którą jednak powstrzymywał jeszcze.

— A to kto? — zapytał, wskazując Reb Mosza.

— Nu — odpowiedziało mu z okna parę głosów — to jest melamed, bardzo mądry i pobożny człowiek!

Kamioński zwrócił się znówu do Todrosa.

— Szanowny panie rabbinie — rzekł — chciałbym chwil kilka pomówić z panem bez świadków.

Todros mileżał grobowo. Oddech jego tylko stawał się coraz śpieszniejszym, a oczy coraz płomieniej.

— Panie melamedzie! — rzekł szlachcie do bosonogiego człowieka w grubój koszuli, — czy to może u was dzień taki, że rabbinowi waszemu mówić nie wolno?

— Ha? — przeciągle zapytał Reb Mosze.

Kamioński, wpół śmiejąc się, wpół z gniewem, zawołał ku stojącym za oknem ludziom:

— Dla czego oni nie odpowiadają?

Długie nastąpiło milczenie. Twarze, napełniające okno, spoglądały ku sobie z widocznem zakłopotaniem.

— Nu! — ozwał się ktoś śmielszy, — oni nie rozumieją tego języka, którym pan gada!

— A jakież język do licha rozumieć oni mogą!

— Nu, — odpowiedział ten sam co wprzód głoś, — oni umieją tylko po żydowski!

Kamioński szeroko roztworzył oczy; nie chciał wierzyć uszom własnym. Śmiech go ogarniał, ale zarazem też i nieokreślony gniew jakiś.

— Jakto! — zawołał, — oni nie rozumieją języka kraju, w którym żyją?

Milczenie.

— Nu, — rzekł nakoniec ktoś z okna, — nie rozumieją.

W głosie, który krótki wyraz ten wymówił, dzwiała też głucha jakaś niechęć.

W téjże chwili Izaak Todros porwał się z siedzenia swego, stanął, wyprostował się, podniósł obie ręce nad głowę i śpiesznie bardzo mówić zaczął:

— Przyjdzie taki dzień, że Messyas w ptasiem gnieździe, które w raju zawieszono jest, obudzi się i na ziemię zejdzie. Wtedy na całym świecie rozpostrze się wojna ogromna, Izrael stanie naprzeciw Edomu i Izmaela, a Edom i Izmael, zwyciężeni, u nóg jego położą się, jako ścięte cedry.

Wymawiając wyrazy: Edom i Izmael, mówiący wyciągnął wskazujący palec swój ku stojącemu na środku izby Edomicie. Giest ten jego groźny był i uro-

czysty; groźnie i namiętnie płonęły mu oczy; piersią pochwycił szybko powietrze i z wybuchem głosu powtórzył raz jeszcze:

— Edom i Izmael położą się u nóg Izraela, jako złamane cedry, a ogrom pomsty Pańskiej spadnie na nich i zetrze ich w proch.

Teraz kolej nierozumienia przysłała na stojącego pośrodku izby Edomitę. Podobnym on był wprowadzie do smukłego silnego cedru, ale nie do takiego wcale, który wkrótce uledeć ma katastrofie rozsypiania się w proch. Przeciwnie, był on bliższym coraz katastrofie homerycznego roześmiania się, której szczególnie, choć z niemalém wysileniem, unikał dotąd.

— Co on mówi? — zapytał ludzi, tłoczących się w oknie.

Odpowiedzi nie było. Wszyscy stali z oczyma wlepionemi w mówiącego mędrca, a na ciemnej, okrągłej twarzy melameda rozlewał się już wyraz niewysłowionego zachwyty.

— Moi kochani! — zawołał Kamioński — powiedzcie mi, co on mówił?

Głos jakiś z okna, gruby i chropowaty, ale dziwném jakby szyderstwem, dziwną jakby żądzą odwetu nabrzmiała, odpowiedział pytaniem:

— Jasny pan nie zrozumiał?

Pytanie to naiwne, dziwaczne, niesłychane, położyło kres silnej woli młodego pana. Szafirowe oczy jego zaświeciły nieposkromioną wesołością, a z piersi wybuchnęła długa głośnie gamma śmiechu.

Ze śmiechem tym zwrócił się ku wyjściu.

— Dziecy ludzie! — zawołał we drzwiach. Idąc synagogalnym dziedzińcem, śmiał się wciąż i coraz więcej, a ludzie, którzy cisnęli się ku oknu rabbina, poodwracali teraz głowy i ścigali go wejrzeniami, pełnemi zdumienia i dotkliwej, głębokiej obrazy.

Nie dziw. Młody pan śmiał się, a pomimo śmiechu, w głębi piersi czuł głuchy gniew i urazę, bo mędrey Izraelscy, których widział przed chwilą, wydali się mu ludźmi dzikimi i wysoce komicznymi, nierozumiejącymi nawet języka ziemi tej, której powietrzem oddychali a płodami żywili się od wieków. Ludzie zaś, cisnący się do chaty rabbina, ścigali go wzrokiem niechętnym aż do nienawiści prawie, bo śmiechem swym zbluźnił on temu, co oni najgoręcej miłowali i czcili najwyżej. Biedni mędrey Izraelscy i czciciele ich, którzy ścigali Edomitę nienawistnemi spojrzzeniami! Biedny Edomita, śmiejący się z Izraelskich mędrców i ich czcicieli! Lecz najbiedniejsza ziemia, której synowie, po wspólnej wiekowej podróży, nie rozumieją wzajem mowy ani ust ani sere swoich!

W bramie synagogalnego dziedzińca Jankiel Kamionker znalazł się obok młodego dziedzica.

— No, panie Jankiel — zawołał dziedzic — mądrego i uczonego rzeczywiście macie rabbina!

Jankiel nie odpowiedział na to nic i zaczął zaraz mówić o przyszlórocznej dzierżawie Kamiońskiej go-

rzelni. Zdawałoby się, że tak lekceważył wszystko, co zaszło, iż zapomniiał już nawet o tém. Kamioński nie zapomniiał, ale jedyném wrażeniem, które pozostało mu z wszystkiego, co słyszał i widział, było zdziwienie, połączone z wesołością. Młody prorok, rozgniewany na proroka Jankiel z długimi pejsami, rabbin nieznający żadnego innego języka prócz żydowskiego, i towarzysz jego, ubrany z pierwotną prostotą — wydawali mu się naprzemian to niezrozumiałymi, to oburzającymi, to śmiesznymi. Pilno mu było o doznanej w żydowskiem miasteczku przygodzie opowiedzieć krewnym i przyjaciółom, do których jechał. Jakże głośno i serdecznie śmiać się będzie z opowiadania jego rumiany i dobroduszny pan Andrzej! Z jak wdzięcznym uśmiechem na różowych ustach wysłucha go córka pana Andrzeja, prześliczna Jadzia, o której wdzięcznych uśmiechach od wielu już tygodni i miesięcy dziedzie Kamioński marzył, jak wierny o raju!

Myśląc o uśmiechu prześlicznej Jadzi, młody pan wskoczył na nejtyczankę swą, a spojrzawszy ku zachodniej stronie nieba, zawołał:

— O! jakżeście mię długo tu zatrzymali!

Skinął potem głową ku Janklowi i krzyknął na furmana!

— Ruszaj!

Dzielną czwórka siwków porwała zgrabny, kawalerski powozik, który jak błyskawica przemknął

przez plac miasteczka i zniknął w złotych kłębach kurzawy.

Na zachodniej stronie nieba gasły zwolna jaskrawe obłoki; przezroczysty zmrok sierpniowego wieczoru spuszczał się na miasteczko i szarawym cieniem napępiać zaczynał bawialną izbę Ezofowiczów. W izbie téj rozlegały się przed chwilą zgiełkliwe krzyki i kłótnie, wśród których wzbijał się najgłośniejszy i najzapamiętałój mówiący głos Reb Jankla. W sposób rozmaity: powolnie i gwałtownie, gniewnie i pojednawczo odpowiadali mu liczni członkowie rodziny, którą rudy Jankiel osypywał skargami, wyrzutami i groźbami. Poczém skarżący się i grożący człowiek, drżąc cały od gniewu, a może i trwogi, wypadł z domu i pędem wielkim pobiegł ku mieszkaniu rabina, a kilku ludzi, w izbie pozostałych, siedziało i stało długo w milczeniu i bezruchu zupełnym, tak, jakby gniewne lub kłopotliwe myśli, w głowach ich powstałe, każdego z nich przykuły do miejsca.

Saul siedział na żółtej kanapie, z głową schyloną i rękoma nieruchomo złożonemi na kolanach, i ciężko, boleśnie, głośnie wzdychał. Dokola niego, otrząsłszy się nakoniec z zadumy i wzruszenia, siedli na stołkach: Rafał, Abram i Ber. Przysunęły się téż cicho i za mężami swemi usiadły żony Rafała i Bera, niewiasty lubione i poważane w rodzinie. W kącie izby szarzała jedna jeszcze postać ludzka. Był to mło-

dziutki Chaim, syn Abrama, a serdeczny przyjaciel Meira, którego obecności nikt nie spostrzegął.

Saul pierwszy przerwał milczenie.

— Gdzie on poszedł? — zapytał.

— Do rabbina na skargę, — odpowiedział Abram.

— On Meira przed sąd duchowny powoła... — uważał Rafał.

Saul zakołysał się i jęknął:

— Aj! aj! biedna głowa moja! tegoż ja doczekałem się na starość moją, ażeby wnuk mój przed sądem stawiony był, jak rozbójnik jaki albo oszust!

— On jako donosiciel przed sądem stanie, — z uniesieniem zawołał Abram i prędko, gwałtownie mówił dalej:

— Tate, z Meirem coś zrobić trzeba. Ty myśl i rozkazuj, co z nim zrobić. Tak dłużej nie może być. On siebie i synów naszych zgubi, a całej familii naszej wstydu i szkód wielkich narobi. Tate! ludzie i tak już gadają, że ród Ezołowiczów ciągle wydaje z siebie ludzi takich, którzy Zakon Izraelski rękoma swemi podkopywać chcą, i do domu Izraelowego wprowadzać fałszywe bogi!

— To jest prawda. Ja sam słyszałem takich ludzi, którzy mówili, że ród Todrosów i ród Ezołowiczów są jak dwie rzeki, z których jedna płynie w tył, a druga naprzód. One ciągle spotykają się z sobą i walczą, która którą pod ziemię zepchnąć ma. Gadać to ucichło było i zapomnieli o nim ludzie. Teraz

znowu zaczęło rozchodzić się po świecie. Winien temu Meir. Tak dłużej być nie może. Trzeba z nim coś zrobić. Ty, tate, myśl o tém i rozkazuj, a my rozkazywania twoje do skutku przyprowadzimy.

Wśród niepewnych światel szarój godziny widać było, jak na pomarszczone policzki Saula wybijały się ceglaste rumieńce.

— Co z nim zrobić? — zapytał po długiej chwili milczenia, a głos jego podobnym był do stłumionego łkania.

— Trzeba jego bardzo srogo ukarać! — zawołał Abram.

Rafał wyrzekł:

— Trzeba jego jak najprędzej ożenić!

Ber, który milczał dotąd, ozwał się:

— Trzeba jego ztąd wysłać.

Saul namyślał się długo, potem odpowiedział:

— Wszystkie wasze rady niedobre są. Karać bardzo srogo ja jego nie mogę. A coby na to powiedziała dusza ojca mego, Hersza, którego drogami on chce chodzić, a którego sądzić mnie nie wolno? Ożenić jego prędko ja także nie mogę, bo dziecko to nie takie jest, jak wszystkie; harde i zuchwale ono jest i w kajdany okuć się nie da. On już zresztą tak splamiony i srogiemi naganami cały okryty, że jemu żaden bogaty i uczony Izraelita córki swojej za żonę nie da.

Tu głos Saula zadrżał znowu upokorzeniem wiel-

kiem. Tegoż doczekał, że wnuka jego, najulubieńszego niegdyś ze wszystkich, żadna już z dostojniejszych rodzin Izraelskich za syna swego przyjąć nie zechce!

— Wysłać jego ztąd — mówił dalej — ja także nie mogę... bo mnie strach, żeby on na szerokim świecie nie wygnał do reszty z serca i głowy swojej wiary swoich ojców... Ja jestem teraz tak, jak ten wielki i uczony rabbin, o którym takie pisanie jest, że miał on syna bezbożnego bardzo, który pod sekretem od niego *chazar* (wieprzowinę) jadł. Ludzie radzili jemu, żeby on syna tego w świat wysłał i biedzie a tułaczce srogięj w ręce oddał. Ale on powiedział: niech syn mój przy mnie zostanie i na zmartwioną postępowaniem jego twarz moję patrzy ciągle, bo widok ten serce jego miękkie i posłusznem zrobić może, a sroga bieda przemieni je w twarde kamień...

Umilkł Saul i wszyscy milczeli. Milczenie to przerywały tylko od czasu do czasu westchnienia dwóch niewiast, siedzących za mężami swymi. W izbie ciemniało coraz.

Po chwili przyeiszonym nieco i nieśmiałym jakby głosem Ber mówić zaczął:

— Pozwólcie, ażebym ja dziś przed wami otworzył serce moje. Ja rzadko mówię, bo ile razy mówić chciałem, na mnie spadały dawne przypomnienia z mojej młodości, a głos mój odzywał się z pod nich,

jak z pod ziemi, i najcichszym był ze wszystkich głosów w rodzinii naszej. Ja więc przestałem mówić i doradzać i patrzałem tylko żony mojej, dzieci i interesów moich. Ale teraz znów mówić muszę. Na co tu tak długo myśleć o tém, co z Meirem zrobić? On wszystkie przykazania synajowe wiernie pełnił i nauki świętej pilnie uczył się, a wszyscy bracia i wszystkie siostry w całej rodzinii jego, i nawet ubogi, prosty lud, co w nędzy i ciemności żyje, kochają go jak duszę własną. Czego wy od niego chcecie? za co wy jego karać macie? co on złego zrobił?

Przemówienie to Bera, wypowiedziane wpółleniwym a wpółnieśmiałym głosem, wywarło na wszystkich obecnych silne wrażenie. Żona jego Sara, przełęczniona widocznie, ciągnęła go za rękaw od surduta i szeptała mu w ucho:

— Sza! sza! Ber! na ciebie będą gniewać się za zuchwałę słowa twoje!

Saul kilka razy podniósł głowę i kilka razy pochylił ją znowu. Można-by rzec, że wdzięczność dla Bera walczyła z nim i z obrazą i gniewem. Porywczy Abram zawołał:

— Ber! twoje własne grzechy przez usta twoje przemówiły! Ty ujmujesz się za Meirem, bo sam byłeś taki, jakim on jest!

Rafał wyrzekł ze zwykłą sobie powagą:

— Ty, Berze, mówiłeś o przykazaniach synajowych i powiedziałaś, że Meir przeciw nim nie zgrze-

szył. To jest prawda. Tylko ty zapomniałeś, że Zakon Izraelski nie tylko na tych dziesięciu przykazaniach stoi, co je Mojżesz na Górze Synai od Pana usłyszał, ale jeszcze i na 613-tu, które wielcy Tanai-ci, Amoraici, Gaonowie i rabbini w Talmudzie zapisali. My posłusznymi powinniśmy być, nie 10-ciu, ale 613-tu przykazaniom, a Meir talmudowych przykazń wiele naruszył...

— On wiele grzechów popełnił! — zawołał Abram, ale największy grzech jego jest ten, którego on dopuścił się dzisiaj. On brata swego Izraelitę przed cudzym człowiekiem oskarżył, głowę jego wielkim niebezpieczeństwom poddał i naruszył jedność i przy mierze Izraelskiego ludu! A co z nami stanie się, jeżeli my jeden drugiego przed cudzymi ludźmi skarżyć będziemy? A kogoż my kochać i bronić będziemy, jeżeli nie braci naszych, co są kością naszych kości i krwią naszą krwią? On więcęj pożałował cudzego człowieka, niż brata swego Izraelity: niechże jemu za to...

Nagle, namiętny i zapalczywy człowiek ten mowę swą urwał, umilkł i z otwartymi jeszcze ustami nieruchomym jak posąg pozostał. Siedział on naprzeciw okna i w okno to wpatrywał się osłupiałym wzrokiem.

— Co to jest? — zawołał nakoniec drżącym głosem.

— Co to jest? — powtórzyli za nim wszyscy

obecni i wszyscy, z wyjątkiem Saula, powstali z miejsc swoich.

W izbie, ciemnej przed chwilą, widno zrobiło się tak, jak gdyby na placu miejskim zapłonęło tysiące pochodni i światło swe do wnętrza domostwa obficie strugami wlewało. Pochodnie to były w istocie, ale nie na placu miejskim, tylko kędyś, o parę wiorst dalej, płonące, i nie wewnątrz domostwa Ezofowiczów tylko, ale całą firmamentu połowę oblewające morzem jaskrawej światłości.

Wśród nagle rozbłysłego wokół nich oświetlenia, mężczyźni stali pośrodku izby nieruchomi, oniemiaли, wpatrzeni w słupy ogniste, rozplywające się po niebie coraz szerzej... coraz wyżej...

— Jak *on* prędko zamiaru swego dokonał! — wyrzekł Abram.

Nikt nie odpowiedział.

W miasteczku, cichém przed chwilą, odzywać się zaczęły gwary i hałasy. Żadna w świecie ludność tak łatwo i prędko, jak Izraelska, nie daje się porwać wrażeniom wszelkiego rodzaju. Tym razem wrażenie silném być musiało. Budził je żywioł potężny, roznoszący po ziemi zniszczenie, a po niebie prześwieatne blaski. To też słyhać było jak ze wszystkich ulic i uliczek miasteczka, z tententem stóp śpiesznie biegnących, a szumami wzburzonych jakby strumieni, tysiączna ludność płynęła ku zamieskim polom. Za oknami Ezofowiczów plac czerniał cały

od płynącego w jednym kierunku tłumu tego i wrzał gwarem najrozmaitszych zapytań i przypuszczeń. Lecz po nad gwarem tym rozległo się kilka donioślejszych głosów:

— Kamionka! Kamionka! — zawołali ludzie, lepiej od innych z miejscowością obznajomieni.

— *Herste! herste!* Kamioński dwór! — pochwycił cały chór głosów.

— Aj! aj! taki wielki dwór! taki piękny dwór!

Były to ostatnie wykrzyki, które, nad tłumem szumiącym za oknami wzbijając się, wniknęły do wnętrza domu Ezofowiczów. Potem tłum ten przepłynął plac, oddalił się ku krańcowi miasteczka, a odgłosy stapań i rozmów jego odzywały się zdaleka już tylko i niewyraźnie.

Wtedy stary Saul powstał z kanapy i z twarzą zwróconą ku oknu stał długo, nieruchomy i milczący.

Zwolna potem podniósł ręce, które drżały trochę, i drżącym też głosem wymówił:

— Za czasów ojca mego Hersza i za czasów moich nie działały się rzeczy takie na świecie i grzechów takich pośród Izraela nie było... z rąk naszych płynęły na kraj ten srebro i złoto, ale nie ogień i łzy...

Po chwili milczenia, w głębokiej jakby zadumie pogrążony, ze wzrokiem wciąż wpatrzonym w ogniście niebo, rzekł jeszcze:

— Ojciec mój Hersz z dziadem *jego* w wielkiej przyjaźni żył... oni często rozmawiali z sobą o waż-

nych interesach, a Kamioński pan, co jeszcze opasywał się pasem złocistym i długą szablę u pasa nosił, do ojca mego Hersza mówił: Ezofowicz! ty wielkie serce w sobie nosisz, i jak nasza strona górę weźmie, my ciebie na sejmie szlachcicem zrobim!... Syn jego nie taki już był, jak ojciec; lecz ze mną grzecznie zawsze rozmawiał; ja w majątku jego wszystko zboże przez trzydzieści lat zakupywałem i w każdej jego potrzebie kieszeń swoją jemu otwierałem, bo do niej z ziemi tej, co własnością jego była, wiele zysków płynęło... Kamiońska pani... ona i teraz jeszcze żyje... lubiła bardzo matkę moję Frejdę i raz jęj powiedziała: Pani Frejda ma w domu swoim wiele brylantów, a u mnie jest tylko jeden... Ona brylantem syna swego nazywała, który jeden u niej był, jak w oku żrenica... tego samego syna swego, którego dom teraz w płomieniach stoi.. — Wskazujący palec wyciągnął ku ognistęj łunie i grozą, czy żalem, czy zdumieniem jakimś zjęty, umilkł, a stojący za nim Rafał z kolei przemówił:

— Kiedy ja ostatni raz w Kamiońskim dworze byłem, stara pani siedziała z synem swym na ganku i, jak ja o interesie mówić zacząłem, ona do niego powiedziała: Pamiętaj, Zygmunt, żebyś ty nikomu zboża swego nie sprzedawał, tylko Ezofowiczom, bo oni są ze wszystkich Żydów najuczciwsi i najlepij nam sprzyjają. A potém ona mnie się zapytała: czy stara Frejda żyje jeszcze, a syn jęj Saul czy zdrów

i czy dużo już wnuków doczekał się? Potém patrzała na syna swego i powiedziała do mnie: Panie Rafał! a ja żadnego jeszcze wnuka nie mam! Ja jój grzecznie pokłoniłem się i powiedziałem: Niech wielmożna pani sto lat żyje i prawnuków doczeka się! Ja kłamstwa w ucho jój nie wkładałem. Ja jój szczerze tego życzyłem. A dla czego ja-bym miał jój źle życzyć?

Przestał mówić Rafał, a po chwili Saul, nie odwracając twarzy, zapytał krótko:

— Rafał! wiele ty lat z młodym Kamiońskim handlujesz?

— Ja z nim handluję od tego czasu, jak on wyrósł i gospodarzem zrobił się... on innego kupca, jak tylko mnie jednego, znać nie chce...

— Rafał! czy ty od niego krzywdę jaką miałeś?..

Rafał po namyśle chwilowym odpowiedział:

— Nie; ja od niego krzywdy żadnej nigdy nie miałem. On trochę pyszny jest, to prawda — i interesów swoich nie bardzo pilnować umie... pohulać on sobie lubi, a kiedy Izraelita kłania się jemu, on głowę z wysoka kiwa i za przyjaciela swego mieć go nie chce... ale u niego serce dobre jest, a słowo rzetelne, i w interesach on łatwiej skrzywdzić się da, niż sam kogo skrzywdzi...

Stojąca za mężem Sara spłotła ręce i, wzdychając a głową kołysząc, jęknęła:

— Aj! aj! taki młody pan, a takie już nieszczęście na głowę jego zważyło się!

— Taki piękny pan i z taką piękną panną żenić się miał! — zawtórowała żona Rafała.

— A jak on ożeni się teraz, kiedy dom jego płomienie pożrą? — rzekł Saul i dodał ciszej:

— Na duszę Izraela spadł dziś wielki grzech!

Odpowiadając jakby słowom ojca, Rafał wymówił poważnie i zeicha:

— Na głowę Izraela spadła dziś wielka hańba!

Z kąta izby, do którego najmniej dochodziły płynące z zewnątrz jaskrawe światła, wyszedł, wysunął się raczej, Abram. Przygarbiony, z głową schyloną zbliżył się do ojca, drżąc na całym ciele, rękę jego pochwycił i do ust ją swoich przycisnął.

— Tате! — rzekł, — ja tobie dziękuję za to, że ty mnie do tego należeć nie pozwoliłeś!

Saul podniósł głowę. Rumieniec opłynął mu pomarszczone czoło, energia błysnęła w przygasłych oczach.

— Abram! — rzekł głosem, który brzmiał rozkazująco, — niech tobie w ten moment dwa konie do wozu zaprzęgą. Siadaj ty na wóz i jedź prędko do tych państwa, u których Kamioński gości.. Ztamtąd pożaru nie widać... jedź prędko i powiedz jemu, żeby on jechał matkę swoją i dom swój ratować...

Zwrócił się do Rafała.

— Rafał! idź ty do karczmy Jankła i Lejzora...

tam kamionścy chłopci bawią się i piją .. Popędź ich, żeby jechali prędko i dom dziedzica swego ratowali...

Posłuszni jak małe dzieci, dwaj synowie Saula śpiesznie opuścili izbę; kobiety wybiegały na ganek domu, a wtedy Ber zapytał Saula:

— Tate! a co ty teraz myślisz o Meirze? Czy on źle zrobił, że Kamionśkiego ostrzegł?

Saul pochylił głowę, ale nie odpowiedział.

— Tate! — mówił Ber—ratuj ty Meira. Idź do rabбина i do dajonów (sędziów), i do kahalnych, i proś, żeby nad nim sądu nie czynili...

Saul długo nie odpowiadał.

— Ciężko mi do nich iść, — odrzekł nakoniec,— a najciężej siwą głowę moję przed Todrosem pochylić... Nu,— dodał po chwili,— pójdę jutro... dziecka bronić trzeba... choć ono zuchwałe jest, a wiarę i obyczaj ojców swoich zamało szanuje i lubi.

*

*

*

Kiedy to działo się w domu Ezofowiczów, małą łąkę zamiejską pokrywał całkiem stłoczony, czarny, falujący i szemrzący tłum. Z miejsca tego najlepiej można było oglądać widowisko straszne a świetne. Tutaj też zgromadziła się, ciekawością i żądzą wrażeń wiedzioną, cała ludność miasteczka.

Łuna pożaru podnosiła się z za sosnowego boru. Oświetlony przez nią, stał on teraz różowy cały, a tak

przezroczysty, iż, zda się, można-by było przeliczyć wszystkie gałęzie, wieńczące wierzcholki gładkich drzew jęgo. Szeroko, w półokrąg rozlana łuna ta, szkarłatna u dołu, przechodziła wyżej wszystkie od-cienie złocistości, aż u szczytu samego rąbkiem bla-do-żółtym przerzynała na połowę sklepienie niebios i zlewała się z bladym jęgo błękitem. Wobec gore-jących, przeraźliwych blasków tych, gwiazdy świeci-ły mdło, jak pozłacane blaszki, a odpowiadał im tyl-ko na drugiej stronie widnokręgu, wysuwający się z za gaju, ogromny czerwony księżyc.

Wśród ludu, zalegającego łąkę, toczyły się liczne, skłócone rozmowy. Opowiadano tam, że Jankiel Kamionker, przy pierwszym zaraz błysku pożaru, wielkim pędem poleciał do gorejącego dworu, biada-jąc i rozpaczając głośno nad prawdopodobną stratą wódki swój, której tam ilość wielką posiadał. Zna-czna ilość ludzi, opowiadania tego słuchających, uśmiechała się dwuznacznie; inni wstrząsali głową z pożałowaniem nad przypuszczalnemi a ogromnemi stratami Jankla. Większość zachowywała o Janklu i wódce zagrożonej zniszczeniem milczenie zupełne. Domysłano się snadź prawdy, tu i owdzie wiedziano nawet o niej napewno: ale wtrącać się w sprawę, brzemienneą wszechstronnemi niebezpieczeństwami, jednem choćby słowem nieostrożném, nikt nie śmiał i nie chciał.

W dobrą godzinę po pierwszém błysnięciu na nie-

bie ognistój łuny zaturkotały w uliczce, przytykając do łąki, z szybkością nadzwyczajną toczące się koła i na łąkę wpadła nejtyczanka przez czwórkę koni w pełnym galopie unoszona. Nie była to zwyczajna droga do Kamionki, nie było tu nawet żadnej drogi; ale jadąc tędy, dziedzie gorejącego dworu skracał sobie znacznie przestrzeń, którą miał do przebycia. Nie siedział on w zgrabnym powoziku swoim, ale stał; ręką trzymał się poręczy kozła i, pochylony naprzód, oczy wlepił w różowy od świateł bór, za którym matka jego przebywała w ogarniętym płomieniami domu jego ojców. Gdy jednak konie jego wpadły na łąkę, spostrzegł tłoczącą się tam gęstą ludność i krzyknął na stangreta:

— Ostrożnie! ludzi nie rozjedź!

— Dobry człowiek! — rzekł ktoś w tłumie, — w nieszczęściu takiem myślał jeszcze o tem, żeby ludziom nieszczęścia nie zrobić!

Ktoś inny westchnął głośno.

Kilka głów nachyliło się blisko ku sobie i zaszeptało. W tym szepcie ozwało się imię Jankła, wymówione cicho... bardzo cicho.

Było jednak miejsce jedno, nie na łące, ale śród przytykającej do niej uliczki, gdzie rozmawiano głośno. U chaty krawca Szmula, na stojącej pod oknami ławie, stał Meir. Patrzył on ztamtąd na łąkę czarną od ludu i na gorejącą za łąką łunę. Poniżej otaczało go kilkunastu młodych ludzi, zwykłych to-

warzyszy jego. Z twarzy ich odgadnąć można było, że byli wzburzonymi do głębi. Chaim, syn Abrama, który całą przedgodziną rozmowę Saula i synów jego słyszał z kątką, gdzie był ukryty, opowiadał ją przyjaciółom. W uniesieniu nie hamował on głosu swego; powtarzał każde słowo, które zamieniali pomiędzy sobą starsi członkowie rodziny, głośno i dobitnie, a towarzysze jego głośno też i dobitnie mu potakiwali. Młode i nieśmiałe zwykle serca te oburzenie i wstyd uczyniły śmielszemi nieco... W chórze tym nie słychać było jednego tylko głosu, który jednak zazwyczaj odzywał się wśród niego pełnemi słodczy i mądrości słowami. Eliezer nie stał wśród towarzyszy swych, skupionych dokoła Meira, ale siedział dalej nieco, na ziemi, plecami oparty o czarną ścianę chaty. Łokcie wspierał na kolanach i z nisko pochyloną głową twarz ukrywał w dłoniach. Zdawać się mogło, że skamieniał w postawie tej, pełnej żalu i wstydu. Czasem tylko zakolysał się w obie strony... Widać było, że miękki, marzący, trwożliwy duch ten tonął teraz cały w morzu gorzkich, rozpacznych, a może i wzmacniających, rozmyślań.

Nagle, brzegiem uliczki, pod cieniem chat i parkanów, przesunął się z szybkością nadzwyczajną wysoki i cienki cień ludzki, a obok gromadki skupionej u drzwi Szmula dał się słyszeć oddech strasznie zmęczonej piersi jakiegś, głośny i połączony z powstrzymaniem jękami.

— Szmul! — wymówili młodzi ludzie.

— Cicho! — stłumionym głosem zawołał Meir i z ławki na ziemię zeskoczył. — Niech usta wasze nie wymawiają imienia nędzarza tego, ażeby głowy jego niebezpieczeństwu nie poddać... Ja tu stałem, powrotu jego czekając... rozejdźcie się ztąd i pamiętajcie o tém, że oczy wasze Szmul, wracającego z ognistej strony tamtój, nie widziały...

— Ty prawdę mówisz, — szepnął Aryel, — to jest biedny brat nasz!

— Biedny! biedny! biedny! — powtórzono dokoła.

Rozeszli się. Przy chacie nędzarza został tylko Meir, który u progu jój stanął, i Eliezer, którego nie ze skamieniałości, w jaką był popadł, obudzić nie mogło.

Szmul, wbiegłszy do izby, z którój, prócz najmniejszych dzieci i ślepój matki, powychodzili wszyscy, na brudną podłogę upadł, czołem o nią uderzył, i wzdychając, łkając, przerywanemi wyrazami mówił:

— Ja nie winien! ja nie winien! Ja nie winien! ja nie podpałał i naczynia z oliwą tą w ręku swoich nie trzymał! On... Jochel... wszystko zrobił... ja stał na polu i pilnował... ale, kiedy przed oczyma memi ogień błysnął... aj waj! aj waj! ja wtedy poznał, do czego ja należał...

— Cicho! — ozwał się przy biadającym nieprzytomnie człowieku głos przyciszony i smutkiem na-

brzmiały. — Zamknij usta swoje, Szmulu, a ja okno twojej chaty zamknę...

Szul podniósł twarz i wnet ją znowu do ziemi przyłożył.

— Morejne! — zajęczał, — morejne! córki moje więcej niż szesnaście lat mają; trzeba było za męża je wydać! Podatków ja za cały rok nie miałem już czem zapłacić!..

— Wstań i uspokój się, — rzekł Meir.

Szul nie usłuchał. Ustami zmiatając pył z brudnej podłogi, zajęczał jeszcze:

— Morejne! ratuj mnie! Ja ze wszystkiem już ciałem i duszą swoją zgubiłem!

— Ty duszy swojej nie zgubisz i Przedwieczny na szali grzechów twoich położy nędzę twoją, jeżeli ty pieniędzy tych, któremi skusili cię źli ludzie nie weźmiesz...

Tym razem Szul twarz oderwał od ziemi. Twarz ta, wychudła, blada śmiertelnie, nerwowymi drganiami targana, objawiała wszechstronną, do ostatnich granic posuniętą, nędzę człowieka.

Spojrzał na Meira oczyma, w których malowały się naprzemian rozzwierający ból i śmiertelny przestach, a trzęsącą się dłonią, wskazując dokoła izbę swą, wyjęknął:

— Morejne! a jak ja bez pieniędzy tych dłużę żyć będę?

Dobre pół godziny upłynęło, zanim Meir opuścił

izbę, w której coraz ciszej już obwinał się, wyrzekał i rozpaczał Szmul. Wnikający z ulicy szeroki pas jaskrawego światła oświecał w pełni jeden z kątów ciasnej sionki. W kącie tym, pod czarną, chylącą się ścianą, białły dwie kozy, z których jedna stała, a druga leżała. Pomiędzy kozami, na więzi zmiętą słomy, z rękoma wsuniętymi w podarte rękawy szarej surdu-ciny, z głową ozłożoną światłem pożaru, a wspartą o deskę, wystającą ostro z pod ściany, — spał Lejbele. Ani krzyk i wrzawa, ani rażące światłości niebios, ani jęki i wyrzekania ojca, nie przerwały mu snu niewin-ności, którym wśród dwóch kóz, przyjaciółek swych, usypiało to dziecko nędzy, ciemnoty i występku ..

Nazajutrz w miasteczku całym panował ruch nie-zwykły. O niczem więcej nie mówiono tam, jak o pożarze, który do szczytu prawie zniszczył dwór Kamioński; o chorobie starzej pani, którą przywiezio-no na prędko do dworu sąsiadów jakichś, czy krew-nych; i o ogromnych stratach Kamiońskiego pana, któremu, oprócz zabudowań dworskich, spłonęła sto-dola, napelniona zwiezionem już z pól zbożem.

Ażeby rozmawiać o wypadku tym, ludzie scho-dzili się w gromadki na placu, pośród uliczek, u pro-gów domostw, a gdyby kto podsłuchiwał rozmowy ciche, żwawe, toczące się pośród gromadek owych, dosłyszałby tu i owdzie formułowane pytanie:

— A co z *nim* będzie?

Pytanie to tyczyło się, nie Kamiońskiego, lecz Ka-

mionkera. Kamieńskiego żałowano tu i owdzie, jak tu i owdzie naganiano Janklę; lecz był to człowiek całkowicie dla ludności szybowskięj obcy, nieznający jęj i przez nią wzajem z twarzy tylko znany, Kamionker zaś zżył się z ludnością tą od pierwszych dni swego istnienia, posiadał wśród nięj szeroką sieć stosunków handlowych i towarzyskich, a w dodatku, wobec niższęj jęj warstwy obleczony był aureolą bogactwa i prawowiernęj, żarliwęj pobożności. Nie dziwił też, iż przyganiający mu nawet — lękali się o niego.

— Czy jego będą podejrzewać? — zapytywano tu i owdzie.

Ten i ów odpowiadał:

— Na niego żadne nie padłoby podejrzenie, gdyby Meir Ezofowicz *purycowi* złych myśli w głowę nie włożył...

— On zerwał jedność i przymierze Izraelskiego ludu...

— On głowę brata swego niebezpieczeństwu poddał.

— A co to dziwnego? On kofrim jest... niedowiarek...

— On na Reb Mosza rękę swoję śmiał podnieść...

— On z karaimską dziewczyną nieczystą przyjaźń trzyma...

I ci, co mówili, niechętnie, groźne czasem spojrzenia rzucali na okna domostwa Ezofowiczów.

Domostwo to stało dnia tego milczące i martwe,

jak nigdy. Okien nawet na plac wychodzących nie otworzono, choć zwykle przez wiosnę i lato całe bywały one otwartemi tak ciągle i szeroko, że ktokolwiek-by chciał tylko, mógłby od rana do wieczora patrzeć przez nie na życie licznej rodziny, która nie nigdy do ukrywania nie miała.

Dnia tego jednak nikt w domu tym nie pomyślał o otwarciu okien, ani uprzątnięciu wielkiej izby bawialnej, starannie zwykle uprzątanój. Kobiety chodziły z kąta w kąt, jak nieswoje, w czepcach, zmiętych nieco od częstego chwytania się rękoma za głowę, stawaly przed ogniskiem kuchenném z twarzami opartymi na dłoniach i w zamyśleniu wzdychały. Sara miała nawet oczy zapłakane; nie dziw: mąż jój, Ber, przez cały ranek nosił na czole swém owe dwie grube zmarszczki, w których ona odgadywała nieznane i niepojęte dla niój cierpienie, a do niój słowa nie przemówił, i siedział teraz w izbie bawialnej z głową opartą na dłoni, milcząc i szklistym wzrokiem spoglądając z kolei na dwu braci jój, Rafała i Abrama. Rafał pochylał wprawdzie twarz nad rachunkową księgą, ale widać było, że nie rachował, lecz o czémś ważném bardzo głęboko myślał. Chwilami podnosił łoczy z nad książki i spoglądał na Bera i Abrama. Stary Saul, na żółtej kanapie siedząc, zdawał się także zatopionym w czytaniu grubój, nabożnej księgi; w rzeczywistości zaś, mniej jeszcze, niż zwykle, czytana rzecz rozumiał, a z twa-

rzy jego poznać można było, iż dolegało mu coś srodze i głęboko.

U okna, na zwykłym swém miejscu, więc w poręczowym głębokim fotelu, siedziała prababka Frejda. Z pośród rodziny całej, na nią jedną tylko nie znać było zmiany żadnej. Senny uśmiech z warg jęj nie zniknął. Przymrużała powieki i podnosiła je, to budząc się, to usypiając znowu.

Zaraz po południu kobiety zasłały stół białym obrusem i poczęły ustawiać na nim stołowe naczynia.

Do izby wszedł Meir. Wchodząc, otwierał on drzwi cicho i powoli, a potem stanął u ściany i spojrzeniem powiódł po wszystkich twarzach. Spojrzenie to było niespokojne, trwożne niemal i pełne głębokiego żalu. Obecne w izbie osoby podniosły nań oczy i wnet je spuściły, ale przez to jedno mgnienie oka na młodego człowieka, nieśmiało stojącego u ściany, spadł tłoczący ciężar niemych wyrzutów. W wyrzutach tych była uraza gorzka za doświadczone troski, za trwogi istnień spokojnych, których spokojowi on zagroził, srodze zagroził; była głęboka litość nad nim, ale także i daleka, niewypowiedziana jeszcze groźba odrzucenia... Jedna tylko prababka, na widok wchodzącego, podniosła całkiem mrużące się wprzód powieki, uśmiechnęła się szerokim uśmiechem i szepnęła:

— *Kleiniskind!*

Do jęj też twarzy przylgnęły oczy Meira, a błysnęła w nich myśl jakaś paląca i niecierpliwa.

W téj chwili rozległ się po izbie brzęk i stuk. Z pośród gromadek ludzi, czerniejących tu i owdzie na placu i ku domowi Ezofowiczów niechętnie spoglądających, ktoś w jedno okno domu tego rzucił spory kamień, który rozbił szybę na drobne kawałki i, przeleciawszy tuż nad okiem Frejdy, upadł po środku izby.

Twarz Saula oblał ceglasty rumieniec; kobiety nakrywające do stołu krzyknęły; Rafał, Abram i Ber popowstawali z miejsc swych, jak poruszeni sprężyną. Wszysey utkwili z razu wzrok w rozbitéj szybie, lecz wkrótce przenieśli go na prababkę Frejdę, która wyprostowała się nagle i, patrząc na kamyk leżący pośrodku izby, bezdźwięcznym, lecz głośnym szeptem swym zawołała:

— Nu! to jest ten sam kamień! Oni jego rzucali w okno domu naszego, kiedy mój Hersz z Reb Nochimem kłócił się i z cudzymi ludźmi przyjaźń chciał trzymać... to jest ten sam kamień... na kogo oni teraz jego rzucili?..

Kiedy mówiła to, wszystkie zmarszczki na twarzy jéj drżały, a oczy, po raz pierwszy od lat wielu, rozwarły się szeroko.

— Na kogo oni teraz znów kamień rzucili? — zapytała i zatoczyła dokoła żrenicą, która pociemniała i błysła.

— Na mnie, *alte bobbe!* — odpowiedział z pod

przeciwległej ściany głos drżący niewysłowionym żalem.

— Meir! — krzyknęła prababka, nie bezdźwięcznym już szeptem, jak zwykle, ale donośnym, przeźliwym niemal głosem.

Meir przeszedł izbę, stanął przed nią i obie jej małe, pomarszczone ręce ujął w swoje dłonie. Spuszczał ku twarzy jej wejrzenie pełne czułości i zarazem pytań i prośb jakichś niewymawianych ustami, a ona podnosiła ku niemu złotawe swe źrenice, które niespokojnie migotać zaczęły.

Saul wstał z kanapy.

— Rafał! — rzekł, — podaj mi płaszcz mój i kapelusz.

— Dokąd ty pójdziesz, tate? — zapytali jednogłośnie obaj synowie.

Stary, z rumieńcami na twarzy, drżącym głosem odpowiedział:

— Pójdę, ażeby głowę moję przed Todrosem pochylić... Niech on nad zuchwałém dzieckiem tém sądu nie czyni, dopóki nie zgaśnie ogień gniewu, który zapalił się w duszy ludu.

Po chwili siwy patryarcha najdostojniejszej w gminie rodziny, długim czarnym płaszczem okryty i w wysokim świecącym kapeluszu na głowie, kroczył przez plac zwolna i poważnie. Stojące na placu gromadki rozstępowały się przed nim, a składa-

jący je ludzie kłaniali się mu nisko. Ktoś jednak wyrzekł głośno:

— Biedny ty jesteś, Rebe Saulu, że masz takiego wnuka...

Saul na zaczepkę tę nie odpowiedział, tylko wąskie wargi jego zacisnęły się silniej.

Dobra godzina upłynęła, zanim Saul z odwiedzin swych powrócił. Znalazł on wszystkich starszych członków rodziny swój zgromadzonych w izbie bawialnej. Meir był tam także; siedział on tuż przy fotelu prababki, której mała sucha dłoń ścisnęła mocno połą odzieży jego.

Sara zdjęła płaszcz z ramion ojca.

— A co ty, tate, przyniosłeś nam ztamąd? — zapytał Rafał.

Saul oddychał ciężko i ponuro patrzył w ziemię.

— Co ja ztamąd przyniosłem? — odpowiedział po chwili milczenia. — Wstyd i gniew wielki przyniosłem. Serce Todrosa raduje się nieszczęściem, które przytrafiło się domowi Ezofowiczów... Uśmiechy, jak węże, pełzają po żółtej twarzy jego.

— A co on powiedział? — zapytało parę głosów.

— On powiedział, że bezbożnemu i zuchwałemu wnukowi memu zadługo poblażał... Reb Mosze, i Kamionker, i cały lud proszą jego, żeby on nad Meirem sąd uczynił... na prośby moje on sąd ten do jutrzejszego wieczora odłożył i odpowiedział, że jeżeli Meir upokorzy się przed nim, a cały lud o przebaczenie

grzechów swoich prosić będzie... na głowę jego lżejszy wyrok spadnie...

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się ku Meirowi.

— A co ty, Meir, powiesz na to? — zapytano chórem.

Meir myślał chwilę.

— Dajcie mi trochę czasu, — odpowiedział; — może ja sobie do jutrzejszego wieczora ratunek jaki znajdę...

— A zkad ty ratunek ten mieć możesz? — zawołano.

— Pozwólcie, żebym ja wam do jutrzejszego ranka nie odpowiadał, — powtórzył Meir.

Kiwając głowami, umilkli wszyscy. Oznaczało to milczące przyzwolenie.

W sercach wszystkich obecnych uczucia obawy i gniewu walczyły z uczuciem dumy. Gniewali się na Meira, lękali się o niego i o spokój a pomyślność całego domu swego, ale zarazem przykrą im była myśl, że jeden z członków rodziny ich upokorzyć się ma przed rabbinem i ludem.

— Co to można wiedzieć! — szepnął Rafał do brata — może on sobie radę jaką znajdzie...

— Może matka jego pokaże się jemu w nocy i nauczy go, jak on ma czynić... — zcichła westchnęła Sara.

Spóźniony obiad odbył się w głuchém milczeniu, przerywaném tylko westchnieniami kobiet i płaczem

dzieci, którym matki zabraniały śmiać się i szczeniotać.

Stroskani i posępnie wyglądający członkowie rodziny z zadziwieniem spozierali od chwili do chwili na starą Frejdę, objawiającą wciąż szczególną jakąś niespokojność. Wprawdzie nie mówiła ona nic, ale nie zadrzemała w ciągu obiadu ni razu, owszem, poruszała się wciąż na krześle swém, spoglądając to na stłuczoną szybę, to na Meira, to na miejsce pośrodku izby, na które przed parą godzin upadł był kamyk, rzucony z ulicy.

— Co jój jest?—zapytywali siebie obecni, zcicha i z niepokojem.

— Ona sobie coś przypomina, — odpowiadano.

— Ona czegoś lęka się!

— Ona chce coś powiedzieć, ale nie może...

Gdy powstano od stołu, dwie prawnuczki chciały, według zwyczaju, wyprowadzić Frejdę do sąsiedniej izby i do spoczynku ułożyć, ale ona silnie stopami o podłogę wsparła się i palcem wskazała fotel swój przy oknie stojący.

Po chwili osoby napelniające obszerną izbę wysuwać się z niej zaczęły, jedna za drugą. Rafał i Ber wyjechali na resztę dnia do sąsiedniego dworu jakiegoś, w którym mieli do załatwienia ważny dla nich i pilny interes. Abram zamknął się w izbie swój, ażeby oddać się rachunkom, albo może i nabożnemu czytaniu. Saul rozkazał córkom, aby w domu cicho

było i, wzdychając ciężko, legł na łożu swém. Kobiety zgasiły ogień na kuchni, zamknęły zcicha drzwi bawialnej izby i wyszły na dziedziniec, gdzie doglądały bawiących się dzieci, szyły i wiodły z sobą ciche rozmowy.

Prababka pozostała w izbie bawialnej i — dziwna rzecz! — choć zapanowała w koło niej cisza głęboka, nie usnęła, nie zadrzemała nawet ani na chwilę. Siedząc w głębokim fotelu swym, patrzyła na szybę rozbitą i powtarzała wciąż ustami, jakby coś do samej siebie mówiła. Czasem też zakolysała głową, obciążoną barwistym zawojem; wtedy dyamentowe spięcie zawoju zdawało się osypywać żółtkę jej czoła potokiem iskier, a długie kolce dzwoniły po ogniwach złotego łańcucha.

Poruszała wciąż ustami, a wkrótce i rękoma też poruszać zaczęła. Mogło się zdawać, że z kimś niewidzialnym, z widmami może, wylaniającemi się z własnej pamięci jej, toczy żywą jakąś a trudną rozmowę. Nagle wstrząsnęła głową i wymówiła:

— Tak samo było, kiedy mój Hersz pisanie Seniora znalazł... Na niego wtedy źli ludzie kamieniami rzucali...

Umilkła, lecz łzy duże, szkliste opłynęły złotawe źrenice jej i nieruchome stanęły pod zmarszczoną, drgającą powieką.

Wtedy z ławy, umieszczonej pod przeciwległą ścianą, wstał Meir i, szybko przeszedłszy izbę, usiadł

na niskim stołku, o który stara kobieta nogi swe wspierała, a splatając na kolanach jej ręce swe, zapytał:

— Bobe! gdzie jest pisanie Seniora?

Na dźwięk głosu tego, który zapewne, tak jak i twarz Meira, przypominał jej człowieka gorąco miłowanego w dniach młodości i szczęścia, Frejda uśmiechnęła się. Nie spuściła jednak spojrzenia ku siedzącemu u kolan jej wnukowi, lecz z za łez, nieruchomo wciąż w oczach jej stojących, patrzyła w przestrzeń... wreszcie szeptać zaczęła:

— Kiedy on pierwszy raz pokłócił się z Reb Nochimem i z całym ludem, przyszedł wtedy do domu swego, usiadł na ławie smutny bardzo i zawołał do siebie żony swojej, Frejdy. Frejda była wtedy młoda i bardzo piękna; na głowie swój nosiła zawój biały jak śnieg, a przy ogniu stojąc, który w kuchni palił się, dzieci i sług swoich doglądała. Ale kiedy usłyszała wołanie swego męża, poszła zaraz do niego, stanęła przed nim i przemówienia jego czekała. A on wtedy zapytał się: — Frejdo! gdzie jest pisanie Seniora?...

Szept starzej kobiety umilkł. Natomiast młody mężczyzna u kolan jej siedzący, zaciskając mocniej splecione swe ręce, zapytał znowu:

— Bobe! gdzie jest pisanie Seniora?

Głowa kobiety, obciążona barwistym zawojem, zakolysała się zlekka, a wąskie żółte wargi szeptać znowu zaczęły:

— On pytał się: — gdzie jest pisanie Seniora? Czy je Senior pod ziemię schował? Nie; on go pod ziemię nie schował, bo ono-by tam zgniło i zjadłyby je robaki. Czy on je w ściany domu schował? Nie! on wiedział, że ściany te ogień pożreć może. To gdzie on je schował?... Tak pytał się Hersz, a żona jego, Frejda, myślała długo nad słowami jego, a potem palcem pokazała szafę, w której były stare książki Seniora, i powiedziała: — Hersz! mój Hersz pisanie to tam jest!.. Kiedy Frejda to powiedziała, Hersz uradował się bardzo, a usta jego wymówiły: — Ty, Frejdo, rozum w głowie swojej masz, a dusza twoja tak samo piękna, jak twoje oczy!..

Przy ostatnich wyrazach, łzy, nieruchome dotąd, zsunęły się z jej źrenic, i po zmarszczkach twarzy spadły na usta, które, uśmiechając się do sennych wspomnień młodości i szczęścia, szepnęły jeszcze:

— I powiedział on: — Dobra i mądra żona droższą jest nad złoto i perły; przy niej serce męża spokojne!

Młody mężczyzna, u kolan jej siedzący i w twarz jej patrzący wzrokiem pełnym próśb i pragnienia, zapytał znowu:

— Bobe! a co Hersz z pisaniem tym zrobił?

Stara kobieta nie odpowiadała przez chwilę, poruszając ustami tak, jakby rozmawiała z kimś niewidzialnym, potem znowu opowiadać zaczęła:

— Hersz wrócił raz z dalekiej podróży, usiadł znów na ławie bardzo smutny i do Frejdy powiedział:

— Wszystko przepadło! Pisanie Seniora trzeba schować, bo ono teraz na nic się nie przyda. Frejda zapytała się: — Hersz! a gdzie ty pisanie to schowasz? Hersz odpowiedział: — Ja schowam je tam, gdzie ono wprzód było, a ty jedna o sekrecie tym wiedzieć będziesz...

Meira oczy zaiskrzyły się radośnie.

— Bobe! to pisanie tam jest...

I wskazał na szafę ze staremi, pamiątkowemi w rodzinie księgami. Ale Frejda nie odpowiedziała mu, tylko szeptala dalej:

— On powiedział: — Ty jedna o sekrecie tym wiedzieć będziesz, a kiedy dusza twoja rozwodzić się będzie z ciałem twojem, ty powiedz o niem temu synowi, albo wnukowi twemu, który do męża twego, Hersza, najpodobniejszym będzie... A kto z synów i wnuków Frejdy najpodobniejszym jest do męża jej Hersza?— Najpodobniejszym do niego jest Meir, syn Benjamina... on do niego taki podobny, jak podobne do siebie dwa ziarnka piasku... To moje *kleiniskind!* to moje najulubieńsze! Frejda jemu o sekrecie tym powie!

Meir trzymał teraz w dłoniach swych obie ręce prababki i okrywał je pocałunkami.

— Bobe! — szeptał, wskazując szafę z księgami — czy tam jest pisanie Seniora?

Ale stara kobieta i teraz jeszcze nie odpowiedziała mu bezpośrednio, tylko szeptala dalej:

— Hersz powiedział Frejdzie: — Jeżeli na syna albo wnuka twego najulubieńszego starsi w rodzinie ręce podnosić zaczną, i jeżeli na niego lud kamienie rzucać będzie, ty, Frejdo, jemu o sekrecie naszym powiedz! Niech on pisanie Seniora weźmie, na sercu swoim położy, rodzinę swoją i majątek swój rzuci, a z nim w świat idzie; bo pisanie to jest droższe nad złoto i perły: ono jest przymierzem Izraela z Cza-sem, co mu nad głową rzeką wielką płynie, i z Ludami, co piętrzą się w około niego jak wielkie góry...

— Bobel! na mnie starsi w rodzinie ręce swe podnosić zaczęli... odemnie odwrócił lud rozgniewaną twarz swoją... ja jestem ten wnuk twój najulubieńszy, o którym tobie mąż twój, Hersz, mówił... powiedz ty mnie: czy tam, między księgami temi jest pisanie Seniora?

Szeroki, można-by rzec, tryumfujący, uśmiech roztworzył żółte wargi Frejdy. Wstrząsała głową z uczuciem tajemnej radości jakiegoś i szeptała:

— Frejda skarbu męża swego dobrze strzegła... ona jego przed wszystkimi, jakby duszy swojej, broniła... Kiedy ona wdową została, przychodził do domu jej Reb Nochim Todros i starą szafę ze starymi książkami chciał ogniowi na pożarcie dać... przychodził potem syn Reb Nochima, Reb Baruch Todros, i chciał starą szafę ze starymi książkami ogniowi na pożarcie dać... ale ile razy oni przyszli, Frejda starą szafę ciałem swym zasłaniała i mówiła: To dom mój,

i wszystko, co w nim jest, moje jest! A jak Frejda przed starą szafą stawiała, przed Frejdą stawali synowie i synowie synów jój i mówili:— To matka nasza, my jój krzywdy uczynić nie damy! — Reb Nochim gniewał się i poszedł sobie. . a Reb Izaak nigdy już nie przychodził, bo wiedział od ojców swoich, że dopóki Frejda żyje... starój szafy nie poruszy nikt.. Frejda skarbu męża swego dobrze strzegła, i on leży sobie od tego czasu tam... i śpi sobie...

Przy ostatnich wyrazach stara kobieta wyciągnęła ku szafie oszklonej, o kilka kroków przed nią stojącej, pomarszczony palec swój, a śmiech cichy, śmiech wewnętrznej radości jakiejś, jakiegoś dzieciennego prawie tryumfu, piersią jój zatrząsł.

Meir jednym skokiem znalazł się przy szafie, i silniejszą, niż kiedy, bo zgorączkowaną dłonią targnął zamek jój, skruszony starością i rdzą. Drzwi szafy roztworzyły się naóścież, a z głębin jój buchnęła chmura pyłu i, jak niegdyś biały zawój Frejdy i złote włosy Hersza, okryła białą powłoką odzież i głowę prawnuka ich... Ale on na to nie zważał i chciwie ręce zatopił pomiędzy księgi te, z których czerpali mądrość swą dwaj przodkowie jego, a wśród których krył się namiętnie przezeń upragniony, drogo-skaz życia...

Ale na widok roztwartej szafy i wylatującej z niej chmury pyłu Frejda pochyliła się też naprzód, ręce przed się wyciągnęła i zawołała:

— Hersz! Hersz! mój Hersz!

Nie był to już zwykły szept jęj bezdźwięczny, ale okrzyk głośny, wyrrywający się z piersi nawskroś przeszytęj radością i bólem wspomnienia. Zapomniała o prawnuku... zdawało się jęj zapewne, że urodziwy młodzieniec ten ze złotemi włosami, osypanemi kurzawą, był cudowném, z nieznanych światów przybyłym do nięj zjawiskiem jęj męża...

Meir zwrócił ku nięj bladą twarz i gorejące swe oczy.

— Bobe! — spytał dyszącym głosem, — gdzie ono jest? u góry? w dole? W tęg książce? w tęg? w tęg?

— W tęg! — zawołała kobieta, palcem wskazując księgę, na któręg z kolei Meir dłoń swą położył. Po chwili, żółkłe od starości, lecz bujném i wyraźném jeszcze pismem okryte, arkusze zaszeleściły pod grubą pergaminową okładką księgi. Trzymając je w dłoni, Meir upadł do nóg prababki, całował stopy jęj, kolana i ręce; co chwila tęg chwytal się za głowę, a niewyraźne jakieś jęki i śmiechy drżały mu w piersiach.

Frejda uśmiechała się tęg i drżącemi rękoma dotykała głowy prawnuka; lecz powieki jęj zwolna przymykać się zaczęły, na twarz całą wracał zwykły od lat wielu wyraz cichęg senności. Zmęczoną mówieniem i wspomnianiem długim, wpatrzoną jeszcze w jasne widmo młodości, które stało przed nią w srebrzystych blaskach łyzy, — stuletnią tęg niewiastę ogar-

niało znowu ciche, słodkie drzemanie — pierwsza niby łagodna fala snu wiekuistego.

Namiętne dziękczynienia i pieszczoty prawnuka budzić ją przestały. Meir schował na piersi zżółkłe arkusze, i wkrótce słychać było szybki bieg jego po wschodach, prowadzących do izby, u szczytu domu umieszczonej, a zamieszkiwanej przez niego i młodszych jego braci.

Przez cały wieczór potem i przez noc całą, w spórnym oknie, znajdującym się pod samym już wysokim i śpiczastym dachem domostwa, błyszczało mdlawe światelko świecy i widać było przesuwające się za szybami, wchodzące do izby i wychodzące z niej, ludzkie postacie. Z rana, o świcie jeszcze, bocznymi drzwiami domu wyszło na dziedziniec kilku młodych ludzi, którzy wnet rozproszyli się w różne strony miasteczka.

Po miasteczku też, od samego już nieledwie wschodu słońca, obiegać poczęły wieści niewyraźne, niepewne, rozmaicie opowiadane i tłómaczone, ale zaciekawiające i wzruszające żywo wszystkie warstwy miejscowej ludności. Zajęcia powszednie zdawały się na pozór iść zwykłym trybem, a jednak, na uboższych szczególniej uliczkach, słychać było nieustanny szmer ludzkich rozmów, który, łącząc się ze stukiem, zgrzytaniem i szelestem rzemieślniczych narzędzi, wydawał się głuchym jakby wrzeniem, szemrzącym na na dnie mrowiska. Niewiadomo zkad, z jakiej strony i z jakich ust wypływały i po wszystkich podwó-

rzach, zakątkach, izbach i izdebkach rozpływały się wiadomości, domysły i przypuszczenia...

— „Dziś, kiedy słońce zajdzie, a zmrok wieczorem spadnie na ziemię, zgromadzi się w Bet-ha-Kahole wielki sąd Dajonów i Kahałnych, z rabbinem Izaakiem na czele, i sądzić będzie młodego Meira Ezofowicza.”

— „Jak on go sądzić będzie? jaki wyrok spadnie na głowę jego? co się z nim stanie?”

— „Nie; wielki sąd nie zasiądzie już dziś w Bet-Kahole, bo kiedy słońce zajdzie i zmrok wieczoru spadnie na ziemię, zuchwały wnuk bogatego Saula przyjdzie do Bet-Midraszu, aby w obecności ludu całego upokorzyć się przed wielkim rabbinem, grzechy swe wyznać i tych, których obraził, rozgniewał lub zgorzszył, o przebaczenie prosić.”

— „Nie: upokarzać się przed rabbinem i grzechów swych wyznawać w pokorze przed całym ludem on nie będzie.”

— „Dla czego nie będzie?”

— „Ach! ach! to wielki sekret, ale o nim już wszyscy wiedzą. To taki wielki sekret, że, słysząc o nim, wszystkie oczy palają ciekawością gorączkową, wszystkie piersi drżą, aby co prędzej wchłonąć go w siebie.”

— „Młody Meir skarb znalazł!!”

— „Co to za skarb? Skarb to taki, który od trzystu, od pięciuset, od tysiąca może lat, nu! od tego czasu może, jak Żydzi do kraju tego przyszli, w famili Ezofowiczów ukrywa się!”

— „Skarb ten, to pisanie jakiegoś przodka ich, które on przed śmiercią swoją zrobił i dalekiemu potomstwu w dziedzictwie zostawił.”

— „A co w pisaniu tém jest?”

— „Nikt o tém z pewnością nie wie.”

— „Wszyscy mieszkańcy ubogich uliczek o pisaniu tém słyszeli od ojców, dziadów i babek swoich, ale każdy z nich słyszał o niém inaczej. I teraz jeszcze żyli starzy ludzie tacy, którzy o pisaniu tém coś wiedzieli, ale każdy z nich wiedział co innego. Jedni mówili, że pisanie to pochodziło od mądrego i świętego Izraelity, który żył bardzo dawno temu, a przez całe życie o tém tylko myślał, jak naród swój bogatym, mądrym i szczęśliwym uczynić. Inni, przeciwnie, utrzymywali, że ów, dawno temu żyjący, przodek Ezofowiczów bezbożnikiem był, odszczepieńcem przez Gojów przekupionym, ażeby imię Izraela i Zakon jego z powierzchni ziemi zetrzeć.”

— „W pisaniu tém stoi nauka: jak piasek w złoto zamieniać można, i co biedni ludzie robić powinni, żeby od razu stać się wielkimi bogaczami.”

— „Nie; w pisaniu tém powiedziano jest jakim sposobem człowiek może odpędzać od siebie dyabłów, ażeby oni go nie dotykali się nigdy, a z liter Imienia Boskiego ułożyć taki wyraz, że kto go wymówi, ten będzie już mógł spojrzenie oczu swoich zapuścić wskrós nieba i wskrós ziemi...”

— „Nie; w pisaniu tém powiedziano jest, co Izraeli-

ci czynić mają, ażeby nieprzyjaciół swoich w przy-
jaciół zamienić i z ludami wszystkimi, co mu wro-
gie są, przymierze zgody zawrzeć."

— „A ktoś jeszcze słyszał o tém, że w pisaniu tém
stoi nauka jak wskrzesić Mojżesza i wezwać go, aby
przyszedł znowu, i lud swój z niewoli, ciemności
i upokorzenia wywiódł, a do krainy płynącej złotem,
mądrością i chwałą zaprowadził.

— „Dla czego oni do tego czasu nie szukali i nie
ogłaszali ludowi pisania tego?"

— „Oni bali się; bo kto pisania tego się dotknie, tego
ręce zapalą się wielkim ogniem i rozsypią się w proch".

— „Nie; kto pisania tego dotknie się, temu wkoło
serca okręcają się jadowite węże..."

— „Temu czoło poczernieje jak od sadzy..."

— „Od tego szczęście i spokój odbiegna..."

— „Na tego posypie się grad kamieni..."

— „Ten na czole swém nosić będzie krwawą kresę..."

— „Niegdyś.. starzy ludzie, żyjący jeszcze, coś o tém
pamiętają... ojciec bogatego Saula, wielki kupiec
Hersz, pisania tego dotknął się."

— „A co się jemu stało?"

— „Starzy ludzie mówią, że jak on tego pisania
dotknął się, jadowite węże okręciły się koło serca
jego i tak go we środku kąsały, że on od tego mło-
do bardzo umarł..."

— „A teraz pisanie to znalazł młody Meir?"

— „Tak; on je znalazł i czytać je będzie w Bet-ha-

Midraszu przed ludem całym, jak tylko słońce zajdzie a zmrok wieczoru ziemię okryje...”

Pomiędzy ludźmi, w ten sposób rozmawiającymi, uwijał się Reb Mosze, mełamed; zjawiał się tu lub owdzie, znikał wkrótce i znowu ukazywał się na innej uliczce jakiejś, wśród innego podwórka, pod otwartym oknem innej chaty. Nadstawiał ucha, przysłuchiwał się; uśmiechy przelatywały po wypukłych jego ustach, ostre błyski strzelały mu z burych, okrągłych oczu. Nie mówił przecież nic. Pokornie, a czasem i natarczywie, zapytywany przez ludzi, do których się zbliżał, milczał, albo odpowiadał niewyraźnym tylko mruczeniem i posępnym wstrząsaniem głową. Nie mógł mówić, bo o wypadkach i wieściach, które tak silnie poruszały umysł publiczny, nie rozmawiał jeszcze dnia tego z mistrzem swoim, z tym, któremu przez cześć najwyższą, przez wiarę fanatyczną, przez miłość namiętą i mistyczną, ciało i duszę swą w niewolę oddał. Bez wyraźnego rozkazu uwielbianego i ukochanego mistrza tego nie mógł on ani sądów wydawać, ani haseł wykrzykiwać, ani nawet we własnej myśli swój o czémkolwiek rozstrzygać. A nuż słowo albo czyn jego rozminęłyby się z wolą mistrza? Nuż popełniłby błąd jaki przeciw któremukolwiek z tysiącznych przepisów?! Wprawdzie on je wszystkie na pamięć umiał, ale w nich nietylko wyraz każdy, lecz każda litera coraz innym tłumaczeniom i zastosowaniom ulegać mogła. I to również wiedział

Reb Mosze, że uczonym był bardzo; cóż jednak zna-
czyła uczoność ta jego, wobec uczoności wielkiego
rabbina, której jasność oświecała cały świat ziemski
i wnikała nawet aż do samego nieba! Jehowa lubo-
wał się, patrząc na nią, i sam siebie podziwiał za to,
że mógł stworzyć dzieło tak doskonałe, jakim był
rabbi Izaak Todros.

Około południa tedy Reb Mosze, z głową i uszy-
ma, napelnionemi wszystkiem, co słyszał, wsunął się
cicho do czarnej chaty rabbina. Nie od razu jednak
mógł rozpocząć z nim rozmowę. Todros rozmawiał ze
starcem jakimś, którego opylona odzież objawiała, że
przybywał zdaleka, a który, wspierając się na kij, stał
przed nim z twarzą pokorną i razem radosną. Starzec ten
prosił rabbina o udzielenie mu szczypty
ziemi z Jerozolimy przywiezionej.

— Ja bardzo chcę, — mówił drżącym od starości
i wruszenia głosem, — pojechać do Jerozolimy, aby
tam umrzeć i w ziemi ojców naszych pogrzebionym
zostać. Ale biedny jestem i pieniędzy na drogę nie
mam. Daj ty mi, rabbi, garstkę piasku tego, który
tobie każdego roku ztamtąd przywożą, ażeby wnuki
moje mogły mi ją na piersi posypać, kiedy dusza mo-
ja rozwiedzie się z ciałem. Mnie z tą garścią ziemi
lżej będzie spać w grobie; — a prawdaż-to jest, że do
tych, którzy ją mają na sobie, nie zbliżają się robaki
i ciała ich nie jedzą?

— To jest prawda, — odpowiedział poważnie
rabbin, i, wyjąwszy garstkę białawego piasku z wor-

ka, w którym drogocenny przedmiot starannie obwinięty był i obwiązany, owinał ją w szmatkę papieru i podał starcowi.

Starzec przyjął dar trzęsącą się od radości dłonią, złożył na nim długi, pobożny pocałunek i schował go na piersi, za połą łachmaniasztę, cuchnącej odzieży.

— Rabbi! — rzekł, — ja nie mam czém zapłacić tobie...

Todros wyciągnął ku niemu żółtą szyję swą i przerwał szybko:

— Zdaleka widać przybywasz, skoro o zapłacie dla Izaaka Todrosa myśleć i mówić możesz... Ja od nikogo za nic zapłaty żadnej nie biorę; a choć wiem, że bardzo dużo dobrego braciom moim czynię, o jedną tylko zapłatę za to błagam Przedwiecznego: ażeby On dolał choć jedną jeszcze kropelkę do téj mądrości, którą już posiadam, a której, niesyta nigdy, dusza moja pożąda.

Starzec chwiejnym krokiem, o kiju, przybliżył się do męża tego, tak już mądrego, a tak nieustannie i namiętnie łaknącego mądrości.

— Rabbi, — westchnął starzec pobożnie, — pozwól mi pocałować dobroczynną rękę twoję...

— Pocałuj, — łagodnie odpowiedział mistrz, — ale kiedy proszący schylał się przed nim, wziął w obie dłonie głowę jego, białemi jak mleko okrytą włosami, i głośny pocałunek wycisnął na sfałdowanej i zeschniętej skórze jego czoła.

— Rabbi! — zawołał starzec, z wybuchem szczęścia w głosie, — ty dobry jesteś... ty ojciec nasz, mistrz i razem... brat!

— A ty, — odrzekł Todros, — błogosławionym bądź za to, że do późnej starości dochowałeś wierności Zakonowi Pana i miłości dla ojczystej ziemi naszej, z której garść piasku wydała ci się droższą nad srebro i złoto...

Obaj mieli łzy w oczach i widać było, że obaj także, widząc się dziś po raz pierwszy w życiu, przejęci byli wzajem dla siebie tkliwą, braterską i dziwnie jakoś smętną miłością.

Reb Mosze, który, oczekując na skończenie rozmowy, usiadł na ziemi, przy czarnym otworze komina, miał także łzy w oczach i po chwili dopiero, gdy Todros pozostał sam jeden, przemówił zniżonym głosem:

— Nassi...

— Haa? — zapytał mistrz, pogrążony już w zwykłej swój zadumie.

— U nas w mieście wielkie dziś nowiny są.

— Jakie to nowiny?

— Meir Ezofowicz pisanie przodka swego, Seniora, znalazł i dziś je przed całym ludem czytać będzie...

Zaduma Todrosa pierzchnęła bez śladu. Wyciągnął ku mówiącemu szyję i zawołał:

— Zkąd ty to wiesz?

— Nu! — cały świat o tém gada. Przyjaciele Meira od samego rana po mieście chodzą i wiadomość tę pomiędzy lud puszczają...

Todros nie odpowiedział. Oczy błyskały mu ostro, niemal dziko. Namyslał się.

— Nassi! czy ty jemu zrobić to pozwolisz?

Todros milczał jeszcze chwilę, potem odpowiedział stanowczym głosem:

— Pozwolę!

Reb Mosze aż drgnął cały.

— Rabbi! — zawołał, — ty jesteś najmądrszym ze wszystkich ludzi, którzy na tym świecie żyli, żyją i żyć będą... ale czy mądrość twoja pomyślała o tém, że pisanie to odwrócić może duszę ludu od ciebie i świętego Zakonu naszego?

Todros groźnie na mówiącego spojrział.

— Ty nie znasz duszy ludu mego, kiedy tak myśleć i mówić możesz... Nie na to pradziad mój i dziad, i ojciec, i ja sam, nad duszą tą z całych sił naszych pracowaliśmy, aby ją łatwo było od nas odwrócić... Niech on pisanie to przeczyta, — dodał po chwili, — niech obrzydliwość ta wyjdzie raz z pod ziemi, gdzie ukrywała się dotąd, ażeby można było ją ogniem gniewu spalić, a prochy jój kamieniem pogardy przycisnąć... Niechaj pisanie to czyta: dopełni tém miary grzechów swoich, i spocznie wtedy na nim mściwa ręka moja!

Przez chwilę panowało milczenie. Mistrz myślał, wielbiciel jego patrzył mu w twarz, jak w tęczę.

— Mosze!..

— Co, nassi?

— Pisanie to trzeba z rąk jego wyrwać i w moje ręce oddać.

— Nassi! a jak je odebrać?

Rabbin stanowczo i mrukliwie powtórzył:

— Pisanie to trzeba z rąk jego wyrwać i w moje ręce oddać!

Człowiek skurczony u komina lękliwiej już nieco zapytał jeszcze:

— Nassi! a kto pisanie to z rąk jego wyrwać ma?

Todros wlepił w pytającego rozognione oczy i po raz trzeci wymówił:

— Pisanie to trzeba z rąk jego wyrwać i w moje ręce oddać!

Mosze pochylił głowę.

— Rabbi, — szepnął, — już ja zrozumiałem wolę twoję. Bądź ty spokojny. Jak on obrzydliwość tę przed ludem całym przeczyta, nad głową jego zaszumi taka burza, że on od niej złamie się i w proch upadnie.

Milczeli potem obaj długą chwilę. Rabbin ozwał się znowu pierwszy:

— Mosze!

— Co, nassi?

— Kiedy on i gdzie obrzydliwość tę czytać będzie?

— On ją czytać będzie w Bet-ha-Midraszu, kiedy słońce zajdzie, a zmrok ziemię okryje...

— Mosze! idź ty zaraz do szamesa (posłańca synagogi) i powiedz mu, że rozkazanie moje jest, ażeby on szedł zaraz do dajonów i do kahalnych i ogłosił im, że, kiedy słońce zajdzie a zmrok ziemię okryje, oni wszyscy zebrać się powinni w Bet-ha-Kahole na wielki sąd.

Mosze powstał i zmierzał ku drzwiom, a rabbin wstrząsnął kilka razy głową i, podnosząc rękę, zawołał:

— Biada zuchwałemu, silnemu i nieposłusznemu! Biada temu, którego naruszył trąd, i temu, który roznosi zarazę! biada mu!

Kiedy to mówił, po całej twarzy jego rozlało się morze ciemnej, nieubłaganej nienawiści. A jednak przed kwadransem jeszcze twarz ta pełna była tkliwej, braterskiej miłości, usta te wymawiały słowa łagodne i pocieszające, w oczach tych stały łzy rozewnienia!

Tak w jednem sercu tém mieścić się mogły zarazem łagodność i gniew, dobroć i mściwość, bezbrzeżna miłość i nieubłagana nienawiść; tak z jednego źródła tego płynąć mogły wzniosłe cnoty i posępne zbrodnie. .

Tajemnic podobnych, zagadek podobnych spotka wiele ten, kto uważnie wpatrzy się w dzieje Ludzkości. W ich-to łonie wyraz: „miłosierdzie,” dziwacznie

pląta się z wyrazem: „zemsta,” — wyraz: „bliźni,” z wyrazem: „wróg.” One-to powielokroć dały światu widok mężów jedną ręką litościwie gojących rany ludzkie, a drugą rozpalających ogniste stosy i obracających koła tortur... Skąd pochodzą tajemnice i zagadki szerokich serc i ognistych umysłów tych, tak srodze rozdwojonych i zbłąkanych? — O! czytelniku! gdyby nie istniały na ziemi żywioty pewne, wtrącające w straszliwe obłądki serca i umysły ludzkie, rabbin Izaak Todros byłby może wielkim człowiekiem...

Bądźmy sprawiedliwi! Rabbi Izaak Todros byłby najpewniej wielkim człowiekiem, gdyby nigdy nie istnieli byli ci, którzy, posługując się ogniem, torturą — i stokroć sroższą jeszcze od nich — pogardą, zbudowali dla plemienia jego, aż do dalekich, dalekich w przyszłości pokoleń, ciasne, ciemne, trwóg i niechęci pełne, — moralne i umysłowe Ghetto!

*

*

*

Słońce zaszło i na ziemię spływał mrok wieczora. Wielkie synagogalne podwórze mrowiło się ludnością czarną, gęstą, szemrzącą. W łonie ludności téj wrzało coś i kipiało...

Wnętrze Bet-ha-Midraszu czerniało całe także masą stłoczonej ludności. Widać tam było głowy starców i płowe kędziory dzieci, długie brody, czarne,

jak krucze, pióra, jasne jak len i ogniste jak wypolerowana miedź. Głowy te poruszały się i falowały, szyje wyciągały się i podnosiły się brody, oczy pałały ciekawością i żądzą wrażeń. Wszystko to ukazywało się w pół-zmroku. Ogromna sala Bet-ha-Midraszu oświecona była jedną tylko lampką, zawieszoną u drzwi wchodowych, i jedną łożową świeczką, palącą się w mosiężnym lichtarzu na stole z białego drzewa, za którym, tuż pod wysoką, nagą ścianą, stał drewniany stółek. Było to miejsce, z którego przemawiali zazwyczaj do ludu wszyscy, którzy kiedykolwiek przemawiać doń chcieli. W Izraelu bowiem człowiek każdy, od najdostojniejszego i najstarszego do najniższego i najmłodszego, prawo głosu posiada, a Bet-ha-Midrasz jest niestartym śladem wysoce demokratycznego ducha, który przenikał niegdyś starożytnie ustawy Izraela. Każdy, ktokolwiek tylko pochodzi z domu Izraelowego, posiada prawo wstępować w progi te, modlić się wśród nich, czytać, przemawiać, nauczać.

Ludzie, którzy, nie wewnątrz budowy, ale dokoła ścian jój gromadnie stali, oglądali się często ku stojącemu naprzeciw Bet-Kahołowi. W tém miejscu posiedzeń administracyjnych i sądowych władz gminy połyskiwać też zaczęły mdłe i nieliczne światła. Nad wchodowymi drzwiami zapalono tam lampkę, a na długim stole, szarzejącym niewyraźnie za dużemi szybami okien, ustawiono parę świec zółtych i kopca-

cych. Po chwili na ganek Bet-Kahołu wstępować zaczęli ludzie, całej ludności Szybowskięj dobrze znani, a budzący pośród niej szacunek głęboki. Pojedynczo albo parami przybywali tam sędziowie gminy, siwi całkiem, lub siwiejący, poważni ojcowie rodzin licznych, zamożni kupcy lub właściciele posiadłości miejskich. Liczba ich powinna była dosięgać dwunastu, tym razem przecież jedenastu ich tylko naliczono. Dwunastym dajonem w Szybowie był Rafał Ezofowicz. Pomiedzy ludem szeptano, iż stryj obwinionego należeć do składu sądu nie mógł; niektórzy mówili, że nie chciał. Po dajonach przybywali kahalni, pośród których znajdowali się: Morejne Kalman, z rękoma w kieszeniach sajetowego chałatu i z wiekuistym uśmiechem miodowęj błogości na ustach, i Kamionker, którego twarz żółkła i skurczyła się w dniach ostatnich, a wejrzenie posiadało trwożliwe i ostre błyski człowieka zagrożonego niebezpieczeństwem. Ostatni ze wszystkich ukazał się Izaak Todros. Wysunął się z niskich drzwiczek swęj chatki i, szczupły, zgarbiony, przemknął w cieniu ścian, okrążających podwórze, tak szybko i cicho, że z tłumu nikt go prawie nie dostrzegł.

W tęg samęj prawie chwili w głębi Bet-ha-Mi-draszu, nad głuchym szmerem falującego ludu, rozległ się czysty i silny głos męzki:

— W imię Boga Abrahamów, Izaaków i Jakóbów, słuchaj, Izraelu!

Szmer ludu wzmógł się i przeszedł w gwar, niedawie we wrzawę. Czuć w tém było niechęci trochę, a więcej jeszcze obawy, walczącej z ciekawością. To też przez długą chwilę głos człowieka, mówiącego we wnętrzu napelnionej ludźmi budowy, mocował się z pochłaniającym go gwarem, a z pomiędzy słów jego nieliczne tylko wzbijały się nadeń i brzmiały wyraźnie. Nagle ktoś z tłumu zawołał donośnie:

— Uciszcie się i słuchajcie! albowiem powiedzianém jest: „Słuchajcie mowy wszelkiej, czynionėj w imię Jehowy!”

— To jest prawda! — zaszemrano, — on mówić zaczął w imię Boga Abrahamów, Izaaków i Jakóbów!

I stała się cisza wielka, przerywana tylko poruszeniami tych, którzy, u drzwi i za oknami stojąc, wspinali się na palce, aby zobaczyć tego, który przemawiał.

Żaden widok niezwykły ócz ich nie uderzył. Za białym stołem, więc na tém samém miejscu, z którego często przemawiano do ludu, Meir Ezofowicz stał w postawie spokojnej i ze spokojną również twarzą. Bledszym był wprawdzie, niż zwykle, i w oczach miał blask gorącego wzruszenia; ale widać było, że wzruszenie to brało źródło, nie w trwodze ni wątpliwości najlżejszej, lecz, przeciwnie — w uczuciu potężnej wiary jakiejś i równie wielkiej, uszczęśliwiającej nadziei. W rękę trzymał kilka żółkłych i bardzo starych arkuszy papieru, z których czytał

i które podnosił niekiedy wysoko, jakby chciał ukazać oczom wszystkich zkaąd brał słowa swoje.

— „Izraelu! — zawołał w chwili, gdy gwar ustąpił przed powszechną i głęboką ciszą — ty jesteś wielkim narodem! Ty pierwszy z pomiędzy narodów wszystkich zobaczyłeś w niebie Boga jedynego, a na ziemi usłyszałeś w huku gromów i blasku błyskawic dziesięć ogromnych słów, na których, jak na dziesięciu opokach, inne ludy, przez pokolenia wszystkie, budują wschody do słońca doskonałości! Izraelu! ślepe od urodzenia, albo pieprzem złości jest oślepienie oko tego, kto, patrząc na oblicze twoje, nie zobaczy starej twój dostojności! Suchą od urodzenia, albo wichrem z piekieł wiejącym wysuszoną jest żrenica ta, która na wielkie cierpienia, jakie ty przeniosłeś, nie wypuści z siebie łzy. Nieszczęsny jest ten, kto ustami swemi rzeknie na ciebie: nikczemny! Niech ulituje się nad nim i przebaczy mu Pan, albowiem niema w nim tój szali sprawiedliwości, na której wazą się zasługi i winy narodów, ani tego światła mądrości, które pokazuje jak z bólu i nędzy rodzą się grzechy! Izraelu! z ciebie urodził się Mojżesz z sercem gorejącém miłością, jako krzak ognisty; Dawid ze złotą harfą; piękna Ester, płacząca nad biedą ludu swego. Machabeusze z potężnemi mieczami z ciebie powstali, i prorocy, idący na śmierć z ochotą dla prawdy serc swoich. Ty, kiedy w ziemi ojców swoich żyłeś szczęśliwy, brzydziłeś się niewolą brata, na

polu swém dziesiąty snop zostawiałeś łaknącym, a głos dawałeś każdemu, co przemawiać do ludu chciał, i, przed Jehową jednym korząc się, mówiłeś: my wszyscy równi w obliczu Ojca naszego! A kiedy ty potem, nieszczęsny i zwyciężony, oblany krwią synów swoich, co ziemi przodków bronili, we łzach i prochu cały pomiędzy obcemi narodami stanąłeś, ty wszystkie boleści i wszystkie pogardy przeniosłeś, — a jedynemu Bogu swemu wiernym pozostałeś, a pamięci o przodkach swych nie zatraciłeś i wszystkie ludy, które kiedykolwiek gnębione i we łzach topione były, uczyłeś — jako bez broni obronić się można! Rozumnym, czystym i miłosiernym stworzył cię Pan, ludu mój; ale oto drugi tysiąc lat już przemija, odkąd nie stało ci jednéj rzeczy ważnéj: ojezyczny!..

Tu głos mówiącego zadrżał i umilkł na chwilę, drżenie téż przebiegło po zgromadzeniu całym, a potem rozległ się szept głosów stłumionych:

— Słuchajmy! słuchajmy! Pisanie to jest mądrego i dobrego Izraelity, który opowiada chwałę ludu swego!

Sluchali, a Meir Ezofowicz czytał dalej:

„Biada ludowi temu, któremu zabraknie ojezyczny! „I zejda z okrętów wszyscy robiący wiosłem i wszyscy pływający po morzu — i przylgną do ziemi.” Dusza narodu wszelkiego łączy się z ziemią swoją, jak dziecko z piersią matki, i od niej bierze pokarm swój, i zdrowie swoje, i lekarstwa na swoje choroby. Tak

chciał i tak uczynił Pan. Ale ludzie poszli przeciw woli Jego; duszę twoją, Izraelu! oderwali od ziemi, do której ona przylgnęła. Jako żebrak pukałeś ty do wrót cudzych domostw i tych, którzy plwali na cię, o zmiłowanie prosić musiałeś; głowa twoja chyliła się pod rozkazaniami praw, przeciw którym krzyczała w tobie ze wstrętu natura twoja; język twój łamał się, żeby naśladować mowy cudze; podniebienie twoje gorzkniało od goryczy, które pijeś; oblicze twoje czerniało od gniewu i upokorzeń, a w piersiach twych serce kurczyło się od strachu, ażeby nie zniknęło z powierzchni ziemi imię Izraela i jedynego Boga jego, Jehowy. Aż w udręczeniach i nędzach srogich opadła z ciebie stara wspaniałość twoja, i rozmnożyły się jako gwiazdy grzechy i nieprawości twe, a Jehowa, Bóg twój, patrząc na ciebie, zapytał z gniewem: „Jest-że to ten sam lud mój wybrany, którego zaręczyłem z sobą w prawdzie i łasce? Azaliż on Zakonu mego inaczej strzedz nie umie, jeno słowami ust, które sprzeciwiają się uczynom rąk jego? Azaliż Zakon ten widzi on tylko w ofiarach, śpiewach, modłach i kadzidłach, a nie we wstępowaniu na tę wielką drabinę, którą objawiłem we śnie słudze memu Jakóbowi, aby po wszystkie czasy wiedzieli ludzie o tém, jak wstępować trzeba do mnie, który jestem poznaniem i doskonałością!”

W tém miejscu głos czytającego pochłoniętym znowu został przez głuchy gwar słuchaczy.

— Co on takiego czyta? — zapytywano siebie wzajem. — Pisanie to złego Izraelity jest, który na lud swój brzydkie słowa rzuca! A jakież są grzechy te i nieprawości, które rozmnożyły się pomiędzy nami jak gwiazdy na niebie? A jakoż Pana świata chwalić mamy, jeżeli śpiewy i modlitwy nasze nic w oczach Jego nie znaczą?

Bladość Meira zwiększyła się nieco, gdy uczuł, że głos jego ginąc zaczyna znowu we wzdymającej się fali głosów mrukliwych lub strwożonych. Umilknąć nie było przecież w mocy jego. Czytał więc dalej, a w ludzie szemrzącym ciekawość przemogła wkrótce inne uczucia: uciszono się i słuchano.

Słuchano opowieści Michała Seniora, jako z rozkazu królewskiego i dla miłości tej, którą lud dla niego z razu miał, stanął on na czele spraw jego i chciał wprowadzić go na drogę nową, u końca której widział świtające słońce nowego dnia; jako przeszkodzono mu w dziele tém, odwrócono odeń duszę narodu, okryto go sadzą potwarzy, obrócono go w proch mizerny, po którym deptały stopy nieprzyjaciół jego.

„Szumiały w głowie mojej myśli, których język mój wypowiadać nie miał już komu, bo opuścili mnie wszyscy dawni przyjaciele i uczniowie moi! W piersi mój palił się płomień, przy którym grzać się nikt nie chciał, bo włożono w uszy ludu mego, że roznieciły go we mnie ręce szatana! Zmieniła się twarz moja,

a oczy moje były jak te smutne gwiazdy, które na świat patrzą z za grubiej chmury! Członki moje rozpadały się od niemocy; sen śmierci ogarniać mię zaczął, a z ust moich wychodziły krzyki:

„Panie świata! nie opuszczaj posłańca swego! Daj mu głos taki silny, ażeby przemówić mógł do tych, którzy nie urodzili się jeszcze; bo ci, którzy żyją, słuchać mię już nie chcą!

„Otworzyłem księgę świętą i przeczytałem w niej: „Jeżeli ramię twoje opadnie w niemocy, walczyć będziesz jeszcze za prawdę twoją głosem swoim, miłością swoją i łzami swojemi!”

„Prawnuku mój! który pisma tego szukać będziesz i znajdziesz je, ogłoś ludowi mojemu, czego ja dla niego żądałem. Pierwszą rzeczą, której ja dla niego żądałem, było zapomnienie. Czy żądałem ja, żeby zapomniał on o Bogu swoim, Jehowie, i o tém, że on Izraelem jest, — ludem, który swoją duszę ma i który, w przeszłości swój, wielkich mężów rodził i wielkie myśli z siebie wydawał? Nie, ja nie mogłem żądać, ażeby Izrael zapomniał o tém, bo mnie samemu wspomniania te miód kładną na podniebienie i serce rozszerzają. Ale ja żądałem, żeby Izrael zapomniał krzywd i boleści, których doznał od obcych narodów. „Krzywd nie pamiętaj!” „Nie mów: Odplacę złém za złe.” Mar Zutra, idąc spać, mówił codzień: „Przebaczam wszystkim tym, którzy mię zasmucili.” Mar Zutra był wielkim człowiekiem.

„Kiedy zapomnisz ty, Izraelu, wtedy zbliżysz się do płomieni tych, które cudzemi nazywasz, a które do wszystkich ludzi należą. Cudze płomienie te, od których ty uciekasz w zawziętém pamiętaniu swojém, roznieca ręką swoją Sarha-Olam, anioł poznania, który aniołem nad aniołami jest i ksiązęciem świata. Świętą jest nauka religii, ale i inne nauki któż stworzył, jeżeli nie Ten, w którym mieszka doskonałość poznania? Smacznym owocem jest rajskie jabłko, lecz czyliż innemi płodami ziemi żywić się nam nie potrzeba? „Przyjdzie taki czas, że świat cały pełen będzie wiedzy, jak pełną wody jest otchłań morza!” Słowa te powiedział mędrzec twój, którego wyklęli mędrcy twoi. Jak nazywał się mędrzec ten? On nazywał się Mojżesz Majmonides, on był prawdziwym prorokiem, który „oczy miał, nie z tyłu głowy, lecz z przodu,” a patrzył, nie na to, co było, ale na to, co będzie, i lud swój do cudzych płomieni pędził, bo wiedział, że przyjdzie czas, w którym ten, co płomieni tych w siebie nie weźmie, w proch i błoto upadnie, a imię jego pośmiewiskiem i wzgardą stanie się dla wszystkich narodów... On był drugim Mojżeszem... on był mistrzem moim, od którego przyszły do mnie wszystkie radości i boleści moje...”

Tu czytający opuścił na stół ręce, trzymając żółtkie arkusze, a podnosząc twarz, okrytą wyrazem niewysłowionego zachwytu, powtórzył:

— On był mistrzem moim, od którego przyszły do mnie wszystkie boleści i radości moje...

Dziwna rzecz! Mistrz przodka zmarłego przed trzystu laty był jeszcze mistrzem żyjącego dziś młodego potomka! Z jednego źródła spłynęły na obu boleści ich i radości. W sercach obu rozniecił on tę heroiczną i męczeńską — najwyższą ze wszystkich miłości ziemskich: — miłość dla idei. Tylko że potomek, czytając słowa przodka, słowa, które rozpraszały i oświecały wszystkie dotychczasowe wątpliwości i niepewności jego, czuł samą tylko radość. Smutku ni bólu nie było w tej chwili ani śladu w sercu jego, wezbraném potężną, bo młodzieńczą, wiarą i nadzieją.

Lecz w tłumie chrapliwy i zanoszący głos jakiś zawołał:

— *Herste! herste!* on cudze płomienie wychwala! On wyklętego kacerza drugim Mojżeszem nazywa!

Wszystkie głowy zwróciły się ku drzwiom, aby zobaczyć kto słowa te wymówił. Był to Reb Mosze, który, u drzwi wchodowych na ławie stojąc, całą postać swą wyniesiony nad tłum falujący u bosych stóp jego, trząsł głową, śmiał się szydersko, a wzrokiem rozplamienionym wpijał się w Meira. Ale ciekawość ludu nie była jeszcze nasyconą; pod łachmaniastą odzieżą wiele serc biło przyspieszoném tętnem nieokreślonego, niepojętego im samym, wzruszenia.

— On ustami prawnuka swego z grobu do nas przemawia! Słuchajmy tego, którego dusza mieszka już pomiędzy Sefirotami! — ozwało się głosów kilka.

A starzec jakiś, zgarbiony i wspierający się na kiju, podniósł siwą głowę, mrużące się oczy zwrócił na Meira i jęklwym nieco głosem mówić zaczął:

— Jakże Izrael miał grzać się przy słońcu poznania, kiedy odpędzali go odeń nieprzyjaciele jego! Mielśmy, Rebe, niegdyś sławnych doktorów naszych i mędrców takich, którzy ministrami przy potężnych królach byli... ale kiedy nas potem odepchnięto od bram mądrości, myśmy odeszli i powiedzieli: Oto Izrael rozwód czyni z narodami cudzemi i stać będzie pośród nich osobno, jak starszy brat, którego młodszy bracia obrazili...

Meir patrzył na przemawiającego doń starca z współgodnym, współtryumfującym uśmiechem na ustach.

— Rebe! — odpowiedział, — w pisaniu przodka mojego znajduje się odpowiedź na mowę twoją.

„Znikną grzechy z powierzchni ziemi.” „I grzeszników już nie będzie.” A kiedy znikną grzechy i przed wami otworzą się bramy mądrości, wchodzić w nie prędkim krokiem i z wesołym sercem, bo nauka jest największym orężem Pana, który rządzi światem według wiecznych praw rozumu. „Na dzieła Stwórcy patrzeć nie chcą.” O takich powiedziano w Piśmie: „Głupcy nienawidzą poznania!”

„Drugą rzeczą, której ja dla ludu mego żądałem, jest: pamiętanie. Rawa zapytał Rabę, syna Mory: zkad wzięło się u ludzi przysłowie: „W studnię, z której pijesz, nie rzucaj błota.” Raba odpowiedział: — Ztąd, że w Piśmie powiedziano téż: „Nie odpychaj Egipcyanina, albowiem gościem byłeś na ziemi jego!” Eliezer, syn Azaryi, mówił: „Egipcyanie przyjęli Izraelitów dla własnej swojej korzyści, a przetoż Przedwieczny dał im za to nagrodę.” A jeżeli kraj ten, z którego studzien pijesz wodę i z którego roli spożywasz chleb, przyjął cię, nie jako bydlę robocze, ażeby mu ziemię orało, ale jako brata zmęczonego, ażeby na piersi jego odpoczął, jakąż ty jemu nagrodę dasz, Izraelu?

„Nie jest powiedzianém: „Będziecie odzierać cudzoziemca z dobra jego,” ale: „Będziecie dzielić się z cudzoziemcem dobrem waszém.” Nie powiedziano téż: „Niech cudzoziemiec żyje pomiędzy wami jak pomiędzy szarańczą, która zboże objada z niw jego,” ale: „Niech cudzoziemiec żyje pomiędzy wami, jak gdyby był zrodzon z potomków Izraelowych!”

„Kiedy ja urząd mój, przez samego króla mnie dany, w mocnych ręku trzymałem, znalazło się dwóch niecných Izraelitów, którzy, do nieprzyjacielskiego obozu uciekwszy, sekrety królewskiego wojska ponieśli tam z sobą i wydali, przez co wielkie szkody i trudności zrzadzili królowi w wojnie. Co ja z tymi niecnymi podwładnymi mymi uczynilem? Ja rozkaza-

em po kraju całym, przy dźwiękach trąb, ogłaszać, że oni są zdrajcami względem Boga i Zakonu Jego i że odpycha ich od siebie na wieki wieków łono Izraelowe! Ja tak zrobiłem, bo gdy gniew na nich wezbrał w sercu mojem, zobaczyłem ja we śnie drugiego Mojżesza, który powiedział do mnie: — „Odepchnij ich od łona Izraelowego, albowiem odepchnęli oni od siebie tych, na których ziemi gośćmi i przybylcami są!

„Nietylko dla świętości dusz waszych żądałem ja od was, ażebyście pełnili rozkazania wdzięczności, ale i dla szczęśliwości żywotów waszych na tej ziemi.

„Kiedy zasiadałem ja w wielkim Synodzie Izraelskim, który, z pozwoleniem króla i wszystkich wielce możnych panów tego kraju, zebrał się w pięknym i bogatym mieście Lublinie, namówilem wszystkich mądrych i uczciwych ludzi, którzy zasiadali ze mną, abyśmy pomiędzy Izraelitów puścili taką odezwę, któraby rozumami i sercami ich zatrząść mogła tak, jak trzęsie ogrodnik drzewem, aby z niego dojrzałe owoce spadały.

„Powiedzieliśmy w odezwie naszej do wszystkich braci naszych: „Bądźcie pożytecznymi ziemi tej, na której mieszkacie, a będą was szanować.” Oto jest pierwszy krok do szczęśliwości, bo wzgarda gorzką, a szacunek słodkim jest sercu ludzkiemu.

„Ale są jeszcze inne rzeczy, które ja w myśli mojej mam.

„Kto jest sługą ziemi swojej, ten najé się chleba do syta!” A jakże do syta nakarmi was ziemia ta, jeżeli wy z nią obchodzić się będziecie, nie jak wierne i pracowite sługi, ale jak przechodnie, o dzisiejszy tylko dzień dbający?

„Kiedy Abraham przybył nad granicę Tyru i ujrzał, jako tam ludzie usiewali ziemię i zasadzali drzewa, to zawołał: „O, gdyby mi dana była częśćka téj ziemi!” A Pan rzekł: „Potomstwu twemu ziemię tę ja oddam!” I oddał On ziemię synom człowieczym.”

„Rabbi Papa powiedział. „Nie prowadź handlu, ale uprawiaj ziemię; bo, choć jedna i druga robota dobrą jest, ale pierwszą błogosławią ludzie!” „Kiedy przyjdziecie na ziemię tę, zasadźcie w niej wszelkie drzewo owoc rodzące!”

„Przyjdzie pora taka, w której znikną grzechy, a ludy świata zawołają do synów Izraela: „Bierzcie w ręce wasze pługi i idźcie uprawiać rolę, abyście żyli na niej spokojnie i chleb spożywali do syta z synami i wnukami waszymi!” Ale fałszywi mędrcy powiedzą wam: „Nie będą ręce nasze prowadzić pługów po ziemi wygnania.” Prawnuku mój! który to czytać będziesz, powiedz ludowi twemu, aby zamknął uszy przed głosem fałszywych mędrców! Napelnij pierś twoję wielkim głosem i krzyknij:—Fałszywi mędrcy twoi gubili cię, Izraelu!”

Widać było, że czytający spełniał przekazane sobie rozkazy przodka z wiarą, zapalem i radością nie-

wysłowioną. Czyliż sam on oddawna już w głębi duszy swój nie uczuwał wstrętu i żalu do mędrców fałszywych? Dla czego fałszywymi mędrkami byli oni? powiedzieć nie umiał. Język jego skrępowany był niewiedzą, a oko, gorejące żądzą poznania, tłukło się o ściany ciemnicy, w której go zamknęto. Teraz wiedział już — wiedział — rozumiał. To też z głębi piersi głosem donośnym zawołał:

— Fałszywym mędrcom swym nie wierz, Izraelu!
Tłum zawrzał:

— „O kim on mówi?”

— „Gdzież są w Izraelu fałszywi prorocy i mędracy?”

— „On o wielkich rabbinach naszych i uczonych mówi; usta jego wypuszczają z siebie obrzydliwe bluźnierstwa.”

— „On same tylko nagany rzuca w oczy ludu Izraelskiego!”

— „On żąda, abyśmy uprawiali rękami naszemi ziemię wygnania!”

— „Rabbi Nochim, dziad Rabbi Izaaka, mówił dziadom naszym: — Nie prowadźcie plugów po ziemi wygnania!”

— „A Rabbi Nochim był mędrcem nad mędrkami; światłość mądrości jego oświecała ziemię całą!”

— „Hersz Ezofowicz klócił się o to bardzo z Reb Nochmem.”

— „Hersz Ezofowicz był wielkim grzesznikiem!”

— „Dla czego nie przeczytał on nam, jak nędzarze czynić mają, żeby stać się bogaczami?”

— „Napisał on, żebyśmy byli sługami ziemi téj, na której mieszkamy! A kiedy Messyasz przyjdzie i zabierze nas ztąd do ziemi ojców naszych, my kraj ten porzucim! Na co nam być jego sługami?”

— „Gadali ludzie, że w pisaniu tém napisane stoi, jak piasek w złoto zamieniać...”

— „I jak dyabłów odpędzać...”

— „I jak Mojżesza wskrzesić...”

— „Ludzie nieprawdę gadali! W pisaniu tém niéma żadnych rzeczy mądrych i miłych Bogu!”

Pytania te, sarkania i mnóstwo im podobnych krzyżowały się w tłumie wraz z szyderskimi uśmiechami ludzi, zawiedzionych w ciekawości swéj i nadziejach. Mełamed, z ławy, na której stał, górując nad zgromadzeniem całém, rzucał w nie wciąż słowa obelżywe lub wybuchy grubego śmiechu, w którym czuć było jad nienawiści. Pod drugą ścianą, tuż na przeciw mełameda, widać było stojącego téż na podwyższeniu Bera. Dwaj ludzie ci, stojący naprzeciw siebie i górujący nad ruchliwym tłumem, przedstawiali sobą dwie krańcowe sprzeczności. Mełamed trząsł głową, rozmachiwał rękoma, przysiadął, podskakiwał, śmiał się i krzyczał. Ber stał niemy i nieruchomy; głowę odchylił nieco w tył i oparł o ścianę, a z oczu jego, szklistych i w głęboką jakąś dal zapatrzonych, po twarzy, okrytéj wyrazem cierpienia, zmieszanego z zachwytem, spływały, jedna za drugą, ciche, grube łzy. W pewném oddaleniu od tłumy,

a bardzo blisko Meira, stała, ściśle ze sobą zwarta, grupa kilkunastu młodych ludzi, którzy wszyscy wpatrywali się w twarz czytającego, jak w tęczę. Oddychali oni szybko, uśmiechali się błogiem i jakieś uśmiechami, to znowu wzdychali, albo ręce wznosili w górę i dotykali niemi, to głów swych, to czół, to oczu. Zdawać się mogło, że nie widzieli, ani nie słyszeli falującego i szemrzącego tłumu; że duchy ich, dawno tęskniące za prawdą i omackiem szukające jej pośród ciemności, rzuciły się teraz całe w ognisty krąg głoszonych przed nimi idei... W głębi tłumu, kędyś po samym środku sali, bardzo stary i trzęsący się głos mówił: — „O wszystkim tém dużo gadali ludzie... dawno, dawno temu... w dniach młodości mojej!..” Głośnemu westchnieniu, które towarzyszyło słowom tym zgrzybiałego starca, będącego, kto wie? jednym może z dawnych przyjaciół Hersza, odpowiedziały stłumione chichoty. Byli to chłopcy podrostki, którzy, tu i owdzie wspinając się na ławy, oddrzwia i grzém sy, wychylali z pośród ramion starszych kędzierzawe głowy, w przekrzywionych jar-mułkach, a potem zsuwali się z wysokości swych i znikali ze stłumionemi śmiechy.

W ręku Meira zżółkłe stare arkusze drząc zaczęły. Na bladą dotąd twarz jego wybiły się ogniste rumieńce. Z pod przymrużonej nieco powieki cisnął na tłum spojrzenie, w którym były gniew i prośba, litość i niecierpliwość.

— Ucisze się! — zawołał. — Pozwólcie, aby wielki mąż, który leży w grobie, powiedział wam przez usta moje wszystkie słowa swoje... aż do końca. On mnie wybrał za posłańca swego przed wami... ja wiernym być muszę rozkazaniom jego...

Głos jego brzmiał przenikliwie, rozkazująco. Siła odwagi i przekonania malowała się w postawie jego i giescie, jakim wyciągnął rękę ku burzącemu się dookoła żywiołowi.

Melamed krzyknął:

— *Sztyle!* niech czyta! niech obrzydliwość ta wychodzi z pod ziemi, gdzie ukrywała się do tego czasu, ażeby łatwiej było spalić ją ogniem gniewu i przycisnąć kamieniem pogardy.

— „Izraelu!—zaczął znowu wśród przycichającego gwaru głos młodzieńczy i silny, — Izraelu! trzecia rzecz, którą ja żądałem dla ciebie, jest: *rozpoznanie*.

„Byli u nas niegdyś mędrcy wielcy, których nazywanie było: Baale Tressim, uzbrojeni. Czém oni uzbroili się? Uzbroili się oni wielkiem poznaniem Izraelowego Zakonu. A przeciw czemu oni uzbroili się? Przeciw zgubie imienia Izraelowego. Oni powiedzieli: „Nie zniknie z powierzchni ziemi dom Izraelowy, albowiem damy mu mocny opłot z wielkiego mnóstwa praw, które z Zakonu Mojżeszowego wywieziemy, a które odgradzą go od narodów innych tak, że stanie on pomiędzy nimi osobno i nie przepadnie wśród nich, jak przepada rzeka, kiedy wpływa do wielkiego morza.”

„Tak powiedzieli sobie Tanaici nasi, a Sanhedryn, w którym zasiadali, i szkoły, w których nauczali, podobnemi stały się do wojennego pola, na którém leżą kule i ostrzą orężę. Gamaliel, Eliezer, Jozue, Akiba, Jehuda świecą pomiędzy niemi jak słońca pomiędzy gwiazdami; i następowali oni jedni po drugich, przez całe pięćset lat, i przez całe pięćset lat układali, tłómaczyli i pisali tę ogromną księgę, której dali imię Talmud, a która przez długie wieki była dla synów Izraelowych opłotem przeciw morzu, co ich pochłonać chce. Z niej synowie Izraelowi przez długie wieki brali wszystką pociechę i wszystką światłość swoją, a w ciężkiem rozproszeniu swém nie byli rozłączeni, bo myśli ich i westchnienia dokoła niej zbiegały się, jak zbiegają się dokoła matki swój myśli i westchnienia rozproszonych po świecie jej dzieci.

„Księga, którą przez całe lat pięćset układali i pisali ludzie, co kochali bardzo i wiele uczyli się, i która narodowi całemu przez długie wieki dawała pociechę, nadzieję i jedność, nie może być księgą głupią i złą. Temu, kto o niej tak mówić będzie, powiedźcie: — „Oczyść naprzód serce swe od złości, a potem otwórz tę księgę i przeczytaj!”

„Lecz czyliż wszystko, co jest dobre, doskonałem być musi? Po niebie samém chodzą ciemne chmury, a w sereu, by najczystsze, wszechwidzące oko Pana odkrywa skazy. Azaliż Jehowa sam pisał księgę praw naszych? Azaliż pisali ją aniołowie? Ludzie ją

pisali. Jest-że jeden człowiek na ziemi całej i we wiekach wszystkich, któryby nie wiedział co to błąd? Jest-że jedno dzieło ludzkie, któreby dla wszystkich czasów i pokoleń uczynioném było? Zwalił się tron faraonowy, położyła się w gruzy Niniwa, padł Rzym, który świata połową władał, grecka mądrość ustąpiła przed inną mądrością. Pustynie leżą tam, gdzie ludne miasta kwitły, a miasta wznoszą się na dawnych pustyniach. Kruszą się dzieła ludzkie, by największe, a na ich miejsce wyrastają inne. Tak idzie świat, Izraelu! W pokarmie, który żywił duszę twoję przez długie wieki, są ziarna i jest plewa; w bogactwie twojem są brylanty i jest piasek. Księga wiary twój jest jako to jabłko granatu, które człowiek głupi jadł z łupiną, od której wielki niesmak miały na podniebieniu i srogie we wnętrznościach bóle. Ale kiedy Rabbi Meir głupiego człowieka tego zobaczył, zerwał z drzewa jabłko granatu, twardą i gorzką łupinę odrzucił, a soczyste i słodkie jądro zjadł. Ja pragnęłam uczyć was tak, jak uczył Rabbi Meir człowieka, który jadł z łupiną jabłko granatu. Ja chciałam, żebyście osiągnęli dar rozpoznawania i dla księgi wiary naszój zrobili z rozumu waszego sito takie, któreby wyrzuciło plewy i piasek, a zostawiło wam ziarna i brylanty. Odtrąciłeś mnie od siebie za to żądanie, ludu mój! znienawidziło mnie serce twoje, bo strach i nienawiść wielka zamieszkały w tobie przeciw rzeczom nowym. A przecież powiedziałem jest: „Nie

patrz na naczynie, ale na to, co ono w sobie zawiera. Bywają dzbany nowe, napełnione winem mœcniem, i stare, w których niema ani kropli.”

Lud, który uciszył się był przez chwilę i słuchać zaczął z rozbudzoną nanowo ciekawością, zawrzał znowu. Ber zeskoczył z ławy, na której stał i przesunął się szybko ku Meirowi. Młodzi ludzie, stojący dotąd w ściśle zwartej gromadce, przybliżyli się ku niemu.

— Meir! — szepnął Ber, — rzuć ty okiem na lud!
I ciszej jeszcze dodał:

— Idź ztąd! wychodź, jak najprędzej!

Meir powiódł wzrokiem po falującej i wrzającej czarnej massie ludu; uśmiech nawpół smutny, a nawpół gniewny, przewinął się mu po ustach.

— Nie tego ja spodziewałem się! Spodziewałem się zupełnie czego innego! — rzekł zeicha i pochylił głowę. Wnet jednak podniósł ją i zawołał:

— Ja jestem posłańcem przodka mojego! On wybrał mnie na czytelnika ostatnich myśli swoich! ja woli jego posłusznym muszę być!..

Odetchnął głęboko i dodał głośniej jeszcze:

— On przeniknął pytania te, które szumić miały w głowie prawnuka jego i odpowiedź na nie dał! On przeniknął skrytości dusz, które łakną prawdy, i przysłał im przez ręce moje pociechę i naukę. Ja kocham go tak, jak gdyby wychodował on mnie na kolanach swoich! Ja pokłon składam wielkiej duszy jego, która zarobiła sobie na nieśmiertelność i mieszka

teraz w światłości Jehowy! Ja tak myślę, jak on myślał! tego żądam, czego on żądał! ja taki sam, jak on! ja syn duszy jego! — Głos jego dźwięczny i donośny drżał westchnieniami i dziwniejszemi nad nie zachwyconemi uśmiechami jakimiś; w oczach płomiennych i głębokich stanęły wielkie łzy, a usta mu drżały i czoło bladło coraz bardziej, i ręce mimowoli jakby wznosiły się w górę.

— W pisaniu przodka mego, — wołał, — napisano, że my stoim na miejscu, kiedy wszystkie narody naprzód idą ku poznaniu i szczęśliwości! że głowy nasze napelnione są takim mnóstwem małych rzeczy, iż wielkie pomieścić się już w nich nie mogą! że nauka ta, która nazywa się Kabałą, a którą wy za świętą macie, jest nauką przekłętą, bo topią się w niej rozумы synów Izraelskich i odprowadza ich ona od prawdziwego poznania! Napisano tam...

Tu głos mówiącego zmieszał się tak bardzo z krzykiem, śmiechami i jękami ludzi, że pojedyncze tylko wyrazy dochodzić mogły uszu tych, którzy słuchać jeszcze chcieli. Nie przestawał jednak Meir mówić; owszem, mówił prędko, coraz prędzej, z piersią dyszącą, z oczyma, które to przymrużały się, to otwierały szeroko. Zdawałoby się, że, widząc bezskuteczność wysiłen swych, pragnął przynajmniej spełniać jak najdłużej to, co za posłannictwo swe uważał; że, zawiedziony w oczekiwaniach swych, zachował jeszcze jedną jakąś iskrę nadziei...

— Biada! biada!—wołali ludzie różnemi głosy, — Odszczepieństwo i zgorszenie nawiedziły dom Izraelowy! Usta dzieci plują bluźnierstwami na rzeczy święte!

— Słuchajcie! słuchajcie! — wołał Meir, — daleko jeszcze do końca słów przodka mego...

— Zamknijmy mu usta i odpędźmy go od miejsca, z którego przemawiają do ludu mędrcy Izraelowi!

— Słuchajcie! W pisaniu tém napisano, ażeby Izrael przestał spodziewać się Messyasza z ciała i ze krwi!..

— Biada! biada! odbierać on chce sercu Izraelowemu pociechę i nadzieję jego!

— Albowiem nie przyjdzie on na świat pod postacią człowieka, ale spłynie, jako Czas, niosący ludom wszystkim poznanie, nasycenie, miłość i pokój...

— Meir! Meir! co ty robisz? ty gubisz siebie! patrz na lud! uciekaj! — rozległy się w pobliżu mówiącego stłumione szepty.

Ber stał tuż przy jego boku; Eliezer, Aryel, Chaim i kilku innych otoczyli go ścisłem kołem; ale on nie widział ich, ani słyszał. Krople potu występowały mu na czoło, blade jak chusta, lecz wysoko wzniezione, a w oczach błyskały mu naprzemian łzy rozpacz i płomień gniewu.

Nagle, w bliskości drzwi wchodowych, rozległ się głuchy stuk. Mełamed zeskoczył z ławy, na której stał, i bosemi stopami swemi pokilkakroć o podłogę uderzył. Potém, w kilku poskokach przesadził salę wśród tłumu, który rozstał się przed nim, i gwał-

townym giestem ramienia, okrytego płóciennym rękawem, zrzucił ze stołu mosiężny lichtarz z żółtą świecą, której płomień zdeptali wnet inni. Jednocześnie ktoś wspiał się na ławę i zdmuchnął lampkę, palącą się u drzwi; — gruby zmrok, tu i owdzie tylko rozwidniony blademi smugami księżyca, wnikającemi przez okna, ogarnął wielką salę, w której zagotowało się i zawrzało teraz tak, jak gdyby napełniły ją rozszalałe jakieś żywioły.

Najbystrzejsze ucho nie rozróżniłoby już teraz wyrazów, które sypały się tam, jak grad, i mieszały z sobą w chaos nierozwikłany. Z brzmień tylko pojedynczych wykrzyków, wzbijających się nad ten szum ogromny, rozpoznać można było groźby, wyrzekania, przekleństwa i prośby. Nakoniec z drzwi Bet-ha-Midraszu, na oścież rozwartych, wypłynęła na synagogałny dziedziniec gęsta, czarna fala ludzi i spotkała się tu z falą drugą, która stała dotąd zewnątrz budowy i spokojniejszą nieco była, choć także wzruszoną i szemrzącą. Tu rozlewała się już na przestrzeni szerokiej powódź jasnych księżycowych światła, a wśród niej wznosił się Bet-ha-Kahoł, z zamkniętymi szczelnie drzwiami i okiennicami. Na wschodach gankowych tylko siedział tam *szamesz*, z łokciami na kolanach i brodą w dłoni, nieruchomy, jak posąg, oczekujący rozkazów, mających wyjść z wnętrza budowy téj, która, wśród wrzawy wzburzonego ludu, stała niema i zamknięta, jak grób.

Tłum rozproszył się na grup wiele, z których je-

dna przekroczyła wrota synagogalnego dziedzińca i z gwarem niezmiernym, niby olbrzymi i szamocący się ptak czarny, sunęła po białym od księżycy placu. Liczną była grupa ta. Składali ją ludzie w nędznych ubiorach, z długimi brodami i oczyma rozpalonemi złością,—dzieci różnego wieku, nachylające się wciąż dla podniesienia kamieni lub garści piasku i błota; a po samym środku jój cisnęła się ku sobie i człowieka wśród niej znajdującego się osłaniała gromadka dorosłych lub dorastających zaledwie młodzieńców. Rozpychani i potrącani, walczyli oni chwilę jeszcze całą siłą piersi i ramion swoich; aż obezsileni, czy strwożeni, pierzchnęli i mieszały się z tłumem. Wtedy na plecy człowieka, którego osłaniał dotąd, posypał się grad kamieni; dziesiątki rąk chwyciły odzież jego i darły ją w szmaty; na odkrytą głowę jego padały garście żwiru i zlepki błota, zaczerpnięte z kałuży. W uszach jego brzmiały chóralne, namiętne okrzyki; przed oczyma migotały twarze rozognione, podnoszące się i opadające ramiona, a za tém wszystkiém, jak za mgłą ognistą, milczący i zamknięty ukazywał mu się dom jego rodzinny. Ku domowi też temu, niby ku portowi zbawienia, biegł on tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to ręce szarpiące go za odzież i płaczące się mu przed stopami ruchliwe gromady dzieci. Z zaciśniętych ust jego nie wydierał się jęk najlżejszy, ani wychodziło słowo żadne prośby lub skargi; można-by rzec, iż nie czuł on

wcale bólu spadających nań razów, ani trwogi przed temi gwiżdżącemi kamieniami, z których nie jeden lada chwila ugodzić weń mógł śmiertelnie. Piersią i ramionami odpychał on wprawdzie z rozpaczłą siłą tłoczący go tłum; zdawało się jednak, że nie siebie bro- ni, ale skarbu, który unosił z sobą; bo co chwila do- tykał dłonią piersi, jakby chciał przekonać się, że po- siada go jeszcze przy sobie. Nagle zastąpił mu dro- gę człowiek w długiej, roztwartej koszuli, i wywijając grubym kijem, który trzymał w ręku, z iskrzącemi się oczyma zawołał do ludu:

— Głupcy! co wy robicie? Dla czego wy jemu obrzydliwego pisania tego nie odbierzecie? Rabbi Izaak nakazał, abyście pisanie to wydarli mu i w rę- ce jego oddali! On je na piersi swój schował!

W mgnieniu oka młody człowiek, którego dotąd otaczano z tyłu tylko i z boków, ujrzał się zaskocz- onym z przodu. Kilkanaście rąk ciemnych, gru- bych sięgnęło ku jego piersi, rozgięło ramiona jego, które on zwarł był z całej siły, i targać go poczęło za przednią część odzieży. Wtedy podniósł on ku niebu wyiskrzonemu księżycowém światłem twarz śmiertelnie bladą i z głębi piersi krzyknął: „Adonai!”

W téj chwili uczuł u nóg swoich prześlizgujące się, szczupłe, zwinne ciało jakieś, a gorące czyjeś usta przylgnęły do jednéj z opuszczonych rąk jego długim pocałunkiem. Dziwnie odbić się musiał w sercu jego pocałunek ten, wmieszany w zadawane mu ciosy, — ten objaw miłości wśród wrzących do-

koła niego przekleństw i groźb. Ostatkiem sił odepchnął od siebie napastników i pochylił się ku ziemi, a zanim oni zdolali przyskoczyć znowu ku niemu i podnieść nań ręce, wyprostował się i w ramionach swych podniósł dziecię, którem zasłonił się, jak puklerzem, a ono przylgnęło piersią do piersi jego, oba ramiona zarzuciło mu na szyję i ku ludziom groźnie podnoszącym ręce zwróciło twarz zalaną rześnistymi łzami. I z za łez czarne, ogromne oczy dziecka patrzyły ze szczególnym, przejmującym wyrazem gniewu, połączonego z błaganiem i strachem.

— To moje dziecko! to mój Lejbele! nie czyńcie mu nic złego! — ozwał się z pośród tłumu jękliwy i trwogi pełen głos krawca Szmula.

— Rebe! — zawołało kilka grubych głosów do melameda, uwijającego się wciąż przed tłumem z kijem w rękę, — Rebe! on zasłonił się dzieckiem. Dziecko to bardzo go kocha!

— Odbierzcie mu dziecko to! wydrzyjcie mu przekłętę pisanie! — krzyczał Rebe.

Ale nie usłuchał go nikt. Szarpano jeszcze Meira z tyłu i z boków; kamień jeszcze jeden i drugi ugodził go w ramię i nad głową jego przeleciał: ale przed sobą ujrzał on już przejście wolne i kilku poskokami znalazł się na ganku rodzinnego domu, którego drzwi otworzył przed nim ktoś niewidzialny i wnet je za nim zamknął.

Meir postawił dziecię na ziemi w ciemnym kury-

tarzu, a sam wbiegł do bawialnej izby, w której, przy świetle lampy, palącej się przed kanapą, zastał zgromadzoną całą swą rodzinę. Wbiegł i stanął nie-ruchomo u ściany. Oddychał prędko, wodził dokoła mętnym wzrokiem i milczał. Milczeli też przez chwilę wszyscy obecni. Nigdy, odkąd ród Ezofowiczów istniał na świecie, żaden członek rodu tego nie wyglądał tak, jak wyglądał teraz blady i zdyszany młodzieniec ten, w odzieży opadającej zeń łachmanami, z głową osypaną prochem ulicy. Czoło jego, zroszone potem śmiertelnego zmęczenia, przerzynała ukośnie czerwona kresa, ślad chropowatego kamienia może, który się po nim przeslizgnął, albo, kto wie? ostrego narzędzia jakiegoś, które podnosiła nań ręka czyjaś w ciemnej sali Bet-ha-Midraszu! Miał on pozór ściganego przestępcy, miałby też pozór żebrzącego nędzarza, gdyby nie duma jakaś, która patrzyła z uznojonego i zranionego czoła jego, i nie gorący blask w oczach, w których, obok niewysłowionego bólu, malował się upór niepokonanej woli.

Saul zakrył twarz obu dłońmi. Kilka kobiet zaszclochało głośno; Rafał, Abram i inni dojrżeli członkowie rodziny podnieśli się z miejsc swych, rozplamieni, groźni, i jednym głosem zawołali: — Nieszczęsny! — Chcieli otoczyć go i mówić coś do niego, ale nie mieli czasu; rozwarły się bowiem z trzaskiem wielkim okiennice z zewnątrz zamknięte, zadzwoniły i w drobne odłamy posypały się szyby okien, kilka-

naście kamieni wpadło do izby, uderzając ze stukieniem w ściany i sprzęty, a za oknami zakipiała wrzawa namiętna, groźna, wśród której najgroźniejszy i najnamiętniejszy brzmiał gruby głos melameda. Dopominano się o Meira i o pisanie Seniora; łajano ród cały, domostwo to zamieszkujący; odgrążano się pomstą Boską i ludzką; krzyczano na znieważenie Zakonu i bluźnienie rzeczom dla Izraela świętym.

Ezofowiczowie stali jak przykuci do miejsc swych, strachem, żalem i wstydem zjęci.

Saul tylko odkrył twarz, wyprostował się dumnie i krokiem szybkim zmierzać zaczął ku drzwiom.

-- Tate! gdzie ty idziesz?—z przestraczem krzyknęli za nim mężczyźni i kobiety.

On wyciągnął ku oknom wskazujący palec i drżącymi ustami rzekł:

— Stanę na ganku domu mego i powiem głupiej zgrai téj, żeby milczała i szła precz!

Zastąpiono mu drogę. Kobiety opłotły ramionami kolana jego.

— Oni cię zabiją! -- jęczano.

Nagle, w jednej chwili, wrzawa umilkła i za oknami rozległ się tylko szept mnóstwem ust powtarzany.

-- Szamesz! szamesz! szamesz!

W istocie, z bramy synagogałnego dziedzińca wyszedł i przez plac ku domowi Ezofowiczów szybko posuwał się człowiek, który przed kilku minutami stróżował nieruchomo u drzwi, niemego jak grób,

Bet-Kaholu. Grób otworzył się snadź i wypowiedział słowa zapadłego wyroku, a sługa synagogałny śpieszył, aby ogłosić go obwinionemu i jego rodzinie. Ale i lud także brzmienia wyroku ciekawym był namiętnie. Dla tego uciszył się i stał, jak mur czarny, przyparty do okien, w których żadnej już prawie szyby nie było. I ci wszyscy także, którzy pozostali byli na synagogałnym dziedzińcu albo, rozsypani śród placu bezczynnie, przypatrywali się burzliwej scenie, złączyli się w jedną ogromną masę i zajęli znaczną przestrzeń przed domem Ezofowiczów. Drzwi domu tego otworzono znowu i wnet zamknięto. Szamesz wszedł do bawialnej izby.

Wszedł, niespokojne trochę i nieufne spojrzenie rzucił dokoła, a potem pokłonił się Saulowi.

— *Szołem alejchem!* — rzekł zeicha, jakby czuł sam, iż zwykle pozdrowienie to mieściło w sobie tym razem srogą ironię.

Nikt nie odpowiedział.

— Rebe Saulu! — zaczął znowu pewniejszym już nieco głosem, — nie miej za złe słudze swemu, że przynosi w dom twój nieszczęście i wstyd. Spełniam rozkazy wielkiego rabbina naszego i wszystkich dajonów i kahałnych naszych, którzy dziś na wnuka twego Meira sąd składali, a wyrok zapadły ogłosić mi kazali—jemu i wam wszystkim.

Słowem tym odpowiedziało znowu głębokie milczenie. Po chwili dopiero Saul, który stał wsparty o ramię syna swego Rafała, rzekł przyciszonym głosem:

— Czytaj!

Szamesz rozwinął papier, który trzymał w ręku, i donośnym głosem czytać, a raczej wyśpiewywać, zaczął:

„Izaak Todros, syn Barucha, rabbin Szybowski, wraz z dajonami i kahalnymi, trzymającymi sąd i rządy nad gminą Izraelską miasta Szybowa, przyjąwszy do wiadomości i mając to stwierdżonem przez mnogich świadków i przez dowody niepodlegające żadnemu wątpieniu, że silny, zuchwały i nieposłuszny Meir Ezofowicz, syn Benjamina, dopuścił się srogich przestępstw i nigdy niesłychanych w Izraelu zbrodni następujących:

1) iż pomieniony Meir, syn Benjamina, zaniedbywał strzedz sabbatu wedle praw i ustanowień Izraelskiego Zakonu, i zamiast oddawać się w dniu tym, jak prawemu Izraelicie przystoi, pobożnym czytaniom i rozpamiętywaniu niezliczonych przepisów Talmudu i niezgłębianych tajemnic Kabały, ośmielał się strzedz i bronić mieszkania odszczepieńcy Karaima, na dzieci Izraelskie w gniewie ręce podnosić, a w miejscach ustronnych przekłete księgi czytać i świeckie pieśni śpiewać;

2) iż Meir Ezofowicz, syn Benjamina, księgę przekłątą: More Nebuchim, Mojżesza Majmonidesa, fałszywego mędrca, wyklętego przez mnogich a świętych rabbinów i uczonych naszych, nie tylko sam czytał, ale do czytania i rozważania zawartych w niej

kacerstw i obrzydliwości towarzyszków i przyjaciół swych zachęcał;

3) iż Meir Ezofowicz, syn Benjamina, przed towarzyszami swymi i przyjaciółmi buntownicze mowy przeciw Zakonowi i mędrcom Izraelskim z ust swych wypuszczał, przez co dusze młodzieńców Izraelskich psuł i trądem niewiary zarażał;

4) iż, pod pozorem litości nad nędzą i utrapieniem ludu, dawał mu rady zbrodnicze i głupie, mówiąc, żeby baczyli na to, co kahalni czynią z odbieranemi od nich pieniędzmi, — żeby rozróżniali w Zakonie rzeczy Boskie od rzeczy ludzkich, — żeby rozsypali się po szerokich polach i prowadzili po nich plugi tak, jak to czynią ciemni i nizcy chłopci chrześcijańscy;

5) iż, mając już na twarzy swój i brodzie wyrosłe oddawna włosy, nie chciał pojąć sobie żony, sprzeciwiał się w tém woli i rozkazaniu starszych, a przyrzeczoną sobie dziewczynę Izraelską, Merę, córkę Elego, zuchwale odrzucił, przez co objawił wszeteczne swe postanowienie unikania prawych związków małżeńskich;

6) iż nieczystą przyjaźń trzymał z Gołą, Karaimką, wnuczką odszczepieńca, któremu rabbin Izaak i kahalni z wielkiego tylko miłosierdzia w domu ojców jego żyć pozwalają, albowiem Karaimi, jako dobrowolnie odpadli od łona Izraelowego, a świętości Talmudu i Kabały uznać niechcący, niegodni

są, aby ich ziemia na powierzchni swęj nosiła — Meir Ezofowicz, syn Benjamina, obcował często z nimi, z Gołą Karaimką w ustronnych miejscach schodził się, kwiaty z jęj rąk przyjmować śmiał i głos swój dawał za towarzysza jęj głosowi, razem z nią świeckie pieśni w sabbat śpiewając;

7) iż nie oddawał czci przynależnej uczonym Izraelskim, otwierał usta swe do zuchwałych sprzeczek z Reb-Moszem, ulubieńcem i uczniem rabбина Izaaka i na tegoż Reb-Mosza zbrodniczą rękę podnieść śmiał, tak, iż ręką tą popchnięty Reb-Mosze przewrócił się na podłogę Chederu, a na niego przewrócił się stół i powstały z tego wielkie szamotania się i stukania, dla Reb-Mosza strach i ból, a dla całego Izraela żalność i zgorszenie;

8) iż, w niepojętej złości swęj oskarżył on przed cudzym człowiekiem Rebe Jankła Kamionkera o zły względem tegoż cudzego człowieka zamiar, — przez co zerwał jedność i przymierze Izraelskiego ludu, i głowę brata swego srogiemu niebezpieczeństwu podał, które, ażeby odepchnąć od siebie, musi teraz Reb Jankiel wiele nieprzyjemności doświadczyć, trudów dokonać i pieniędzy utracić;

9) iż, nie znając granic dla zuchwałości i bezbożności swęj, wydobył pismo przodka swego Michała Seniora z ukrycia, — w którym oby było zgniło i rozsypało się w proch! — a nabrawszy do serca swego zbrodniczej śmiałości, przyszedł do Bet-ha-Midraszu,

aby pismo to w obliczu ludu całego czytać, a przez to trząść srodze wiarą jego w stare prawa i obyczaje Izraelskie; a że, jak nam o tém mówią świadkowie, których przyzwaliśmy, pismo to napelnione jest najzłośliwszemi radami i najsroższemi bluźnierstwami, jakie ucho Izraela słyszało kiedykolwiek — czytanie to, przez Meira, syna Ezofowicza dokonane, uważamy za największą zbrodnię z pomiędzy wszystkich wielkich zbrodni, których się on dopuścił, i na podstawie praw, w świętych księgach naszych zawartych, i władzy, która nam, wedle tychże praw, nad wszelkim synem domu Izraelowego udzieloną jest, stanowimy:

Jako jutro w wieczór rzuconą będzie na silnego, zuchwałego i nieposłusznego Meira Ezofowicza, syna Benjamina, ustami rabбина Izaaka, syna Borucha, wielka i przeraźliwa klątwa, dla wysłuchania której zwołanym będzie przez szameszów cały naród z miasta Szybowa i okolicy, a która, gdy na głowę jego spadnie, odtrąconym on zostanie od łona Izraelowego i z domu Izraela sromotnie wypchniętym. Wy zaś wszyscy, którzy trzymacie się waszego Boga i Zakonu Jego, żyjcie w pokoju i szczęśliwości wraz ze wszystkimi braćmi Izraelitami!”

Skończył czytać szamesz; papier, z którego czytał, w zanadrze włożył, schylił się niskim ukłonem i szybko izbę opuścił.

Nastąpiło parę minut grobowego milczenia, nieprzerwanego najlżejszym choćby szmerem ludu, któ-

ry, za oknami czarnym murem stojąc, grobowo też mileżał.

Nagle Meir, który stał dotąd nieruchomy, ze wzrokiem wlepionym w miejsce, na którym przed chwilą stał szamesz, podniósł w górę obie ręce, objął niemi swą głowę i krzyknął:

— Odtrącony od łona Izraelowego! z domu Izraela sromotnie wypchnięty!

Głos jego skończył w łkaniu ogromném, które pierś mu rozdarło. Gwałtownym ruchem odwrócił się od obecnych; twarz ukrył w dłoniach, czoło oparł o ścianę i płakał głośnym, namiętnym, rozdzierającym płaczem. Dość było usłyszeć jedno tylko z łkań jego, aby poznać, że ugodzonym został w samo serce, że rozwód ten, który czynić z nim miał lud jego, targał i rwał w nim najmocniejsze, najgłębsze struny uczucia.

Wtedy zbliżyli się doń stryjowie jego, żony ich i córki, i różnemi głosy — gniewu i litości, groźby i prośby — wołać nań zaczęli, aby upamiętał się, upokorzył, pismo Seniora na publiczne spalenie oddał: a może prześląganym zostanie gniew starszyny, i wyrok, wydany przez nią, odwołanym. Cisnęli się ku niemu mężczyźni, kobiety obejmowały go ramionami, a do łajañ i wyrzekañ mieszały się pocałunki.

On nie przestawał płakać, nie odwracał twarzy i nie odrywał czoła od ściany, a na rozlegające się

dokoła krzyki i prośby odpowiadał tylko przeczącem wstrząsaniem głową i krótkim wyrazem:

— Nie! nie! nie!

Wyraz ten, pośpiesznie wyrzucony z ust dławionych łkaniem, wymowniejszym był nad wszelkie długie mowy, bo przechodził wszelkie możliwe intonacje ludzkiego głosu: rozpacz, żalości, gniewu, błagania i miłości.

— Tate! — zawołał Rafał, zwracając się do Saula, który, odosobniony i nieruchomy, siedział na stolku, — tate! dla czego ty nie powiesz jemu, dla czego ty nie rozkażesz jemu, aby upokorzył się i upamiętał, nieszczęsne to pisanie w ręce nasze oddał, a my je rabbinowi zaniesiemy i o zlitowanie nad nim prosić będziemy!...

Kiedy Rafał to mówił, Meir odkrył twarz i zwrócił ją ku dziadowi.

Saul podniósł też głowę, wyciągnął ręce, jakby szukał przed sobą punktu oparcia się jakiegoś, i powstał ze stolka. Szklisty dotąd wzrok jego stał się dziwnie ruchliwym i niespokojnym, aż spotkał się z utkwionem w twarz jego spojrzeniem wnuka. Otworzył usta, ale nic nie powiedział.

— Mów, tate, mów! rozkazuj mu! — wołało głosów kilka.

Starzec zachwiał się na nogach. Okropna walka jakaś, srogie wahanie się ducha, pociągane w dwa przeciwne kierunki, odbiły się na drgającej jego twa-

rzy. Kilka razy próbował przemówić... nie mógł... aż nakoniec ciężkim szeptem zawołał:

— On jeszcze nie wyklęty... mnie jeszcze wolno... W imię Boga Abrahama, Izaaka i Jakóba błogosławię cię, synu syna mego!..

I drżący cały, z brwiami zjeżonemi, a oczyma pełnemi łez, osunął się na stołek.

Obecni zamienili się spojrzzeniami, pełnemi zdumienia i uszanowania; Meir poskoczył, upadł na ziemię przed dziadem swym stopy i kolana jego całował, i śpiesznie, gorąco, cicho szeptał mu coś o miłości swój dla niego, o pisaniu Seniora, o tém, że pójdzie sobie ztąd i że wróci kiedyś... Podniósł się potem z klęczek i wybiegł z izby.

W téj chwili przed oknami domostwa nie było już nikogo. Czarna massa ludu odpłynęła na środek placu i stała tam nieruchoma prawie i zeicha tylko, zeicha szemrzająca. Dziwna rzecz! Zaledwie szamesz odczytał słowa srogiego wyroku, gdy fala gniewu, niemal wściekłego, wzdymająca dotąd pierś tłumu, opadła nagle. Coś się w nim stało. Natura jego, wrażliwa i gotowa zawsze, nakształt harfy mnogostrunnój, odpowiedzieć dźwiękiem na dotknięcie każde, drgnęła pod spadłem na nią nowém jakimś uczuciem. Byłoż to uszanowanie dla nieszczęścia i wstydu, które nawiedzały rodzinę starożytną, mozną a dobroczynną? Byłaż to spokojność, następu-

„Jaka po nasyceniu się pomstą? groza, czy litość, czy wszystko to razem?

Thum, który przed chwilą kipiał cały, przeklinał, groził i gotów był burzyć wszystko, co gniewowi jego na drodze stawało, umilkł nagle, usunął się i posmutniał. Tu i owdzie tylko dawały się słyszeć śmiechy mściwej radości, albo słowa obelgi i potępienia, lecz w grupach, rozsianych po placu i schodzących w boczne uliczki, płynęły ciche, oderwane szepty:

— „Jednak... dobry on był i miłosierny...”

— „On dumny nie był...”

— „On głupie dziecko moje karmił i całował...”

— „On starego ojca mego z pod woza, który na niego przewrócił się, rękoma swemi wydobył...”

— „On nam, jak prosty robotnik, drzewo piłować pomagał...”

— „Twarz jego świeciła pięknnością i rozumem...”

— „I cieszyły się wszystkie oczy, które na młodość jego patrzyły...”

„*Herem! herem! herem!*” — powtórzyło ust mnóstwo. Przytęm głowy kołysały się w podziwieniu, twarze bladły od grozy, a z piersi wychodziły westchnienia...

*

*

*

Na pustych gruntach, oddzielających miasteczko od karaimskiego wzgórza, po srebrnym tle księżycy-

wego światła mknęły szybko cienie trzech ludzkich postaci. Pierwszy z nich należał do wysokiego, kształtnego młodzieńca, drugi do dziecka, trzymającego ręce w rękawach odzieży; — dwa cienie te znajdowały się tak blisko siebie, że łączyły się z sobą niekiedy; — ale cień trzeci, rysujący kształty człowieka niskiego i krępego, sunął się zdala od dwóch pierwszych, przystawał, garbił się, a chwilami znikał całkiem za płotem jakimś, krzakiem, lub drzewem. Przystawanie to i ukrywanie się objawiało ostrożność człowieka, który spostrzeżonym być nie chciał. Podpatrywanie to było jakieś, podsłuchiwanie, czyhanie na coś, lub na kogoś...

U otwartego okna karaimskiej chaty rozległo się ciche wołanie:

— Gołda! Gołda!

Z okna wychyliła się twarz, ubielona księżycem otoczona strugą czarnych włosów. W cichém powietrzu zabrzmiał szept namiętny:

— Meir! Meir! ja wielką wrzawę i okropne krzyki słyszałam! Serce moje drżało od strachu. Ale to nic! ty przyszedłeś!

Dwoje ramion, okrytych rękawami grubiej koszuli, wyciągało się ku nadchodzącemu gościem trwogi i radości; korale dzwoniły na piersi, w której łkanie mieszało się ze śmiechem.

Nagle z ust dziewczyny wyrwał się krzyk przęciągły.

Meir stanął teraz tuż przed nią. Zobaczyła odzież jego podartą i krwawą kresę, przerynącą mu czoło.

— Och! — jęknęła z głębi piersi i ręce obie podniosła ku swemu czołu, a potem opuściła je i, schylona ku człowiekowi, który usiadł pod oknem na ławie, z powstrzymywanym oddechem i urywanym, śpiesznym szeptem jakimś, wodzie poczęła dłońmi po opylonych włosach jego i zranioném czole. W namiętnój pieszczocie téj było także coś z uczucia matczyńskiego, pragnącego uspokajać, goić i pocieszać.

On siedział chwilę w postaci człowieka, który spoczywa po śmiertelném znużeniu. Oparł głowę o ramę okna, wpółotwartemi usty z trudnością wciągał w pierś powietrze chłodnej nocy, a światło księżyca odbijało się w suchych źrenicach jego, które, z wyrazem posępnych pytań jakichś, utkwily w osrebrzonych obłokach.¹

Po chwili wyprostował się i śpiesznie, półgłosem, mówić zaczął:

— Gołda! ludzie szukać mnie może będą, a jak znajdą, to skarb mój ode mnie odbiorą. Ja skarb ten mój tobie, Gołdo, dam do schowania, a sam na całą noc pójdę w pola i lasy, aby tam głośno do Jehowy krzyczeć o zlitowanie.

Dziewczyna, która stała teraz wyprostowana już, poważna i uważna, odpowiedziała:

— Daj!

W rękę Meira zaszeleściły arkusze papieru. Po-
dawał je dziewczynie, mówiąc:

— Schowaj ty to na pierś swoją i strzeż skarbu
mego, jak żrenicy swojej. To przedśmiertne pisanie
przodka mego, które zdjęło do reszty ślepotę z oczu
moich. To paszport mój, z którym ja pójdę w świat,
i który przede mną drzwi i serca mądrych ludzi otwo-
rzy. Tu cicho i bezpiecznie... nikt nie widzi i nie do-
myśli się... Jak ja w świat iść będę, wtedy pisanie to
od ciebie wezmę...

Gołda wzięła podany jej przedmiot.

— Bądź ty spokojny o skarb swój! — odrzekła. —
Prędzej ja rozstanę się z życiem, zanim go w ręce
inne, niż w twoje, oddam. U mnie on bezpieczny...
tu cicho i nikt nie domyśli się...

Meir wstał z ławy.

— Śpij spokojnie! — rzekł. — Ja pójdę... we
mnie szumi taka burza płaczu... że muszę iść... iść...
iść... Pójdę... pomiędzy drzewami leśnemi twarzą
na ziemię padnę i z wiatrami, które tam szumią, po-
syłać będę Jehowie głośnie krzyki moje... Ja muszę
przed nim skarżyć się... muszę Jego błagać... muszę
o wiele rzeczy Jego zapytać się... Pełną jest pierś
moja krzyków mojej duszy... ja muszę je z siebie
wydać... bo one za gardło mię chwytają i duszą.

Chciał odejść, ale Gołda pochwyciła go za rękaw
odzieży.

— Meir! — zaszeptała — powiedz ty mi jeszcze...

co tam stało się?... za co ciebie ludzie bili i kaleczyli?... Dla czego ty w świat musisz iść?

Meir z pośępnym błyskiem oczu odpowiedział:

— Bili mię i kaleczyli ludzie za to, że ja przeciw prawdzie mojej iść nie chciałem i na wszystko, na co lud mówi: zgoda! nie mówiłem: zgoda! W świat iść muszę dla tego, że jutro rzuconą na mnie będzie wielka i przeraźliwa klątwa i sromotnie wypchniętym będę z domu Izraelowego!

— *Herem!* — krzyknęła dziewczyna i splecione ręce swe giestem zgrozy na głowę swą zarzuciła. Tak stała chwilę; potem jednak zamyślony, lecz łagodny uśmiech rozlał się po jej twarzy.

— Meir! — szepnęła — zejde mój wyklęty jest... i ja wyklęta... ale miłosierdzie Pana większe jest, niż największa groza, a sprawiedliwość Jego głębsza od najgłębszego morza. Tak stoi w Piśmie. Kiedy zejde mój to czyta, przestaje smucić się i mówi: Przeklęty szczęśliwszym jest od przeklinającego... bo przyjdzie czas, że sprawiedliwość Pańska wstąpi w serca ludzi, i błogosławić oni będą imiona przeklętych...

Meir patrzył długo na dziewczynę, mówiącą słowa te z ogniem zapалу w zapadłych oczach, z twarzą jaśniejącą blaskiem natchnienia.

— Gołdo! — rzekł zeicha — ty jesteś połową duszy mojej... idź ze mną w świat... Ja cię za żonę pojme i, trzymając się za ręce, będziemy razem znosili

przekleństwo ludzkie i starali się, żeby kiedyś na imiona nasze spłynęło błogosławieństwo.

Gołda stanęła cała w ogniu i w promieniach uszczęśliwienia niewysłowionego.

— O! Meir! — krzyknęła. Chciała jeszcze coś powiedzieć — nie mogła. W radości bezprzytomnej, z piersią drżącą płaczem, śmiechem, westchnieniami i niewymawianymi dziękczynieniami, pochyliła się nisko i całą wysmukłą, giętką kibicią swą zawisła na jego ramieniu.

On szyję jej objął, głowę przycisnął do piersi i usta zatopił w jedwabistym gąszczu jej włosów...

Była to chwila... mgnienie oka. Dziewczyna wyprostowała się szybko i, oblana szkarłatem, z ustami drżącymi i piersią dyszącą, wymówiła zcicha:

— A zejde?

Meir patrzył na nią, jak człowiek nagle zbudzony ze snu. Ona szeptała dalej:

— Nogi jego za słabe są, ażeby mógł on pójść z nami i, on od grobów ojców swoich odejść nie chce! a jak ja jego porzucę? jak on będzie mógł żyć beze mnie? On mnie na ręku swych kołysał, prząść i czytać w Biblii uczył, on duszę moję oświecał i serce radował temi pięknymi historyjami, które opowiadał mi ciągle... ciągle... Jeżeli odejdę, któż usta jego karmić i poić będzie? Kto w ciemne, zimowe noce położy się u nóg jego, aby ciałem swém zziębłe stopy jego ogrzewać? A kiedy dusza jego

rozwód brać będzie z ciałem, kto na rękę swych siwą głowę jego zakołysze do snu wiecznego? Meir! Meir! I ty masz dziada, którego włosy białe są jako śnieg, i który po tobie szaty swe rozedrze. Ale twój zejde ma synów i córki, synowe i zięciów, wnuków i prawnuków, domostwo bogate i wielkie znaczenie u ludzi... Mój zejde na świecie całym ma tylko biedną chatę swoją, starą Biblią i wnuczkę swą, Gołdę...

Meir westchnął.

— Ty prawdę mówisz, Gołdo — rzekł — ale cóż ty uczynisz? co z tobą stanie się, kiedy oczy dziada twego zamkną się do snu wiecznego, a ty zostaniesz tu sama jedna, pośród wzgardy ludzkiej i ubóstwa swego?

Gołda usiadła, bo nogi drżały pod nią. Obu dłońmi powiodła po rozpalonej twarzy, a po chwili, z oczyma wzniesionemi w górę, odpowiedziała:

— Przed drzwiami chaty tej usiedę, prząść wełnę i kozy moje paść będę i patrzeć na drogę tę, którą ty kiedyś powrócisz...

Był to ustęp z historyi Akiby i pięknej Racheli.

Meir w rozmarzonej zadumie zapytał jeszcze:

— A jakże ty zrobisz, kiedy ludzie przyjdą, śmiać się z ciebie będą i powiedzą: Akiba pije u źródła mądrości, a twoje ciało pożera nędza i oczy twoje gasną od łez?

Przytłumiony namiętném wzruszeniem, lecz poważny, głos odpowiedział:

— Ja im odpowiem: Niech ciało moje pożera nędzą, a oczy wypływają ze łzami: ja wiary mężowi memu strzedz będę... I żeby stanął on teraz przede mną i rzekł: Wróciłem, bo nie chciałem, żebyś płakała dłużej, ale ze źródła mądrości mało jeszcze piłem! — powiedziałabym mu: Idź i pij jeszcze!

Meir wstał. Nie rozpacz już, ale siła i odwaga malowały się na twarzy i w postawie jego.

— Ja wrócę, Rachelo! — zawołał — Jehowa ujmie się za mną, i podadzą mi rękę pomocy ludzie, którym pokażę serce moje, spragnione poznania, i pisanie przodka mego, które zareczya lud Izraelski z innymi ludami przymierzem zgody... Ja długo, długo chciwie pić będę ze źródła mądrości, a potem tu powrócę, biedny lud mój nauczać będę, a na twoją głowę, za wszystką nędzę i wzgardę, którą ty dla mnie przeniesiesz, złotą koronę włożę...

Gołda wstrząsnęła głową. Z twarzy jej można było poznać, że czuła się ogarniętą jakby snem cudownym. Śniło się jej, że była piękną Rachelą, witającą z długiej podróży męża swego, Akibę. Z mierzającym uśmiechem na ustach, a ogniem namiętnym w oczach, szepnęła:

— Ja wtedy kolana twoje obejmę i oczyma, które znowu tak pięknemi staną się, jak przed wielu laty,

w światłość twoję spojrzę i powiem: Mistrzu! chwała twoja jest moja koroną!

Patrzali na siebie długo przez łyzy. Miłość, gorejąca na dnie ich źrenic, wyglądała z za srebrzystej powłoki tak czystą i bohaterską, jak czystymi i bohaterskimi były ich serca.

Wtém o uszy ich obił się przyciszony, dźwięczny jednak, śmiech dziecięcy. Zdziwieni, spojrzeli oboje w stronę, w której zabrzmiał. Na progu otwartych drzwi chaty siedział Lejbele i trzymał w objęciu małe, białe jak śnieg, koźlę. Koźlę to było kupione na targu za pieniądze, zebrane przez Gołdę ze sprzedaży kozy. Ujrzało je dziecko w głębi sionki oświetlonej księżycem, wzięło w ramiona, wyniosło na próg chaty, a teraz, tuląc twarz swą do miękkiej jego sierści, śmiało się swawolnie i żartobliwie.

— Dziecko to zawsze przychodzi tu za tobą — rzekła Gołda.

— Ono dziś całowało mnie, kiedy wszyscy mnie bili, i ja niém od rąk silnych skarb mój zasłoniłem — odpowiedział Meir.

Gołda zniknęła z okna i wnet zjawiała się w progu chaty. Pochyliła się nad dzieckiem tak, że rozplecione jęj włosy spłynęły mu na głowę i ramiona; przytém ustami przylgnęła do czoła jego. Lejbele nie przeląkł się wcale; czuł się tu snadź bezpiecznym. Widział już nieraz tę kobietę, której ogniste oczy wpatrywały się teraz w twarz jego z wyra-

zem niewysłowionej słodyczy. Podniósł na nią spojrzenie jasne, wdzięczne, pojętne prawie.

— Pozwól mi pobawić się z koźlęciem — szepnął.

— Czy chcesz mleka? — zapytała.

— Chcę — odpowiedział — daj!

Wyniosła z sionki gliniany kubek, napełniony mlekiem, i sama poila niem dziecko. Potém usiadła przy niem na progu i zapytała:

— Dla czego ty porzucasz ojca i matkę, a idziesz za Meirem?

Dziecię zakłósało głową i odpowiedziało:

— On lepszy, niż tatele, i lepszy, niż mamele. On mnie karmił i po głowie mnie gładził, i z rąk Reb Mosza mnie wyrwał...

— Czyj ty syn? — zapytała Gołda.

Lejbele milczał chwilę; podnosił w górę oczy i kołysał głową. Widoczném było, że bił się z nieposłuszną, bo zgnębioną swą myślą. Nagle wyciągnął palec w kierunku, w którym oddalał się Meir, i głośno zawołał:

— Jegol...

Zaśmiał się przytém, ale nie był to śmiech idyoty. Był to objaw radości, którą uczuła biedna dusza dziecięca, gdy z wysileniem wielkiém udało się jój ująć w wyraz miłość swą i gorące swe, lubo nieokreślone, żądanie.

Ale Gołda spojrzała w stronę, w którą poszedł

Meir, i westchnęła ciężko. Wstała potem, owinęła się starą jakąś chustą i, wstąpiwszy ku połowie wzgórza, usiadła pod karłowato rosnącą tam sośniną. Chciała może z wysokości tej objąć okiem szerszą przestrzeń i ujrzeć go, jak powracać będzie z dalekich pól i lasów. Oparła łokcie na kolanach, twarz zakryła dłońmi i siedziała tak nieruchoma, jak posąg smutku, a tylko po kruczych włosach jej, które ogromnym płaszczem zakryły ją całą i spłynęły aż na wilgotną trawę, księżyc rozsypywał miliony ruchliwych iskier.

W drzwiach chaty Lejbele usnął wkrótce, w śnie jeszcze trzymając przy piersi białe kozłę, które spało także.

* * *

W tej samej prawie chwili otwierały się zcicha niskie drzwi chaty rabбина i wchodził przez nie Reb Mosze, przygarbiony, zawstydzony, znękany. Przyśiadł na ziemi u komina i lękliwie patrzył na Todroś, który, siedząc u otwartego okna, opierał twarz na obu dłoniach, a wzrok wlepił w księżyc.

— Rabbi! — szepnął nieśmiało.

— Rabbi! — powtórzył głośniejsz nieco — sługa twój winien jest w oczach twoich... obrzydliwego pisania nie przynosi on tobie, Rabbi! Burza była sroga, ale bronili go przyjaciele jego, potem on sam

bronił się, a potem obroniło go małe dziecko... Głupi lud szarpał go, bił, łajał i kamienował, ale pisanie obrzydliwego z rąk mu nie wydarł. Nassi! sługa twój pełen wstydu jest i bojaźni, ale ty zlituj się nad nim i nie karz go piorunem wzroku swego...

Todros, nie spuszczać wzroku podniesionego ku księżycowi, wyrzekł:

— Pisanie to trzeba z rąk jego wydrzeć i w moje ręce oddać.

— Nassi! pisanie to nie jest już w ręku jego! ..

— A gdzie ono jest? — nie odwracając twarzy, lecz podniesionym głosem zawołał Todros.

— Rabbi! ja przed obliczem twoim nie śmiałybym stanąć, gdybym nie wiedział co z nim stało się... Ja szedłem za nim... cała dusza moja weszła w oczy i uszy moje... ja widziałem, jak on pisanie to karaïmskiej dziewczynie do schowania dawał i słyszałem, jak on je skarbem swoim nazywał... On mówił, że to paszport jest, z którym on w świat pójdzie i który przed nim serca ludzkie otwierać będzie...

Todros drgnął.

— To jest prawda! to jest prawda! — zaszeptał gwałtownie. — Pisanie to będzie mu tarczą i orężem, o które stępią się narzędzia pomsty naszój... — Mo-sze! — dodał podniesionym głosem — obrzydliwość tę trzeba z rąk karaïmskiej dziewczyny wydrzeć...

Melamed przypełził do samych kolan mistrza i, podnosząc ku niemu twarz, wyrzekł zeicha:

— Rabbi! dziewczyna ta powiedziała, że prędej pozwoli sobie wydrzeć życie, niż to pisanie...

Todros milczał chwilę, potem wymówił:

— Pisanie to trzeba z rąk jój wydrzeć...

Mełamed długo milczał i myślał.

— Rabbi! — ozwał się potem cichym bardzo szeptem — a jeżeli jój co bardzo złego stanie się?

Todros nie odpowiadał chwilę, potem rzekł:

— Błogosławiona ręka, która z domu Izraelowego wymiata śmiecie...

Mełamed chciwie pochwycił krótkie te wyrazy i długo wyrozumiewał tajemny sens ich. Uśmiechnął się.

— Rabbi! — rzekł — już rozumiem wolę twoję... spuść się na sługę swego... on znajdzie ludzi, których ręce uzbrojone będą w siłę, a serca w niewzruszoność... Rabbi! — dodał błagalnie — spuść ty na głowę moję łagodny promień twego oka... niech ja widzę, że gniew na sługę twego dalekim jest od ciebie... Dusza moja bez łaski i miłości twojej jest jako studnia bez wody, albo ciemnica, nad którą nie świeci słońce.

Todros odpowiedział:

— Łagodny promień nie postanie w oczach moich, ani gniew i smutek z serca mego nie wyjdą, dopóki obrzydliwe pisanie to będzie w ręku przeklętych...

Mosze jęknął.

— Rabbi! pisanie to jutro w nocy będzie w ręku twoich!

Księżyc oświecał obie twarze ludzi tych, z których jeden patrzył w niebo, a drugi w oblicze mistrza swego. Mistrz gorejącym wzrokiem szukał po niebie smug świetlistych, które oznaczają drogi aniołów, wiodących gwiazdy w wiecznej ich po przestrzeniach podróży; uczeń — odbicia nadprzyrodzonych światła tych szukał w źrenicach mistrza.

W obu głowach tych szumiało imię anioła śmierci, którego na pomoc sobie wzywali — a piersi obu jednak pełne były miłości i uwielbienia bez granic.

IX.

Wzruszenie nadzwyczajne panowało wśród ludności miasteczka. Ze wszystkich stron, gromadami lub sznurem, ciągnęli ludzie ku wielkiej brunatnej świątyni, pod której, trzypiętrowym, omszonym dachem, w oknach, podobnych do starożytnych strzelnic, błyskać poczynaly długie i wąskie smugi światła. Na niebie występowały téż gwiazdy, ale bladły przed świetnym blaskiem wschodzącego w pełni księżyca.

Wnętrze świątyni było salą ogromną, pomieścić w sobie mogącą kilkotysięczną ludność, a wysokością swą dorównywającą budowie o dwu wielkich piętrach. Ściany jej, zakreślające prawidłowy czworogran, gładkie zupełnie i białe jak śnieg, przerzytnała tylko u góry ciężka galeryja, o głębokich sklepionych niszach, tworzących rodzaj łóż, osłoniętych przezroczystą, lecz wysoką baryerą. W dole ławy drewniane stały gęsto jedna za drugą, od drzwi

wchodowych aż ku miejscu wyniesionemu nad poziom o kilka stopni i otoczonemu téż drewnianą, ozdobną baryerą. Na wyniesieniu tém był stół, przeznaczony do rozwijania olbrzymiego arkusza Tory (pięcioksięgu) w dniach, w których ustępy z niej obrządek nakazywał czytać ludowi; służyło ono za kazalnice, z której w dni uroczyste rozlegały się religijne mowy i nauki; na niém stawały téż chóry, złożone z dorastających dzieci i dorosłych młodzieńców, łączących głosy swe z głosem kantora, intonującego modlitwy. Wzniesienie to kilkunastu krokami tylko oddaloném było od głównego punktu świątyni, punktu, który uderzał powagą kształtów i świetnością barw, a był ołtarzem — jeżeli nazwy téj użyć można dla miejsca takiego, w którym przechowują się świętości nad świętościami, i które ściąga ku sobie najnabożniejsze spojrzenia i westchnienia wiernych. Szczyt ołtarza tego sięgał sufitu, a złożony był z dwu ogromnych tablic, których tło, z najczystszej lazuru, zakreślone było zgłoskami białemi, krętymi, podobnemi zdala do sznurów arabesków wschodnich o bogatym i fantastycznym rysunku, a w których oko umiejętnie wyczytywało dziesięć przykazań Synajskich. Lazurowe tablice, okryte białem, krętym pismem, dzwigane były przez dwa lwy z połączanego bronzu, które, w ogromnych rozmiarach i wspaniałych postawach siedziały na dwu grubych, ciężkich słupach, jaśniejących najjaskrawszym szafirem, owiniętych śnieżnemi

i misternie rzeźbionemi wieńcami z liści i gron winnych, a wspierających się mocno o kamienną podstawę, której szeroka powierzchnia zakreślona była aż do samej już ziemi mnogimi ustępami Pisma. Słupy owe, naksztalt potężnych i silnych strażników, stały z dwu stron głębokiej niszy, osłoniętej od góry do dołu oponą ze szkarłatnego jedwabiu, ozdobionego złotemi haftowaniami, z bogactwem olśniewającym oko. Za oponą tą, spuszczoną zazwyczaj, a podnoszącą się w odpowiednich tylko okolicznościach, chroniła się świętość nad świętościami, Tora, — olbrzymi zwój pergaminu, owinięty cenną materyą, a związany wstęgą ciężką i sztywną od haftów srebrnych i złotych.

Z szarego i mizernego pozoru miasteczka wnosząc, nikt nie mógłby domyślić się wspaniałości obrazu, jaki przedstawiało wnętrze starożytniej, przez wieki pobożnie przyozdabianej, świątyni tej, w chwili, gdy w dość późnej wieczornej godzinie zapłonęła ona całą oświeceniem rześistém i po brzegi napełniła się ludem.

Siedm świeczników stupłomiennych, spuszczać się od sufitu na szczero-srebrnych sznurach, rzucało powódź światła w sklepiste głębie galeryi; z za jęj krat przezroczystych wyglądała prawdziwa mozaika twarzy i szat niewieścich i na gęste rzędy ustawionych poniżej ław, które obsiadawali mężowie dojrzali, brodaci, okryci cali miękką, wełniastą draperią białych opon. Skraje tych *tałasów*, na wieczny

jakby i rozrzewniający znak żałoby po utraconej niegdyś ojczyźnie, otoczone były czarnemi szlakami; tu i owdzie zaś u szczytów bogaczy i dostojników gminy połyskiwały szerokie taśmy srebrne o wydatnych, liściastych deseniach. Lecz największy ze świeczników pałał i bogatemi wisiorami od chwili do chwili srebrzyscie dzwonił przed niszą, zamkniętą pomiędzy dwoma potężnemi słupami. Tam iskrzyły się złote hafty i frendzle szkarłatnej opony; z pod stóp wspinających lwów sypać się zdawały delikatne liście i ciężkie grona winne; tam, u samej góry, wydatnie od lazurowego tła odstawały białe szlaki krętych zgłosek; w dole zaś, przed ciosową podstawą, pełną napisów, ciągnących się nierównymi liniami, stał kantor, i, z głową okrytą białym kapturem tałesu, śpiewał te stare psalmy, których bezbrzeżna, zda się, melodia płynie pełną gammą ludzkich zachwyty, uwielbień, pragnień, błagań i mąk.

Nigdy jednak prześliczny głos Eliezera nie wypowiedział wszystkich uczuć tych z taką siłą i wyrazistością, jak tego wieczora; nigdy nie miał on takich wybuchów potężnych, takiego uroczystego brzmienia i takich drzeń głębokich, łkających, które, opadając i cichnąc stopniowo, zdawały się tonąć i kończyć w morzu bezbrzeżnej jakiegś bólesci czy prośby. Zdawać się mogło, że wieczora tego w pierś jego weszła nadludzka prawie siła skargi i błagania, że u ramion wyrastały mu skrzydła, na których usiłował wznieść

się aż do samych stóp Pana nad pany, aby tam ciało i duszę swoją złożyć w ofierze za zbawienie czegoś lub kogoś. Olbrzymia sala, od brzegu do brzegu i od szczytu do podstaw, pełną była brzmień, płynących z piersi jego nieprzerwanym strumieniem; chóry, stojące na wyniesieniu, rzucały w nie od chwili do chwili potężne akkordy; a zgromadzenie całe, porwane rozkoszą zachwytu, mileżało grobowo, z oczyma wlepionemi w wyiskrzoną złotem szkarłatną oponę. Ten i ów tylko, wskazując głową zachwyconego i zachwycającego piewce, szeptał: — To jest anioł Sandalfon, który podaje Panu wience, splecione ze wszystkich modlitw ludzkich. — Ten i ów także smutnie wstrząsał głową i wzdychał: — On tak modli się za przyjaciela swego, którego głowę wykląć dziś mają!...

Nagle w cudowny śpiew kantora i uroczyste milczenie ludu wmieszał się stuk głuchy, lecz silny i powtarzający się kilka razy. Głos Eliezera zerwał się jak złota struna, targnięta grubiańską ręką; oczy ludu przeniosły się z ołtarza ku miejscu, w którym rozlegały się gwałtowne stukania.

Z wyniesienia, otoczonego drewnianą baryerą, zniknął chór młodych śpiewaków, a na miejscu ich stał jeden tylko człowiek, szczupły, przygarbiony, z długą, żółtą szyją, podaną naprzód, z ciemną twarzą, obrosłą czarnym, jak noc, włosem i posępnie rozświeconą gorejącemi, jak żuźle, oczyma. Trzymał on w obu rękach ogromną księgę i z całej siły ude-

uderzał nią o stół, dając przez to rozkaz powszechnego milczenia. Milczenie téż zupełne zapanowało w całej sali, a tylko w przedsionku słychać było szmery jakieś i stłumione wykrzyki. Tam gromadka kilkudziesięciu ludzi różnego wieku i stanu otaczała człowieka, który z twarzą bardzo bladą, zaciśniętymi usty i suchém palącym się okiem, stał, ramieniem wsparty o odrzwia świątyni. Był to Meir. W uszach jego rozlegały się szepty:

„Jeszcze pora! jeszcze czas! zlituj się nad sobą i nad familią swoją! upokórz się! biegnij prędko, prędko i padnij do nóg rabina! *O herem! herem! herem!*“

On zdawał się nie słyszeć. Silnie zwarł na piersi ramiona. Ściągnięte brwi nadawały czołu jego, przerzniętemu czerwoną kresą, wyraz ponurój boleści i niezłomnej woli.

„W imię Boga ojców naszych!“ — zabrzmiał basowy a silny głos Izaaka Todrosa.

Po zgromadzeniu całém rozległ się szmer przytłumiony, dreszcz niby, przebiegający całe zbiorowe ciało to, — i wnet skonał w ciszy głębokiéj.

Izaak Todros zwolna, wyraźnie, oddzielając wyraz od wyrazu, mówić zaczął:

„Siłą i potęgą świata, w imię świętego Zakonu naszego i 613-stu praw, w Zakonie tym zawartych, *heremem*, którym Jozue Nawin przeklął miasto Jerychon, przekleństwem, którem Elizeusz przeklął prześladowającego chłopięta, *szamtą*, która używaną była

przez wielkie sanhedryny i sobory nasze, wszystkimi *heremami*, przekleństwami, wypędzaniem i unicestwianiami, które używane były od czasów Mojżesza, aż po dzisiejszy dzień, — imię Boga Przedwiecznego, Pana świata i twórcy wspaniałości jego, w imię Matatrona, który jest aniołem stróżem i obrońcą Izraela, w imię anioła Sandalfona, który z modlitw ludzkich splata wieńce dla tronu Pańskiego, — w imię archanioła Michała, potężnego wodza wojsk niebieskich, — w imię aniołów ognia, wichru i błyskawic, siłą imion wszystkich aniołów, prowadzących gwiazdy i jeżdżących na niebieskich rydwanach, i wszystkich archaniołów, rozwijających skrzydła swe nad tronem Wszechpotężnego, — Imieniem tém, które ukazało się Mojżeszowi w krzaku ognistym — i tém, którém Mojżesz rozdzielił wody na dwie połowy, Imieniem ręki, która nakreśliła tablice świętego prawa... niszczymy, wypędzamy, hańbimy, unicestwiamy i przeklinamy silnego, zuchwałego i nieposłusznego Meira Ezofowicza, syna Benjaminowego..:

Zatrzymał się na chwilę i gwałtownym ruchem podniósł ręce nad głowę. Potém, wśród ciszy takiej, że słyszonym byłby wśród niej szelest przelatującej muchy, coraz śpieszniej, i coraz bardziej śpiewnym i zanoszącym się głosem mówić, a raczej wołać, zaczął:

„Przeklętym niech będzie on przez Boga Izraelowego! Przeklętym niech będzie on przez silnego

i strasznego Boga, którego imię z trwogą wygłaszają ludzie w dniu Sądny! Przeklętym niech będzie on przez niebo i ziemię! Przeklętym niech będzie on przez Matatrona, Sandalfona, Michała, archaniołów, aniołów i wszystkich mieszkańców nieba! Przeklętym niech będzie on przez wszystkich czystych i świętych, służących Bogu! Przeklętym niech będzie on przez każdą siłę wyższą na ziemi i niebie! Boże Stwórco! wytęp i zniszcz go na wieki! Boże Podnosiicielu! upokórz go! Gniew twój, Boże! niech rozpiorunuje się nad głową jego! Szatani niech idą na jego spotkanie! Złorzeczenia i jęki niech otaczają go wszędzie, gdzie się tylko obróci! Własnym mieczem niech on pierś swą przeszyje i niech skruszą się wszystkie strzały jego, a anioły Boże niech gnają go wciąż z miejsca na miejsce, aby nigdzie na spoczynek nie stanęła stopa jego! Drogi jego niech będą niebezpieczne i okryte grubą ciemnością, a wśród nich towarzyszką niech mu będzie rozpacz nadzwyczajna! Niech smutki i nieszczęścia trapią go ciągle, a on niech własnemi oczyma patrzy na uderzające weń ciosy i nasycy się ogniem Bożego gniewu! Niech nie przebaczy mu pan! Przeciwnie! Gniew i pomsta Boża niech spłyną na człowieka tego, wpiją się weń i przenikną go aż do szpiku kości! Przekleństwem tém jako szatą niech owinie się on cały, ażeby zniknął z przed oblicza światłości, a imię jego, aby startém zostało z pod niebieskiej przestrzeni!“

Tu Todros umilkł na chwilę, zaczerpnął powietrza w pierś zmęczoną krzykami, które stawaly się coraz bardziej urywanemi, głuchemi i ciężkiemi. Twarz miał w ogniu całą, a ręce jego gwałtownemi ruchy miotaly się nad głową.

„Od tego momentu, — krzyknął znowu Todros, — w którym przekleństwo to na głowę jego spadło, niech nie waży się on przystąpić do żadnej świątyni Izraelskiej na całym świecie bliżej nad cztery łokcie odległości! Pod karą klątwy i odrzucenia od łona Izraelowego, niech żaden Izraelita nie przybliży się do niego bliżej nad cztery łokcie odległości i niech nie waży się otworzyć przed nim drzwi domu swego, ani chleba, wody i ognia mu podać, chociażby widział go zesłanego, upadającego i zgiętego w lęk od tułactwa, głodu, choroby i nędzy! Przeciwnie! niechaj każdy, kto go spotka, pluje na twarz jego śliną ust swoich i przed stopy jego rzuca kamienie, aby on potykał się i upadał. Majątku żadnego niechaj nie używa. Wszystko, co prawem dziedzictwa spada na niego z ojca jego i z matki jego, i wszystko, co on własnymi rękoma dla siebie zebrał, niech oddanem zostanie pod rozporządzenie kahału, aby z mienia nieprawego uczynić pociechę i podporę słabych!

„O pomście téj i klątwie, która nań spadła, niech dowie się Izrael cały.

„Wy wszyscy, którzyście ją własnymi uszysłyszeli, głóście słowa i przykazania jęj na każdym

miejscu, na które zaniosą was stopy wasze, a my wiadomość o niej rozesłemy do wszystkich miast i gmin, w których mieszkają bracia nasi, od końca do końca świata.

„Tak niech się stanie! A wy wszyscy, którzy wiernymi zostaliście Panu waszemu i Zakonowi Jego, szczęśliwie żyjcie!“

Skończył, a w téjże chwili działaniem mechaniki, umiejętnie stosowanej, przyćmiły się rzęsiste światła, gorejące w siedmiu olbrzymich świecznikach, i w czterech rogach sali rozgłosnie dźwięknęły i zawyły trąby. Z urywaném tém, lub przeciąglém i ponurém, wyciem mosiężnych instrumentów, złączył się olbrzymi chór ludzkich szlochań, jęków i krzyków. Najgłośniejszy krzyk dał się słyszeć w przedsionku, a był tém przeraźliwszy że wychodził z piersi męzkiej i silnej. Ruch się téż tam zrobił wielki; słyhać było szamotanie się jakieś, wypędzanie jakby, to przywoływanie. Meir zniknął z progu świątyni. Bliżej ołtarza, pomiędzy ławkami, kilku dojrzałych ludzi, z chrząstem rozdzieranych sukien, upadło twarzami na ziemię.

„W prochu leżą moźni Ezofowicze!“ — wskazując na nich, wołano zkądinąd.

W górze galerya rozlegała się cała szlochaniem i płaczliwém zawodzeniem niewiast, a w głębi sali gromada ludzi lichu ubranych, bez srebrnych u tale-

sów tasie, wznosiła w górę twarde, czarne, spracowane ręce i załamywała je nad głowami.

Todros podartym rękawem odzieży ocierał spływający mu z czoła pot kroplisty, potem obu rękoma wsparł się o drewnianą baryerę i, pochylony naprzód, z piersią dyszącą i drgającymi wargami, patrzył na kantora. Nie zstępował on z wyniesienia i na kantora patrzył dla tego, iż wedle obrządku, po wyrazach strasznój klątwy, rzuconych na jednego człowieka, nastąpić powinny były słowa błogosławieństwa, zlewane na lud cały. Słowa te, błogosławiające lud, wygłosić powinien był kantor. Todros oczekiwał na to dokończenie spełniającego się aktu. Dla czego kantor milczał tak długo i powinności swój nie spełniał? Dla czego nie podchwycił ostatnich słów jego: „żyjcie szczęśliwi! żyjcie!“ i nie wysnuł z nich natychmiast modlitwy błogosławiającej?

Eliezer stał, twarzą zwrócony ku ołtarzowi. Kiedy rabbin wykrzykiwał słowa klątwy, widać było jak ramiona jego drżały pod okrywającym je tałem. Potem jednak drżać przestał, znieruchomiał, i, z podniesioną głową, patrzył kędyś wysoko. Nakoniec — wyciągnął w górę obie ręce. Znak to był, że wzywa lud do milczenia i modlitwy. Trąby, które dotąd dzwoniły wciąż i wyły — umilkły; ustały też krzyki i jęczenia ludzkie. Przyćmione światła zagorzały znowu, a wśród pełnego blasku ich i ciszy, przerywanej tylko tu i ówdzie odzywającym się szlo-

chaniem, głos, dźwięczny jak srebro i czysty, jak kryształ, zwolna, z powagą wielką, z wewnętrznemi łzami, które nadawały mu niezmierną moc błagania, mówić zaczął:

„Ten, który błogosławił praojców naszych Abrahama, Izaaka, Jakóba, Mojżesza, Aarona, Dawida, proroków Izraela i wszystkich sprawiedliwych świat... On niechaj spuści łaskę i błogosławieństwo swe na człowieka tego, którego niesprawiedliwy herem ten naruszył! Bóg przez miłosierdzie swe niech uratuje i osłoni go od wszelkiego złego i nieszczęścia, niech przedłuży czasy i lata jego, niech pobłogosławi wszelkiemu dziełu jego rąk i niech go od utrapienia, ciemności i kajdan oswobodzi razem ze wszystkimi braćmi Izraelitami! Niech taką będzie wola Jego!... Wołajcie: Amen!

Umilkł; w sali panowała przez kilka sekund cisza osłupienia, a potem rozległ się wielki, z kilkuset piersi wydobyty okrzyk: Amen!

— Amen! — zawołali Ezofowiczowie, powstając z ziemi, na którą runęli przed chwilą, i z rozdartych sukien swych pył otrząsając.

— Amen! — krzyknęła gromada ludzi, nędznie odzianych i spracowane dłonie załamujących nad głowami.

— Amen! — rozległo się na galeryi, pełnej płaczących niewiast.

— Amen! — powtórzył nakoniec w bliskości ołtarza chór głosów młodzieńczych.

Rabbin oderwał ręce swe od poręczy baryery, wyprostował się, zdumionemi oczyma powiódł dokoła i krzyknął:

— Co to jest? co to znaczy?

Wtedy Eliezer zwrócił się twarzą ku niemu i zgromadzeniu całemu. Kaptur tałesu opadł mu z głowy na ramiona. Białą twarz jego okrywały rumieńce zapалу, a błękitne oczy świeciły gniewem i odwagą. Podniósł rękę i zawołał donośnie:

— Rabbi! znaczy to, że uszy i serca nasze przekleństw takich słyszeć więcej nie chcą!

Słowa te były jakby hasłem bojowem. Zaledwie wymówił je Eliezer, gdy po obu stronach jego stanęło tłumnym szeregiem kilkudziesięciu ludzi młodych i zaledwie dorastających. Byli wśród nich wszyscy najbliżsi towarzysze i przyjaciele wyklętego, ale byli i tacy także, którzy dawniej zrzadka tylko i zdala go widywali, i tacy nawet, którzy przed kilku dniami jeszcze uporowi jego i zuchwałości dziwili się, wcale ich nie rozumiejąc.

— Rabbi! — rozległy się wołania, — my przekleństw takich więcej słuchać nie chcemy!

— Rabbi! — klątwa twoja zrodziła w duszach naszych miłość dla wyklętego!...

— Rabbi! — heremem tym obciążyłeś ty człowieka, który miłym był oczom ludzi i Boga!

Todros gwałtownym wysiłkiem wyrwał się ze stanu skamieniałości, w jaki rzuciło go z razu zdumienie.

— Czego wy chcecie? — krzyknął, — co wy gadacie? czy szatan opętał duchy wasze? Azaliż nie wiecie, że prawa nasze nakazują pomstę i klątwę na zuchwałych, którzy buntują się przeciw Zakonowi?

Nie z pośród młodzieńców już, ale ze środka sali, wyszedł głos poważny, który wymówił:

— Rabbi! azaliż nie wiesz, że kiedy w starożytnym sanhedrynie naszym wiódł się spór srogi o to: czy Izrael przyjąć ma za swoją naukę Szamaja, czy Hillela, ozwał się nad zgromadzonymi Bat-Kohl, głos tajemniczy, głos przez samego Boga posłany, który powiedział: Słuchajcie praw Hillela, albowiem łagodność w nich jest i miłosierdzie!

Podnoszono głowy i wspinano się na palce nóg, aby ujrzeć kto słowa te wymówił. Wymówił je Rafał: stryj wyklętego.

W téjże chwili przez tłum przecisnął się Beri, stając wśród młodzieży, zawołał:

— Rabbi! czy ty liczyłeś kiedy rozumy wszystkie, które zgmiotła srogość twoja i ojców twoich, Todrosów... i wszystkie dusze te, które napelnione były wielkimi pragnieniami, a które wy twardą ręką waszą strąciliście na zawsze w ciemności i potajemne cierpienia?

— Rabbi! — zawołał głos jakiś młodzieńczy,

dziecięcy jeszcze prawie, — czy ty i wszyscy, którzy z tobą stoją, będziecie zawsze odpychali nas od tych cudzych płomieni, bez których światłości schną ze smutku serca nasze, a podłym prochem czernią się nasze ręce...

— Dla czego ty, Rabbi, nie nauczasz ludu, aby z rozumu swego czynił sito takie, któreby oddzielić mogło ziarno od plewy i perły od piasku?

— Rabbi! ty i wszyscy, co z tobą stoją, zjadacie i nam jeść każecie jabłko granatu razem z twardą i gorzką łupiną. Ale przyszedł już taki czas, że uczuliśmy gorycz na podniebieniu naszym, a we wnętrznościach naszych powstał srogi ból...

— Nieszczęśni! głupi! opętani! potępieni! — z całej piersi swój krzyzczyć zaczął Todros, — alboż nie widzieliście oczyma własnymi, że lud cały nienawidził człowieka tego, gonił go po drogach jego, kładł mu na plecy silne swe ręce, kamienował go i krwawą kresą naznaczył mu czoło?!

Śmiechy dumne, oburzone, wzgardliwie rozległy się tu i owdzie.

— Nie mów: zgoda! na wszystko, na co lud mówi: zgoda! — zawołało głosów mnóstwo, a jeden z nich ciągnął dalej:

— Przekleństwo, które wyrzekłeś, Rabbi, zmięczyło serce niejednego i ślepotę zdjęło z ocz wielu!

— Usta złośliwe rozdmuchały w sercach naszych gniew przeciw niewinnemu; ale dziś z oczu naszych

płyną nad nim łzy, bo ty, Rabbi, klątwą swoją zadałeś śmierć młodości!..

— Gorszą, Rabbi, od śmierci jest klątwa ta, którą ty na niego rzuciłeś, bo on z nią pośród żyjących będzie jako umarły!

— A czyliż nie napisano jest w ustawach wielkich sanhedrynów naszych: Sąd, który raz przez lat 70 wyda jeden wyrok śmierci, nazwany będzie sądem morderców!

W sanhedrynach nie zasiadali ludzie bezdzietni i twardego serca!

— Kto sieje nienawiść, zbiera żal.

Wołania te i mnóstwo im podobnych wychodziły z pośród gromadki, stłoczonej u ołtarza. Mieszały się tam głosy, podnosiły się twarze, błyskały oczy rozognione, a rozgorączkowane ramiona rzucały na rabbina i zgromadzenie całe wyzywające, zuchwale groźby.

Todros nie odpowiadał już. Znieruchomiał całkiem, skamieniał. Z otwartymi ustami i wysoko podniesioną powieką miał pozór człowieka, który przestał rozumieć to, co się w około niego dzieje. Ale z tłumu wyskoczył i przed baryerą, oko w oko ze zbuntowaną gromadką, stanął mełamed. Trzęsący się cały, rozszokowany, rozpostarł grube ramiona swe, jakby stojącego na wyniesieniu mistrza osłonić niemi pragnął, i krzyknął:

— Biada! biada! biada zuchwalcom, nieoddającym czei temu, który zajęty jest oddawaniem posług Panu świata!

Eliezer odpowiedział:

— Żaden mur nie wznosi się pomiędzy nami a Panem naszym! Ustanowiliśmy pomiędzy sobą ludzi takich, którzy uczyć się powinni Zakonu i tłómaczyć go nieumiejętnym. Ale nie powiedzieliśmy im: oddajemy wam w niewolę dusze nasze! albowiem każdemu synowi Izraela wolno jest szukać Pana w sercu swoim i słowa Jego tłómaczyć według rozumu własnego.

Inni zawołali:

— Niéma pomiędzy Izraelem wyższego i niższego! Jesteśmy wszyscy bracia równi przed Panem, Stwórcą naszym, i nikomu nie jest daném prawo okuwania w kajdany rozumów i woli naszej.

— Fałszywi mędrcy zgubili nas, bo uczynili rozwód pomiędzy Izraelem a ludami innemi, tak, że jesteśmy jako więźniowie w ciemnicy, których nikt nie nawiedza...

— Ale przychodzi czas, w którym wstrząśnie Izrael kajdanami swemi, i pospadają z wysokości swych duchy pyszne i ślepe, a duchy więzione wyjdą na wolność...

Teraz Izaak Todros powolnym ruchem wzniosł w górę obie ręce i powiodł niemi sobie po twarzy, jak człowiek, który usiłuje obudzić się ze snu. Po-

tém oparł się znowu o baryerę i, z oczyma utkwionemi w górze, wydobył z piersi ogromne westchnienie.

— „*En Sof!*” — wymówił ciężkim, sennym jakby szeptem.

Była to kabalistyczna nazwa Boga, która zawirowała w téj chwili w mózgu jego, przenikany głuchą rozpaczą. Ale wnet, nakształt głośnego protestu przeciw naleciałościom, przez czas przyniesionym, nakształt tęsknego wracania do najpierwotniejszego źródła Izraelskiej wiary, rozległ się, kilkudziesięciu usty wydany, okrzyk:

— Adonai!

Melamed trząsł się cały, jak w febrze. Gwałtownym ruchem zwrócił się ku zgromadzeniu i wielkim głosem, śpiesznemi wyrazy, nawoływać je począł do obrony znieważonego mistrza, a ukarania zuchwałców. Lecz im dłużej i zawzięciej przemawiał, tém większe i widoczniejsze ogarniało go zdumienie. Nikt nie poruszał się. Bogacze i dostojnicy gminy siedzieli na ławach swych z czołami w dłoniach i spuszczonei oczyma, w pochłaniającej zadumie pogrążeni, a lud ubogi stał nieruchomy jak mur i jak grób milczał. Tu i owdzie widać było ludzi kręto a szybko prześlizgujących się śród tłumu i usiłujących w nim zniknąć. O czém dumali ci, dla czego milczeli tamci, a umykali i kryli się inni, — któż odgadnie? a raczej któż przeliczy wszystkie wewnętrzne drgania i chwieiania się tłumu — żywiołu tego, do

którego zastosować można, w zmienionej nieco formie, słowa poety: „Falo, niewierna falo, a jednak tak wierna!”

Zrozumiał наконец melamed, że wołania jego próżnemi były. Umilkł, lecz w zdumieniu najwyższem oczy roztwierał, bo dla czego nie słuchano go? — zrozumieć nie mógł. Ale przez zmaconą myśl Todrosa przemknął promień światłości, a w nim ujrzął on przelotny obraz strasznój dla siebie prawdy. Szepnęło mu coś do ucha, że w młodych piersiach tych, które z zuchwałością dlań niepojętą stanęły przeciw niemu, przebudziły się i krzyknęły wszystkie uśpione żądze i opory, których człowiek przez niego wyklęty przedstawicielem był i ofiarą! Więc nie on jeden takim był w Izraelu, ale istniało wielu, wielu podobnych mu, a tylko tamten śmielszym był od tych, do walki pochopniejszym, bardziej porywym i dumnym! I słyszał on jeszcze głos jakiś, szepcący mu do ucha, że nad młodem głowami temi, których zuchwalstwo wprowadzało go w odrętwienie — przeleciały i otarły się skrzydła anioła wieku — wieku — który, jak mu zdawało, zdawało bardzo i mglisto, wiadomém było, — buntem i burzą tchnął, a obalał wszystko, cokolwiek stawać usiłowało pomiędzy ludźmi a Najwyższą Prawdą! I słyszał on jeszcze szepł jakiś, mówiący mu do ucha, że lud milczał i nie ujmował się za nim, i nie druzgotał tych, którzy przeciw niemu powstali, bo anioł wieku razem z bu-

rzą i walką roznosił nad światem litość i przebaczenie, a klątwy i nienawiść zmiatał skrzydłem swém ognistém i zarazem miękkim...

Wszystko to niewyraźnie, chaotycznie, mglisto bardzo, słyszał i widział Todros, ale dosyć było tego, aby serce, pełne kamiennój wiary i niezmiernój pychy, zdrętwiało mu w piersi.

„*Bat-Kohl!*“ — pomyślał.

Szepty własnej myśli, splątanej i przerażonej, wziął za szepeący mu do ucha głos nadprzyrodzony, głos tajemniczy i od samego Boga przysłany, który niegdyś, w uroczystych i krytycznych momentach życia, słyszeć się dawał starożytnym kapłanom i prawodawcom Izraela.

„*Bat-Kohl!*“ — powtórzył drżącemi wargami i zbłądłą twarz powolnym ruchem zwracać począł we wszystkie strony.

Sala synagogi była już nawpół pustą. Lud odpływał, odpływał zwolna, a mileżał wciąż, tak, jakby ogarnęła go bezdenna i nieprzewyciężona zaduma, jakby milczeniem swoim dawał znak smutku ogromnego i wahania się ducha, który na żadną stronę przechylić się nie chciał lub nie mógł...

Odeszli ubodzy i bogaci, wierni dotąd wielbiciele rabbina, i ci, którzy zawsze zdala się odeń trzymali; galerya tętniła od chwili do chwili pod szybkim stąpaniem spóźnionej niewiasty, i u ołtarza nie było już nikogo...

*

*

*

Jak niegdyś Józef Akiba, w jasną noc miesięczną wracając z długiej podróży, że drżeniem szedł ku niskiej chacie swój pasterskiej, tak teraz ku rodzinnemu domowi swemu drżący i błady przybliżał się Meir.

Szedł on do rodzinnego domu swego, ale bez myśli zawitania doń. Wiedział, że trzeba mu iść ztąd, iść, i po świecie, wśród tułaczki, odrzucenia i nędzy, ścigać cel ten, do którego tęsknił oddawna, ale który tak dalekim, tak dalekim był i do osiągnięcia trudnym.

Chciał spojrzeniem tylko pożegnać się ze ścianami domu, który był kolebką jego młodości... przestępować progu nie myślał.

Ale wśród rzędu okien ciemnych i cichych zobaczył jedno, w którym połyskiwały migotliwe światła. Stał i patrzył na chwilę. Za szybami rysowała się wyraźnie ciężka i nieruchoma postać prababki Frejdy, śpiącej w głębokim fotelu. Spływała na nią szeroka smuga księżycowego światła i tysiące iskier rozpalala w okrywających ją klejnotach.

Meir wstąpił zwolna na wysoki ganek i położył dłoń na klamce drzwi. Wbrew zwyczajowi wszelkiemu drzwi były otwarte. Przeszedł wązki, długi korytarz i stanął w roztwartych też naścież drzwiach izby bawialnej.

Dom cały zalegała cisza grobowa. Czy spano tam tak głęboko? Było to niepodobnóm. Ale najlżejszy szelest nie powinien był przeszkodzić ostatniemu pożegnaniu prawnuka z prababką, ani odegnąć go od jój kolan. Meir ukląkł przed tą uśpioną i uśmiechającą się przez sen postacią niewieścią i na kolanach jój złożył swoją głowę. Po raz ostatni spoczywał pod dachem tym.

— Bobe! — rzekł zcicha — Elte bobel!

Frejda spała cicho, jak dziecko. Na pomarszczoném czole jój, niby ulotne sny dziecięcia, igrały srebrne ogniki księżycy.

— Już ja ciebie nie zobaczę nigdy... nigdy...

Przycisnął do ust drobne, suche jój ręce, które tyle razy kołysały go i pieściły, a potem go od wszelkich ciosów osłaniały i skarb ten mu oddały, co był zbawieniem i zgubą, życiem i śmiercią jego. Poruszyła się lekko głowa Frejdy, dyamentowe kolce jój zadzwoniły o perły i roznieciły w księżycowém świetle ognisko iskier.

— Klejniskind! — szepnęła, nie otwierając oczu, uśmiechnęła się i znowu zasnęła.

Meir utonął w myślach. Z czołem opartém o kolana prababki żegnał duchem wszystkich i wszystko... Powstał nakoniec i powoli bardzo opuścił izbę bawialną... W kurytarzu, ciemnym zupełnie, uczuł, że ktoś objął go nagle silnemi ramionami, a zarazem,

że ręka czyjaś wkładała mu za odzież ciężki jakiś przedmiot.

— To ja, Meir! ja, Ber. Dziad twój szukał w familiu swojej człowieka odważnego, któryby tobie garść pieniędzy na drogę dał, i znalazł mnie. Wszysey w domu żałują ciebie... Kobiety płaczą, w łóżkach swoich leżąc... Stryjowie gniewają się na rabbina i kahalnych... Dziad mało nie umiera z żalości... ale ciebie widzieć nikt już nie chce... U nas tak!.. Rozum ciągnie w jedną stronę, a stara wiara w drugą... A przytém strach! Ale ty, Meir, nie martw się bardzo! Ty szczęśliwy! ja tobie zazdroszczę! Ty nie zląkłeś się tego, czego ja zląkłem się, i wyjdiesz na światłość! Dziś przyjaciele twoi ujęli się za tobą, a lud milczał i za rabbina nie ujął się! To początek; ale koniec jeszcze daleko! Żebyś ty jutro pokazał się tutejszym ludziom, oni-by znowu złości przeciw tobie do serc swych nabrali! Idź ty, idź w świat! Młodość masz, wielką śmiałość masz! życie przed tobą! Kiedyś ty może powrócisz do nas i koniec położysz ciemnocie i grzechom naszym! U nas-bo wiele brylantów jest, tylko je trzeba z piasku oczyścić, i wiele u nas ziarna urodzajnego, tylko je trzeba wysiać z plewy! Ty to kiedyś zrobisz, gdy tam na świecie staniesz się uczonym i silnym! Teraz idź na wielką wojnę ze wszystkimi przeszkodami, których mnóstwo stanie przed tobą! Walcz ty z nimi! Bądź Baale-Tressim, uzbrojonym, jak byli dawni,

wielcy mężowie nasi, i niech w każdym dniu twoim będą z tobą błogosławieństwa moje i wszystkich ludzi, którzy tak, jak ja, chcieli, a nie mogli, pragnęli, a nie otrzymali, szli, a nie doszli!...

Uścisnęli się. Ber zniknął za drzwiami jakiemiś, zeicha otwartemi i zamkniętymi. Zresztą nie w domu nie ozwało się i nie poruszyło. Grobowo milczące ściany rodzinnego domu wołać zdawały się ku wyklętemu: wychodź! wychodź!

Wyszedł. Na świecie dniało. Place i uliczki miasteczka spały, owinięte szarą mgłą jesiennego prawie poranku. Mgły też spuszczały się na puste grunta, po których szedł Meir, śpiesznym już i pewnym krokiem.

Pilno mu było iść ztąd, iść, iść, — a chciał pożegnać się z tą, która przyrzekła mu być wierną Rachelą, i odebrać od niej swój skarb.

Drzwi i okno karaimskiej chaty stały otworem.

— Gołdo! — zawołał zeicha, — Gołdo!

Nikt i nie nie odpowiedziało.

Powtórzył wołanie. We wnętrzu chaty panowała cisza nieskazitelna. Zbliżył się, spojrział ku miejscu, na którym zwykle siadywał stary Abel. Nie było tam nikogo.

Wówczas zjęła go trwoga jakaś, z której przyczyny nie zdawał sobie sprawy.

Spojrział dokoła, po wzgórzu, po pustych gruntach, daleko, i pełnym głosem już zawołał:

— Gołda!

Szelest dość głośny dał się słyszeć w pobliżu. Pochodził on z wielkiego, głogowego krzaka, który rósł o kilka kroków od chaty, a z pośród którego zwiłkanych gałęzi podniósł się teraz, wilgotną mgłą zroszony cały, z mrużącą się od snu powieką, mały Lejbele.

Meir żywo przybliżył się ku niemu. Dziecię wydobyło się do reszty z uplotów głogu i wnet za surducik ręką sięgnęło.

— Gdzie Gołda? — zapytał Meir.

Lejbele nie odpowiedział, tylko podał mu, wydobyty z za odzieży, żółty zwój papierów.

Meir pochylił się ku dziecku.

— Kto ci to dał? — zapytał śpiesznie.

— Ona! — wskazując chatę, odparł Lejbele.

— A kiedy ona ci to dała? Dlaczego ona ci to oddała?

Dziecko odpowiedziało:

— Kiedy ludzie szli, ona z chaty wybiegła... obudziła mnie... za surducik mi to wsunęła i powiedziała: oddaj to Meirowi, jak on tu przyjdzie...

Meir drżeć zaczął.

— A potem? — pytał — potem?

— Potem, morejne, ona mnie w ten krzak schowała, a sama do chaty swojej pobiegła...

— A wielu było ludzi tych?

— Dwóch, morejne... trzech... dziesięciu... nie wiem!...

— A co ci ludzie zrobili? co zrobili?

— Ludzie przyszli, morejne, i krzyczeli na nią, żeby ona pisanie jakieś dała... długo krzyczeli... a ona krzyczała, że nie da! nie da! nie da!... a koza w sieni tak biegała... biegała i beczała...

Meir coraz mocniej drżał, ale dłoń łagodnie opierał na głowie dziecka i pytał ciągle:

— A potem co było? co było?

— Morejne! ona potem prząśnicę swoją do rąk wzięła i przed zejdem swoim stanęła... ja z krzaku widziałem... Ona była taka biała, i prząśnica była biała, a ludzie byli czarni... i pomiędzy nimi koza biała biegała, i coraz głośniej beczała...

— A potem... a potem...

Łzy nabiegły do oczu dziecka.

— Potem, morejne, już ja nie patrzałem i schowałem się w krzak, i bardzo trząśłem się od strachu, bo w chacie był taki szum... taki szum i takie jęczenie... Potem ludzie poszli... i ją ponieśli... i dziada jęj ponieśli, a koza pobiegła za górę, becząc, i nie wiem gdzie się podziała...

Meir wyprostował się i spojrzał w niebo zmar-twiałem prawie okiem. Wiedział już wszystko.

— Gdzie ich ponieśli? — zapytał jeszcze głuchym głosem.

— Tam!

Wyciągnięte ramię dziecka wskazywało stronę, w której z oddali widać było łączkę zieloną — i liliową wśród niej sadzawkę... a za sadzawką były błota, moczary, grzązkie, ruchome grunta, w których tak łatwo pograżyć się i utonąć może martwe, sztywne ciało.

Tam, za tą sadzawką, z której wiosną wydobywała ona lilią wodną, podając mu ją z pośród gęstwiny trzciny... tam, za tą łączką, wśród której po raz pierwszy wyznała mu swą miłość świeżą a płomienną, jak kwiat dziko wzrosły na bogatym gruncie... tam... w głębiach gaju tego, w którego gąszczach chórem wnet zaśpiewają ptaki swobodne, szczęśliwe w gniazdach swych, miłości pełnych... tam... kędyś... ukryta przed wszelkiem okiem ludzkim leżała teraz u nóg dziada swego, owinięta całą płaszcem swych czarnych włosów...

Przed chatą rozległ się trzykrotnie głos, wołający „Adonai”, a potem u otwartych drzwi stał już tylko Lejbele i w podniesionej nieco ręce trzymał nieruchomo zwój papierów.

Meir wbiegł do wnętrza chaty.

Co mu tam opowiedziały żdźbła słomy, wyrzucone z nędznego posłania Abła i uścielające podłogę, i rozsypane wśród słomy tej, a czerwieniejące, niby krwi krople, korale Gołdy? co opowiadała mu, leżąca na ziemi i na dwoje złamana, prząsłnica dziew-

czyny, i stara, bardzo stara, Biblia starca, na szmaty podarta?.. Była to długa, bolesna, krwawa opowieść, której młodzieniec słuchał z czołem przyciśniętém do zimnej, dziurawej ściany i z rękoma załamanymi nad głową; była to opowieść tak długa, że godziny płynęły, a on słuchał jej jeszcze i wtórował słowom jej rozpaczliwemi tętnami serca i głuchemi jękami, które od chwili do chwili wyrывały się z zaciśniętych i zsiniałych ust jego...

Kiedy stanął znowu w otwartych drzwiach chaty słońce ozlacało już część widnokręgu. Jakże zmienionym ukazał się on przy świetle dnia! Czoło jego 'przerzniete czerwoną kresą, zmięte było i sfaldowane tak, jak gdyby przez noc tę i ten poranek przesunęły się po niém i zorały je długie, ciężkie, cierniste lata. Ponuro i rozpacznie gorzały mu oczy z pod w półspuszczonych powiek, a ramiona zwisły bezwładnie, jakby w zniechęceniu, czy obezsileniu, śmiertelném... Tak stał chwilę, i znać było, że wyobraźnią i pamięcią słucha dźwięków głosu tego, który nigdy już doń przemówić nie miał, aż uczuł, że słabą ręką jakaś ciągnie go za odzież, i usłyszał cichy głos, mówiący:

-- Morejnel!

Lejbele stał przed nim; oczy swe, ogromne, czarne, smutne, ku twarzy jego podnosił i wyciągał doń rękę, trzymającą żółty zwój papierów.

Zdawać się mogło, że widok podawanego mu

przedmiotu przypomniał Meirowi coś ważnego, obudził go ze snu, przywołał do czegoś, co dlań świętém i konieczném było. Powiódł po czole obu dłońmi, a potem wziął z ręki dziecka przedśmiertne pisanie Seniora, i gdy uczuł je w dłoni swój, podniósł głowę, a oko błysnęło mu znowu odwagą i wolą.

Patrzył na miasteczko, budzące się ze snu, i długo coś mówił cicho, myślą bardziej, niż słowami. Mówił coś o domu Izraela, o starój wielkości jego i o wielkich jego grzechach; o tém, że nie opuści go nigdy i przekleństwa za przekleństwo nie odda; że poniesie do obcych narodów przymierze zgody; że ze źródła mądrości pić będzie i że wróci tu kiedyś...

„Kiedyś... kiedyś...” — powtarzał długo, myśląc o dalekiej, dalekiej zapewne przyszłości, a wzrokiem ogarniał ściany niskiej chaty, jakby żegnał w duchu na zawsze przelotny, gorący i czysty, a tak straszliwie przerwany, sen swój o miłości.

Potem zaczął powoli wstępować na wzgórze.

Dziecię pozostałe u drzwi chaty stało na chwilę nieruchome, patrząc za odchodzącym. Po chwili oczy dziecka, szeroko rozwarte, zachodzić poczęły łzami, a gdy Meir znalazł się u połowy wzgórza, zaczęło głośno, ale raz tylko, i potem iść także zaczęło. Szło z razu śpiesznie, a znalazłszy się o kilkanaście kroków od odchodzącego, zwolniło chodu i, z rękoma wsuniętymi w rękawy odzieży, postępowało dalej zwolna i poważnie.

Tak jedno za drugim idąc, wykłęty młodzieniec i dziecię nędzarza, zniknęli za wzgórzem, kędy rozesłał się przed nimi szlak drogi piaszczystej, wiodącej w świat szeroki i nieznany.

* * *

Czy znieważony, wykłęty i ze wszystkiego odarty człowiek ten doścignął celu, którego tak namiętnie pożądał? Czy na szerokim, nieznanym świecie znalazł ludzi takich, którzyby przed nim drzwi i serca swoje otworzyli na oścież, a drogę mu utorowali ku zdrojowi mądrości?

Czy wrócił, lub wróci kiedykolwiek do rodzinnego miejsca swego, aby przynieść mu, wraz z przebaczeniem swém, światło to, mocą którego „cedr Lihanu” powstanie tam, gdzie ściele się „nizka tarnina”? Nie wiem.

Zbyt niedawna to historia, aby koniec swój mieć już mogła. Lecz dla tego właśnie, że historye podobne dalekimi są do końca swego, — czytelniku! — jakiegokolwiek plemienia krew płynie w żyłach twoich i na jakimkolwiek miejscu téj ziemi cześć oddajesz Bogu, — jeżeli kiedy wśród drogi swój spotkasz Meira Ezofowicza, podaj mu szczerze, prędko braterską dłoń przyjaźni i pomocy.

K O N I E C.



TANIE

ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI

ELIZY ORZESZKOWEJ

Tom XXIX.

Meir Ezofowicz.



WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala.

Nowy-Swiat Nr. 41.

1898

ELIZA PRZESZKOWA.

MEIR EZOFOWICZ.

POWIEŚĆ

w dwóch tomach

Tom drugi

WYDANIE DRUGIE.

WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala.

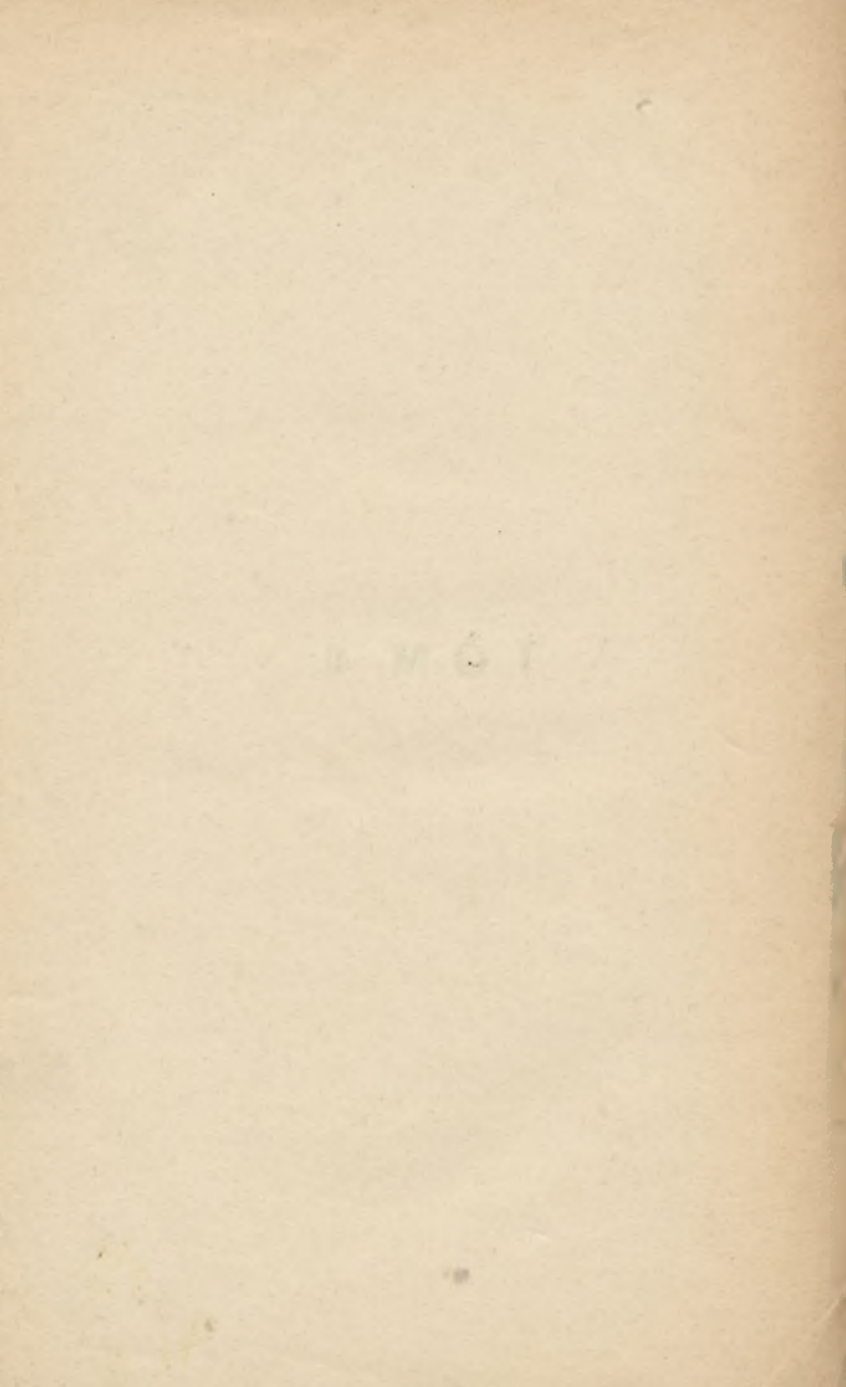
Nowy-Swiat Nr. 41.

1898.

Доволено Цензурою.

Варшава, дня 4 Ноября 1897 года.

T O M II.



WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

106336

517079